Biblioteka im. L. W. Wodzickiego

- Kto i kiedy ukrzyżował Jezusa — str. 2 i 4
- Jeden dzień w klasztorze buddyjskim — str. 5
- Wizyta w domu Marii Kuncewiczowej — str. 9
- Rozmowa z autorem „Inkarnacji" i „Upiora" — str. 10
- Reportaże z Walii, Izraela i Nepalu — str. 14, 15 i 16

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 16 (1516) ROK XXX 18 KWIETNIA 1987 ROKU CENA 35 ZŁ

Udanego świątecznego wypoczynku

życzy zespół „Odgłosów"

Fotos Grzegorz Gelasiński

Jestem z Jadźwingów

Rozmowa z SZYMONEM KOBYLIŃSKIM

— Zacznę od truizmu: jest pan człowiekiem, którego popularność nie podlega dyskusji. I to popularność w tym pozytywnym znaczeniu. Proszę zatem powiedzieć, czy powszechne uznanie nie tłumi samokrytycyzmu?

— Wręcz przeciwnie. Zresztą popularność ma różne oblicza. Najkomiczniejsze oblicze ukazał mi kiedyś taksówkarz w okresie moich najgęstszych występów w TV, kiedy Marek Groński zauważył słusznie, że częściej wchodziłem do studia niż stamtąd wychodziłem. Otóż warszawski kierowca powiedział mi: „Pan to biedny facet, panie Kobyliński, nawet pan narozrabiać nie może"! I jest w tym jakaś prawda, choć jakoś nie planowałem rozróby; jednakże niby uczestnicy kongresów, czy instytutów, którzy noszą na piersiach tabliczki z fotografią i personaliami, ludzie spopularyzowani tak samo noszą podobną tabliczkę: własną twarz. To ujmuje anonimowości, niekiedy lubianej przez człowieka. Dla mnie jednak było to bardzo miłe, chociaż chwilami przechodziło w przesadne, męczące formy, lecz podtrzymywało uczucie bycia wszędzie wśród swoich, wśród osobistych znajomych, jeśli nie zgoła przyjaciół. Ci, którzy są mi nieprzyjaźni, po prostu omijają mnie z daleka i nie mam z nimi kontaktu, jakkolwiek nie dalej niż dziś był wyjątek, bo jakiś rozkudłany, przedziwny narkoman zaczął mi raptem wymyślać na ulicy. Niedokładnie rozumiałem, o co mu szło, ale stał, wygrażał, odchodził, wracał, coś mu się bardzo nie spodobało. Ja też nie sobie bardzo rzadko podobam... A swoją drogą, kiedy teraz od ładnych paru lat nieobecności w telewizji mam skalę porównawczą, widzę, że nic tak, jak to masa medium nie popularyzuje i nie wmusza ludziom człowieka! Sława, włączana pokrętłem i gasnąca od razu po zamknięciu odbiornika.

— Osobiście znam pana z pańskich świetnych rysunków, z książek i z wystąpień telewizyjnych. I odnoszę wrażenie, jakby pan się nie mieścił w ramach jednej działalności, że tych pańskich pasji jest co najmniej kilka. Kim pan wreszcie jest?

— Jestem ciągle tym samym facetem. To znaczy belfrem, ogromnie rozlubowanym w wygłaszaniu lekcji, dzieleniu się ciekawostkami, odkryciami własnymi i cudzymi, a także pouczaniem. Dziś zastał mnie pan przy robieniu ilustracji do książki Andrzeja Donimirskiego „Kobiety mitów i legend". Weźmy pierwszy lepszy rysunek... O, Krymhilda z sagi o Nibelungach; jej wizerunek wzoruję na najtypowszych posągach alegorystycznych pierslastej Germanii. Tutaj dodaję sztylet odpowiedni do stylu, ale nie musiałem po niego sięgać do starogermańskich autentyków, zrobili to za mnie propagandyści Goebbelsa, toteż dałem typowy partyjny „sztylet honorowy" NSDAP, jako że baba była mściwa okropnie. I wygląda jednocześnie jak z pomnika z czasów wilhelmowskich, plus gotycki napis u góry: „Suesa ist die Rache" — „Zemsta jest słodka". I tak oto ten malutki rysuneczek, 7X7, zawiera w sobie maksimum informacji, właśnie o starogermańskim stylu, przefiltrowanym przez późniejsze epoki, aż po wiek XX, o teutońskim stylu, z jakiego też czerpał monumentalny Wagner swoje „Złota Renu" i innych Lohengrinów, jednym słowem jest to okazja do swoistej lekcji o zmierzchu bogów, o germańskiej skłonności do Walkirii. Dokładnie to samo robię i w satyrze, gdyż także informuję słuchaczy o czymś symptomatycznym, że na przykład 2 razy 2 jest cztery. To jest też lekcja, główna i zasadnicza, choć w formie takiej, powiedzmy, jak niedawny mój rysunek w „POLITYCE", gdzie prelegent głosi, że „Kategorycznie zrywamy z metodami naszej chwalebnej przeszłości!" Sam czytelnik więc widzi, ile temu prelegentowi wyszło z mnożenia 2X2. A ja wciąż pouczam, że powinno być cztery.

— Jest pan zatem nauczycielem wiedzy podstawowej...

— Belfrem, proszę pana, bez przerwy belfrem. Nauczyciel, to jest ktoś, kto chce przekazać program szkolny, a staroświecki belfer podpuszczał nieco „smrodku dydaktycznego", pomoralizował sobie z lekka, był po trosze dobrym tatusiem, a troszkę świeckim duszpasterzem. W tym wszystkim widzę to, co tylko półżartem nazywam belferką, belfrowaniem.

— Jest pan znakomitym zawodzianem, chyba ostatnim w Rzeczypospolitej...

— No nie, znam kilku...

— Przed panem był jedynie Melchior Wańkowicz.

— A Piotr Kuncewicz, Treugutt, Aleksander Jerzy Wieczorkowski i jeszcze paru nie gorszych? Są znakomici i wspaniali.

— Czytając pańskie książki utwierdzam się w przekonaniu, że posiada pan wielki dar narracji. Czy nie czuje się pan także pisarzem?

— Nie bardzo, choć wydałem kilkanaście różnych tomów. Jednakże ku memu radosnemu zdziwieniu wspomniany Piotr Kuncewicz oraz Artur Sandauer dokonali świeżo, po przeczytaniu nie tyle tamtych siedemnastu książek, ale samych „Domysłów" (dedykowanych notabene Treuguttowi, konkretnie: „Treuguttom i Treugittom"), dokonali pasowania mnie na rzeczywistego literata. A więc jestem typowy homo unius libri tzn. człowiek jednej książki, a że pasowali mnie aż tacy krytycy, mogę używać na bilecie wizytowym tytułu literata, choć swoją drogą do ZLP nie należę.

— Więc jednak nie jedynie i wyłącznie belfer...

— Kochany: ciągle belfer tylko w tym przypadku przy pomocy pisania wspominków, analiz, pastiszów, w „Domysłach" pastiszu dubeltowego: udawania czyichś listów oraz pracy polonistycznej. Jest tam w sumie analiza problemu — co się dzieje z artystą, z poetą, poddanym lub poddającym się ciśnieniu polityki. Jednym słowem jest to stałe rozważanie o dzisiejszych trudnościach.

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryiski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1072. H-2.

Przegląd prasy

Czy Żydzi ukrzyżowali Jezusa? Pyta w bardzo opóźnionym miesięczniku „WIĘŹ" (nr 7—8 z 1986 r. — podpisany do druku 30 grudnia) Jacek Salij OP. Autor katolicki dochodzi do wniosku, że cała ludzkość ponosi winę za śmierć Chrystusa. „Przy czym sarkazmu pogański uczestnik zbrodni — Piłat — jak zgromadzeni przed jego pałacem Żydzi czują się niewinni i wyrażają to na zewnątrz. Najpierw Piłat umywa obłudnie ręce, żeby — wbrew jakiejś — zamanifestować, że nie chce uczestniczyć w tej zbrodni. (...) Między Piłatem i owymi starszymi miasta zachodzi jednak drobna różnica, że morderca jest znany, a jest nim on sam, przy czym jest on aż tak bezczelny, że umywa ręce, zanim jeszcze zbrodnia została dopełniona. Piłat nawet nie usiłuje ukrywać swojego przeświadczenia o niewinności Skazańca, chciałby tylko odzyskać własną niewinność za pomocą magicznego gestu. Również lud zachowuje się bezbożnie. Na godzinę ciemności opuścił go lęk, którego pełna jest dusza żydowska i którego świadectwa ciągle spotykamy na kartach Starego Testamentu: lęk przed splamieniem się krwią niewinną".

Mam wrażenie, że Jacek Salij OP inaczej rozkłada akcenty niż uczynili to dziewiętnaście wieków temu ewangeliści Mateusz, Marek, Łukasz i Jan. Pragnie on bowiem wykazać, że w księgach Nowego Testamentu nie ma żadnego uzasadnienia dla uczuć antysemickich. W tym celu przeciwstawia wołaniu Żydów — „Krew Jego na nas i na dzieci nasze" — słowa ukrzyżowanego Jezusa: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią".

Jego zdaniem, wyznawcy chrześcijaństwa nie mogą przyjmować, że grzech zabójstwa Chrystusa nie został odpuszczony i podlega dziedziczeniu. Znaczyłoby to przecież, że zaklęcie tłumu miało większą moc aniżeli modlitwa Jezusa. W rzeczywistości sprawcy ukrzyżowania otrzymali rozgrzeszenie. Tym bardziej więc nie ma podstaw do obwiniania ich potomków.

PROBLEM ŻYDÓW I ANTYSEMITYZMU

często w ostatnich latach występuje na łamach pism katolickich. W omawianym tu miesięczniku poświęcone mu większość tekstów. Na temat śmierci Jezusa i odpowiedzialności narodu żydowskiego Turian (Jan Turnau?) pisze: „Jakiś tam Galilejczyk, syn cieśli i sam cieśla, ustawił się ponad całym panującym porządkiem, całą hierarchią społeczną, miał czelność ją osądzać. Musiał zginąć! Takie są prawa tego świata, taka jest logika jego historii. Takie są prawa świata. Antysemici zapominają, że również Sokratesa zabili jego własni rodacy. Nie jest to usprawiedliwieniem Żydów, których zbrodnia była straszna: możemy, że współudział w owym morderstwie biorą również faryzeusze mimo swojej nienawiści do Rzymian i swej wewnętrznej ideowości. Nienawiść do reformatora bywa większa od nienawiści do okupanta. Ale właśnie bywa: przypadek, który wydarzył się wówczas w Palestynie, nie jest odosobniony. Zabijając Jezusa Izrael reprezentował nas wszystkich".

Nie wiem, czy to znaczy, że również Ateńczycy reprezentowali całą ludzkość, kiedy skazali na śmierć Sokratesa? Czy wszyscy zabójcy reprezentują wszystkich ludzi? Nie za duży zastosowano kwantyfikator?

Za niezwykłe wydarzenie historyczne Turnau uznał wizytę Jana Pawła II w synagodze rzymskiej. „Papież w bóżnicy — czytamy — co za czasy! Jan Paweł II, następca Piotra, rodem z Wadowic, przekroczył kolejny próg: po katedrze anglikańskiej, po zborze luterańskim, przyszła kolej na synagogę. Ranga historyczna tego wydarzenia, ranga religijna, kulturowa, społeczna — i w sposób nieunikniony — polityczna, jest tak wielka, że nie odda jej żadne wielosłowie. Trzeba natomiast powiedzieć jasno i wyraźnie: to, że tego gestu dokonał Papież-Polak, zobowiązuje szczególnie nas, Sarmatów".

W dyskusji redakcyjnej Jan Turnau podkreśla, że niemal od początku

JUDAIZM I CHRZEŚCIJAŃSTWO

były skłócone. Mniejszy nawet dystans dzielił religię chrześcijańską od islamu. „O ile Koran mówi o Jezusie jako o wielkim proroku, kto wie, czy nie świętszym niż Mahomet, mówi o matce Jezusa jako o wielkiej świętej (matka Mahometa jest tam osobą o wiele mniejszej rangi), o tyle Talmud mówi o Jezusie jako o nieślubnym dziecku, synu rzymskiego żołdaka, do tego jeszcze Germanina".

Jan Turnau uważa, że chrześcijaństwo jest wprawdzie całkowicie sprzeczne z antysemityzmem, ale chrześcijanie są jednak współodpowiedzialni za szoah (holocaust). On sam wyznaje, że nie jest antysemitą, lecz raczej filosemitą pochodzenia żydowskiego. W dzisiejszej Polsce dostrzega antysemityzm kwitnący w ramach niskiej kultury politycznej. „Nie wiem — powiada — czy zdajemy sobie wszyscy sprawę, jak kołtuńsko antysemicka jest nawet inteligencja. To się zresztą odzywa również wśród duchowieństwa".

Z tezą o niezgodności chrześcijaństwa z antysemityzmem stanowczo polemizował Ireneusz Krzemiński. W hitlerowskich Niemczech chrześcijaństwo okazało się doskonale zgodne z antysemityzmem. Kultura chrześcijańska była bowiem skażona w samym centrum. Przynajmniej częściowo skażenie to nicół w sobie model religijności chrześcijańskiej, sposób przeżywania wiary. Stąd także w Polsce ludzie dość dziwnie reagują na wiadomość, że ktoś jest Żydem.

Ireneusza Krzemińskiego poparł Paweł Śpiewak. Potwierdził, że w Polsce można być jednocześnie katolikiem i antysemitą. Obawia się on, że stan taki akceptuje Kościół i prawie całe(?) społeczeństwo.

Natomiast ksiądz Michał Czajkowski był zniewolony wypowiedzią Krzemińskiego. W pewnej chwili wydawało mu się, że słucha zarliwego antysemity. „Czy to nie jest już — zapytał — jakiś rasizm antychrześcijański? Chyba Pana obowiązuje też jakaś próba zrozumienia istoty chrześcijaństwa? Może sięgnę do starego rozróżnienia: chrześcijaństwa i chrystianizmu. Chrześcijaństwo jako stara formacja historyczna, socjologiczna, kulturowa hołdowało i czasem jeszcze hołduje antysemityzmowi. Ale to było, jest i zawsze będzie zdradą chrystianizmu, Chrystusa, Ewangelii".

Z kolei Donata Eska, śledząc tok myślenia poszczególnych dyskutantów, popadła — jak stwierdziła — w pewien „zamęt myślowy". To, co było dla niej jasne, stało się w końcu „mętne i skomplikowane". Zwróciła ona uwagę na zjawisko mesjanizmu i nacjonalizmu żydowskiego, na przeciwstawianie swoich obcym. Mesjanizmy z reguły wyrodnieją, rodzą szowinizm i ksenofobię.

Społeczeństwo polskie, jak wiadomo, jest bardzo religijne. A Kościół rzymskokatolicki uchodzi za najpotężniejszy w Europie. Obecnie wymaga wsparcia i ochrony nie tyle światopogląd religijny, co laicki i ateistyczny. Pisze o tym w „MIESIĘCZNIKU LITERACKIM" (nr 1 — druk ukończono w marcu) — Kazimierz Koźniewski. „Znam ludzi niewierzących — czytamy — mających małe dzieci, których ogromnym lękiem przejmuje konieczność posłania dzieci do szkoły, gdyż dzieci poddawane tam bywają swoistemu terrorowi psychicznemu i moralnemu ze strony kolegów, których w domu nikt nie uczy jakiejkolwiek tolerancji wobec myślących odmiennie".

Zdaniem Kazimierza Koźniewskiego w państwie naszym brakuje spójnego programu działalności oświatowej o charakterze niereligijnym. Potrzebna jest poważna

ALTERNATYWA LAICKA

wobec intensywnej pracy dydaktyczno-wychowawczej Kościoła katolickiego. „W Polsce już od dawna nie widać nawet najlżejszego cienia wychowania bądź propapandy ateistycznej; nawet tygodnik «ARGUMENTY» stracił swój dawny, wyrazisty profil".

Pierwszą nieśmiałą próbą prezentacji naukowego myślenia o religii jest wprowadzenie do szkół religioznawstwa. Jest to autentycznie pluralistyczna propozycja, która spotkała się ze sprzeciwem duchowieństwa, choć zawsze domagało się pluralizmu. Dlaczego? Autor artykułu pisze: „Kościół katolicki w Polsce po tylu już historycznych próbach lęka się propagandy ateizmu! Rzecz całkowicie niezrozumiała, niemal surrealistyczna. Kościół w naszym kraju może się czegokolwiek lękać?! Jeden z najsilniejszych Kościołów katolickich na świecie! Demonstracja tego lęku dowodzi jednak wierności swym żelaznym, fundamentalnym zasadom taktycznym i strategicznym: Kościół wie, że człowiek jest istotą słabą, a więc zawsze, w każdej sytuacji, od najdalszych już stuleci, kler katolicki zwalcza każdego konkurenta w walce o dusze ludzkie. Pluralizm — ależ tak! Tylko dla nas, nie dla innych! Ponadto w polskim Kościele katolickim wyraźnie daje znać o sobie pewien kompleks już zdecydowanie lokalny. Kościół w Polsce, a dokładniej: Kościół polski — inaczej niż zachodnie zespoły katolickie — jest społecznością ludzi o masowej, masowej, uczuciowej, tradycyjnej wierze, a więc jakby instynktownie lęka się on każdej, nawet najlżejszej konfrontacji z religioznawstwem naukowym, jeżeli tylko ma to być religioznawstwo świeckie, laickie, a nie wyłącznie teologiczne".

Kazimierz Koźniewski twierdzi, że religijność i świeckość następują w historii cyklicznie. Obecnie trwa ofenzywa religii, której musi sprostać świecka alternatywa światopoglądowa. Ludzi myślących czekają ciężkie lata. Prawdopodobnie dopiero za sto lat będzie lżej, kiedy religijność znowu zacznie się cofać.

E. L.

BIURO PODRÓŻY
mgr tur. Wojciecha Marzyńskiego
OFERUJE

— wyjazdy w dowolnym terminie na dowolną ilość dni do Polańczyka, Krynicy, Bukowiny, Zakopanego, Szczyrku, Węgierskiej Górki (również rodziny z małymi dziećmi), Polanicy, Szklarskiej Poręby, Karpacza, Świeradowa i innych.

ZAPRASZA

— na „URLOP Z WOJCIECHEM" — 14-dniowe pobyty nad morzem, jeziorami i w górach oraz „pod grusrą" we wsiach letniskowych.
— na „WAKACJE U CIOCI" dzieci i młodzież. Interesujący i zróżnicowany program. Grupy kilkunastoosobowe. Obozy stałe i wędrowne.

INFORMACJA I ZAPISY —

Łódź, ul. Narutowicza 24, tel. 32-02-71
od poniedziałku do piątku w godz. 10—17

564-k

NA WŁASNY RACHUNEK

Biesiadnicy i inni

Nie będę szczególnie odkrywczy, jeśli powiem, że ludzie przejadają się w święta z dwóch powodów. Jedni dlatego, żeby sobie przynajmniej „raz około Wielkiej Nocy" powetować całoroczne (albo trwające od Bożego Narodzenia) niedojadanie, zwłaszcza gdy będąc w sytuacji „ubogich krewnych, są zwyczajowo zapraszani w święta przez zamożniejszą rodzinę; ale mogą to też być świeżo upieczone mieszczuchy, które właśnie w święta przypominają sobie o istnieniu rodziny na wsi (zapominając o niej w żniwa czy wykopki). A drudzy z pewnością mniej liczni, przywykli na co dzień żywić się tak obficie i smacznie, że i w święta dogadzają sobie co najmniej równie ochoczo.

Jak widać, pomijam ludzi, którzy do jedzenia nie przywiązują większej wagi, dbając co najwyżej o racjonalne, a więc i niezbyt obfite „żywienie". Taka wyrozumowana wstrzemięźliwość jest ogółowi rodaków całkowicie obca, a ten co nie lubi sobie podjeść i popić uchodzi zwykle za osobnika jakby „podejrzanego", lepiej się więc w ogóle nie przyznawać do takich znajomości.

W czasie przedświątecznym zaczynają się ogólnonarodowe deliberacje o tym, co będzie można bez większych kłopotów zakupić, a czego może zabraknąć i z jakiego powodu, magazyny ilustrowane i nawet tygodniki społeczno-polityczno-kulturalne, adresowane do sfer intelektualnych, przedrukowują ze starych szpargałów opisy suto zastawionych niegdysiejszych świątecznych stołów i niemal każdy czyni natychmiast porównania niezbyt korzystne dla dnia dzisiejszego. Obyczaje naszych sarmackich! — jakżeby inaczej! — szlacheckich przodków cieszą się na ten czas wzmożonym zainteresowaniem, mimo iż tylko niewielka część obywateli PRL wywodzi się z tak znakomitej sfery, toteż u większości „przodków" stół nie uginał się bardziej niż u dzisiejszych potomków. Przypomina mi się pewna znajoma, wychowana w ciemnej, wilgotnej suterenie, wśród zatęchłych piwnic, gdzie szczury urządzały sobie nieustanne harce; w rozmarzeniu lubiła roić o czasach, kiedy „nasi przodkowie jeździli na bale „poszóstną karocą".

O dawnych obżartuchach piszemy w tonie niekłamanego podziwu, że po zjedzeniu na śniadanie jajecznicy z pół kopy jaj, już na obiad zabierali się do konsumowania ćwiartki cielęciny i chłoniemy te wyczyny jak turnieje rycerskie, bo w wielkim poważaniu mamy zdrowie i krzepę, jakie rzekomo zawdzięczali dawni Polacy nieustannemu zatrudnianiu przewodu pokarmowego w pozycji półleżącej.

Skłamałbym, gdybym zaczął udawać abnegata, mającego sobie za nic uciechy świątecznego stołu. Uważam, że beztroskie biesiadowanie w pogodnym i życzliwym gronie stanowi nieraz dla ludzi wytężonej pracy tak pożądane wytchnienie, niepokoi mnie jednak stale przybierająca na sile postawa, którą można by nazwać ideologią obżarstwa i opilstwa, będących dla wielu ludzi jakby symbolami najwyższej jakości życia. A nie w każdym przecież społeczeństwie wystawne święta czy huczne weseliska są kwestią honoru i ambicji. U nas terror obyczajowy uniemożliwia skromniejsze święcenie uroczystości, które byłoby z większą korzyścią dla zaspokojenia pilnych nieraz potrzeb.

Obserwujemy też, zwłaszcza wśród ludzi łatwo wzbogaconych (niewspółmiernie do wysiłku pracy, do kwalifikacji i istotniejszych uzdolnień) oznaki zadufanej wyższości i pewnego rodzaju pogardy wobec tych, co nie potrafili się „wygryźć", tych zaś co nie mniej niż przyjemności konsumpcyjne cenią sobie zaspokajanie innych zainteresowań i potrzeb — umysłowych, duchowych — spotyka często zawiść: „Takiemu tylko pozazdrościć, o nic się nie kłopocze, nie płaci podatków, żyje sobie spokojnie jak pan".

I przy tym samym świątecznym stole nie wszystkich przepełnia taka sama radość spożywania „darów Bożych" i weselenia się ze współbiesiadnikami, gdy wznoszą staropolski toast: „Kochajmy się!".

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— **Akcja musi być zdecydowana. Trzeba działać odważnie i stanowczo. Na mecz przyjdzie wielu kibiców, małolatów i ewaniaków, którzy tylko kombinują, jak tu nie zapłacić 300 złotych za bilet — relacja ROMANA KUBIAKA ze spotkania grupy specjalnej w pawilonie RTS „Widzew".**

— **Druga część reportażu MARKA BRZEZIŃSKIEGO z Walii, w której opowiada o wizycie w chińskiej restauracji i niesamowitej przygodzie w „maluchu" na drodze do Londynu.**

— **Miastem jego młodości był Stanisławów, znaczący gród w Galicji, gdzie stopiły się i ścierały trzy kultury: polska, ukraińska i żydowska. Był potomkiem rabinackiego rodu, niezapomnianym gawędziarzem — o Horacym Safrinie pisze ADAM OCHOCKI.**

— **Gustaw Emmerich, jak każdy ambitny człowiek, lubił mieć cel w życiu. Cel ten winien być wzniosły, droga do niego utkana trudnościami, które on chwytał za bary i „roznosił wedle woli — kolejny odcinek powieści Leonarda pt. „Upiór".**

— **Środowisko to nie tylko sam las, rzeka czy powietrze, ale również żyjący w nim ludzie i wytwory ich pracy... mówi w ciekawej rozmowie z PAWŁEM TOMASZEWSKIM prorektor Uniwersytetu Łódzkiego, prof. Stanisław Liszewski.**

— **Jeśli na ulicy przygląda mi się milicjant, to nigdy nie wiem, czy zna mnie z telewizji, czy z listu gończego, — opowiada Wiesław Machejko w wywiadzie udzielonym WITOLDOWI WERNEROWI.**

Solidne firmy ogłaszają się w „Odgłosach"

Co się działo w Polsce po śmierci Kazimierza Wielkiego. Jakim królem dla Węgier i Polski był Ludwik Andegaweński? Cztery małżeństwa Kazimierza Wielkiego i jego ukochany wnuk Kaźko. Dlaczego zakonnik Władysław Biały stał się rozbójnikiem i grabieżcą? Komu i dlaczego zależało na polskiej koronie w drugiej połowie XIV wieku?

I było wielkie zamieszanie, gdy umarł ukochany król

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W kwietniu 1370 roku Kazimierz Wielki ukończył 60 lat. Był ostatnim Piastem na polskim tronie. Nie miał jednak — przynajmniej oficjalnie — męskiego potomka. Na nim zatem kończyło się panowanie Piastów w Polsce. Zostało już wcześniej ustalone, że po śmierci Kazimierza Wielkiego koronę polską otrzyma Ludwik Andegaweński, panujący wówczas na Węgrzech, syn Karola Roberta — założyciela dynastii węgierskich Andegawenów oraz córki Władysława Łokietka — Elżbiety. Korona polska miała zatem przypaść w udziale bliskiemu krewnemu Kazimierza Wielkiego — siostrzeńcowi, mającemu w swoich żyłach piastowską krew. Ale mimo wszystko był to już człowiek obcy.

Wszystko wydawało się ustalone, ale w polityce nie ma spraw do końca pewnych, jeśli się jeszcze nie stały. Pewne są tylko fakty.

POŹNYM LATEM 1370 ROKU

Kazimierz Wielki bawił na Ziemi Sieradzkiej i zawitał do Przedborza, gdzie miał przytulny dwór i gdzie lubił polować. 8 września 1370 roku, w dzień Narodzin Marii Panny, król wybrał się do polowania. Jedni mu odradzali, bo to dzień był świąteczny, inni doradzali, bo zbliżała się jesień i trzeba było wracać do Krakowa. Król się w końcu zdecydował i ruszył do lasu. Następnego dnia rankiem goniąc jelenia, spadł z konia i dotkliwie się potłukł. Dostał gorączki i szybko zarządzono powrót. Królowi towarzyszył wówczas Janko z Czarnkowa, który całą podróż opisał szczegółowo. Trwała ona prawie 2 miesiące. Król gorączkował, zatrzymywał się po drodze. Gdy tylko zdrowie się poprawiło, a gorączka opadła, ruszał dalej. Do Krakowa przybył 30 października 1370 roku. 5 listopada zmarł. Pochowano go w 4 dni później, co było wbrew zwyczajom ówczesnym, gdyż chowano zmarłych monarchów już po koronacji następcy. Tym razem było inaczej i nie był to przypadek.

Chciano dać w ten sposób następcy do zrozumienia, że jest w Polsce obcym.

Ludwik Andegaweński — już po koronacji — urządził wystawny pogrzeb. Było to — jak opisuje Jan Długosz — we wtorek, 19 listopada 1370 roku. Zaczęło się o świcie. *„Szły zatem* — pisze Jan Długosz — *procesje ze wszystkich kościołów i klasztorów miasta Krakowa... Dalej jechało 40 rycerzy w zbrojach. Wszyscy siedzieli na koniach okrytych purpurą. Ich 11 chorągwi oznaczało 11 księstw Królestwa Polskiego... Poruszały się one za dwunastą, większą od innych, na której na przedzie wyszyto znak Królestwa Polskiego — Białego Orła. Za nim jechał rycerz odziany w najwspanialsze szaty królewskie, perły i piękną przetykaną złotem purpurę (przedstawiał bowiem osobę zmarłego króla), na okazałym koniu, który również był przykryty wspaniałą purpurą. Za nim szło prozesjonalnie parami 600 mężów niosących w rękach tyleż zapalonych świec niezwykłej wielkości i wagi... Następnie jechały mary okryte kirem przetykanym złotem, srebrem i różnego rodzaju purpurą i suknem, które potem rozdzielono między kościoły i służbę kościelną. Otaczało mary przeszło 1000 rycerzy, cała służba zmarłego króla ubrana w szaty żałobne. Płakali żałośnie, jęczeli i śpiewali nieskładnie pieśń, która sięgała gwiazd i wyciskała łzy niemal u wszystkich śmiertelnych"*. Nie były to jednak łzy na pokaz, udane. W innym miejscu pisze bowiem Jan Długosz, że *„żałowano znakomitego króla za to, że pierwszy ozdobił ojczyznę murami i zamkami i zaszczepił w niej wzór sprawiedliwości"*. A być może również i dlatego, że koronę przejął władca obcy, który innymi niż Kazimierz Wielki będzie się kierował względami.

W żałobnym pochodzie szedł też Ludwik Węgierski w otoczeniu biskupów i panów węgierskich. Chojnie rozdawano jałmużnę, odprawiane msze żałobne, a obok mar stały *„dwie misy napełnione szerokimi groszami praskimi, z których każdy, kto chciał złożyć ofiarę, brał do woli"*. Opróżnione misy szybko napełniano nowymi groszami praskimi.

LUDWIK ANDEGAWEŃSKI, GDY ZOSTAŁ KRÓLEM POLSKI

był już władcą potężnej, liczącej się w Europie monarchii. Nosił tytuły: króla Węgier, Dalmacji, Kroacji, Ramy, Serbii, Galicji, Lodomerii, Kumanii i Bułgarii. Pokonał i zmusił do ustępstw „władnącą morzami" Wenecję. Rywalizował z Habsburgami i Luksemburczykami. Przedmiotem tej rywalizacji była między innymi Polska.

Urodził się w 1326 roku. Gdy umarł jego ojciec — Karol Robert — miał 16 lat, gdy umarł jego wuj — Kazimierz Wielki — miał lat 44. Był — jak pisze kronikarz Węgierski Jan z Küküllö — *„słusznego wzrostu, o wyniosłym spojrzeniu, z brodą i włosami kędzierzawymi, pogodnym obliczem, o wydatnych wargach, nieco w ramionach pochylony"*. To pochylenie w ramionach było wynikiem jego chorowitości. Zmarł w nocy z 10 na 11 września 1382 roku — jak cytuje ówczesnego kronikarza Paweł Jasienica w „Polsce Jagiellonów" — *„po długiej chorobie na leprę"*. W zasadzie *„lepra"* oznaczała trąd, ale też i syfilis tym mianem oznaczano. Miało to być — jak chcą jedni — dziedziczne obciążenie syfilisem, co wówczas nie było ani takie rzadkie, ani takie dziwne. Ale inni skłonni są uważać, że była to gruźlica. W każdym razie Ludwik Węgierski mało przebywał w Polsce, bo *„nie mógł znosić polskiego powietrza"*.

W jego imieniu sprawowała władzę w Polsce Elżbieta Łokietkówna — siostra Kazimierza Wielkiego, która nigdy nie zapomniała, że pochodzi z Piastów, ale nigdy też nie zapominała, że jest matką Ludwika Andegaweńskiego. Sprawował w jego imieniu władzę Władysław Opolczyk i Zawisza z Kurozwęk. Elżbieta Łokietkówna była doświadczoną władczynią, ale — podobnie jak jej syn — kierowała się przede wszystkim interesem dynastii, której razem z Karolem Robertem była współzałożycielką.

Janko z Czarnkowa utrzymuje, że *„za czasów króla Ludwika nie było żadnej stałości w Królestwie Polskim ani żadnej sprawiedliwości"*. Łupili wszyscy biedniejszych, a skargi składane w Budzie u króla wymagały słonej opłaty, z których tu skarg w Polsce nikt nie sobie nie robił. Podobnie ocenił rządy Elżbiety Łokietkówny, stwierdzając, że *„za jej rządów działy się w Królestwie Polskim wielkie grabieże, łupiestwa i rozboje"*. Tyle że Janko z Czarnkowa był zwolennikiem wielkopolskiej opozycji przeciw Ludwikowi Andegaweńskiemu oraz był oskarżony o sprofanowanie grobu Kazimierza Wielkiego, o próbę zabrania szat insygniów koronacyjnych; skazany został na banicję i pozbawiony urzędu podkanclerzego. Trudno zatem jego relacje traktować jako w pełni obiektywne.

Napaści, grabieże, rozboje w tamtych czasach nie należały do rzadkości. Drogi były niebezpieczne, a wśród grabieżców znajdowali się niekiedy dostojni skądinąd rycerze. W Wielkopolsce było wówczas szczególnie niespokojnie, gdyż była ona ciągle jeszcze pamiętna utraty swego pierworództwa w jednoczącej się Polsce i w różny sposób buntowała się przeciw temu. Historycy natomiast — badając ten okres — doszli do wniosku, że nastąpił wówczas niebywały rozkwit handlu w Polsce, a pakt koszycki z 1374 roku stał się podwaliną szlacheckiej wolności.

Ludwik Andegaweński — za namową mszczą księcia Władysława Opolskiego — zrzekł się i tak już nie ściąganego od dawna podatku zwanego poradlnym w wysokości 2 groszy z chłopskiego łana. Otrzymał w zamian przyrzeczenie, że po jego śmierci tron polski przypadnie jednej z jego córek. Chodziło o Katarzynę, która urodziła się w 1370 roku, ale zmarła w 1378 roku. Jej miejsce w pretendowaniu do tronu polskiego zajęła zatem Maria, urodzona w 1371 roku. Jadwiga urodziła się w 1373 roku i przeznaczona była na królową Węgier, a za męża dano jej Wilhelma Habsburga.

Ludwik Andegaweński miał w Polsce swoich zwolenników, ale i miał licznych przeciwników. Jak już wspomniałem był dla wielu ówczesnych rycerzy obcym. Szukali oni kogoś wśród swoich, kto mógłby zająć opróżniony przez Kazimierza Wielkiego tron. Wprawdzie Władysław Łokietek — jak przyjmuje to Paweł Jasienica — zamyślił już wcześniej oddać tron polski spokrewnionym Andegawenom — Ludwik był przecie jego wnukiem — gdyby Kazimierz nie miał męskiego potomka. Kazimierz tym się początkowo nie przejmował, ale później sam szukał innego rozwiązania. Najlepiej o tym świadczą

CZTERY ŻONY KAZIMIERZA WIELKIEGO

Pierwszą była Aldona-Anna, księżniczka litewska (nie jedyny to przypadek małżeństwa z księżniczką litewską). Ślub zawarto w 1325 roku. Z małżeństwa tego urodziły się dwie córki: Elżbieta i Kunegunda. Aldona zmarła w 1339 roku.

W lipcu 1341 roku swatano Kazimierza Wielkiego z Małgorzatą — siostrą margrabiego Moraw Karola Luksemburskiego, córką Jana Luksemburskiego, wdową po zmarłym w 1339 roku Henryku księciu Dolnej Bawarii. Swaty odbywały się w Pradze, gdzie też podpisano różne układy, na mocy których Kazimierz Wielki miał pozostać pod wpływami Karola nawet wówczas, gdyby Małgorzata umarła. Było to sprytne pociągnięcie przebiegłych Luksemburczyków, którzy wiedzieli, że Małgorzata od dwóch dni jest tylko zimnym trupem.

W rezultacie tych zwatów Kazimierz Wielki pojął 29 września 1341 roku Adelajdę, córkę Henryka II Żelaznego, landgrafa Hesji. Małżeństwo było bezdzietne. Jak utrzymuje Jan Długosz Kazimierz Wielki usadził Adelajdę w zamku w Żarnowcu, gdzie pilnowała ją straż. Kazimierz był — jak to się dziś ładnie mówi — kobieciarzem, mało której przepuścił. Wieści o tym dochodziły do Żarnowca. A na dodatek ożenił się w 1356 roku z Krystyną Rokiczaną, wdową po praskim rajcy Mikuleszu. Wszystko wskazuje na to, że ślub odbył się w Krakowie, a huczne wesele w Pradze. Ale ukochana króla okazała się mieć świerzb i na dodatek była... łysa. Wypędził więc ją król, ale i Adelajda napisała skargę do Henryka II Żelaznego, który był ją zabrał do domu.

Kazimierz Wielki tym się zbytnio nie przejął. Kochał się na lewo i prawo. Legenda głosi, że pochłonęła go była piękna Esterka, z którą miał dwóch synów: Niemierzę i Pełkę oraz córki, które pozwolił wychowywać w wierze mojżeszowej. Historycy spierają się trochę, czy prawda to jest, czy tylko piękna legenda.

Kazimierz Wielki był władcą mądrym i tolerancyjnym. Nadał Żydom liczne przywileje, pozwalał im osiedlać się w Polsce. W Polsce między innymi schronili się Żydzi wypędzeni w 1360 roku z Węgier przez Ludwika Andegaweńskiego. Ten był nietolerancyjny. Gdy podporządkował sobie Ruś Halicką zwalczał tam prawosławie jako herezję. Historycy próbują zatem tłumaczyć, że legendę o Esterce stworzono jako usprawiedliwienie sympatii Kazimierza Wielkiego dla Żydów. To właśnie piękna Esterka miała go do tego skłaniać i namawiać.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że Kazimierz Wielki miał licznych synów, ale wyłącznie z „lewego łoża". Byli wśród nich Niemierza i Jan — wymienieni z imienia w testamencie króla polskiego. Nadań przeznaczonych dla nich w testamencie Kazimierza Wielkiego jego następca Ludwik nie uszanował i ich tych nadań pozbawił. Nie tylko ich zresztą.

Kazimierz Wielki lekce sobie ważył wyjazd Aldony do Hesji i popełnił błąd. Chciał się on bowiem ponownie ożenić. Miał nadzieję począć syna. W 1365 roku odbył się jego ślub we Wschowej z Jadwigą, córką księcia żagańskiego Henryka V Żelaznego. Według prawa kanonicznego był to ślub nielegalny. Jak się zatem stało, że udzielił go biskup poznański Jan? Jerzy Wyrozumski w książce „Kazimierz Wielki" przypuszcza, że do Kazimierza Wielkiego mógł dotrzeć z Awinionu — gdzie wówczas była Stolica Apostolska — list z zapowiedzią pomyślnego załatwienia rozwodu, którego jednak Kazimierz Wielki nie otrzymał. Byłoby to bowiem zbyt niebezpieczne dla interesów Andegawenów i Luksemburczyków. Ich dyplomaci w Awinionie byli zainteresowani w utrzymaniu ważności małżeństwa z Adelajdą, gdyż każde nowe groziło niebezpieczeństwem urodzenia prawowitego potomka. A zarówno Andegaweni, jak i Luksemburczycy zamierzali dla siebie sięgnąć na trwałe po koronę Polski. Jedynie zgodzono się na uznanie za legalne córki Kazimierza Wielkiego i Jadwigi Żagańskiej: Annę, Kunegundę i Jadwigę. Stało się to w roku 1369 — a więc jeszcze za życia Kazimierza Wielkiego — oraz w 1371 — już po jego śmierci. Ludwik Andegaweński zabrał córki Kazimierza Wielkiego nad Dunaj i tak wydał je za mąż, aby przypadkowo ich potomstwo nie zagrażało dynastycznym interesom Andegawenów.

Byli wszakże

RODZIMI PRETENDENCI DO TRONU POLSKIEGO

Pierwszym z nich był Kazimierz książę słupski, syn Bogusława V i Elżbiety — córki Kazimierza Wielkiego i Aldony-Anny. Urodził się ten wnuk Kazimierza Wielkiego zwany Kaźkiem w 1351 roku i stał się ulubieńcem króla. Gdy ukończył 17 lat ożeniono go z Kenną-Joanną, księżniczką litewską, córką Olgierda, Joanna-Kenna zmarła w 1368 roku i w kilka miesięcy po jej śmierci odbył się ślub Kaźka z księżniczką mazowiecką, Małgorzatą, córką Ziemowita III.

Kazimierz Wielki adoptował Kaźka i zapisał mu w testamencie księstwa: dobrzyńskie, kujawskie, sieradzkie i łęczyckie z grodami Kruszwicą, Bydgoszczą, Wielatowem i Wałczem, a więc trzon ojcowizny Kazimierza Wielkiego. Zapis ten miał wyraźnie charakter polityczny i tak go potraktował Ludwik Węgierski. Dał mu w lenno Ziemię Dobrzyńską, Bydgoszcz, Wielatów i Wałcz, a więc część tylko wielkiego zapisu dziada. Kaźko zadowolił się tym i zrezygnował z wszelkich ambicji. Uczestniczył jeszcze w awanturach Władysława Białego, księcia gniewkowskiego, ale po stronie władcy.

Władysław Biały był synem Kazimierza III, księcia inowrocławsko-gniewkowskiego, blisko spokrewnionym z Kazimierzem Wielkim. W 1365 roku sprzedał swoje księstwo kuzynowi — Kazimierzowi Wielkiemu — i przywdział szaty zakonne. Gdy doszły go wieści o śmierci Kazimierza Wielkiego i gdy panowie wielkopolscy — negatywnie nastawieni do rządów Ludwika Andegaweńskiego — zrobili mu nadzieję na objęcie rządów w Polsce, rzucił klasztor i udał się do Awinionu, aby uzyskać papieską dyspensę od klasztornej reguły. Gdy to mu się nie udało, pojechał do Budy — zachęcany przez panów wielkopolskich — aby tam ubiegać się o swoje prawa. Może to się wydać dziś nielogiczne i wręcz absurdalne, ale w tamtych czasach nie takie starały się pociągnięcia polityczne. Ludwik Węgierski przyjął go raczej chłodno, ale jego żona Elżbieta Bośniaczka, która była spokrewniona z Władysławem Białym, wstawiła się za nim. Gdy i to nie nie dało, wrócił do Polski.

Najpierw opanował Włocławek, następnie Gniewkowo, Złotorię i Szarlej aż przerażony tym starosta wielkopolski Sędziwój z Szubina, mając poparcie powiadomionego listem Ludwika Andegaweńskiego, ruszył przeciw buntownikowi. Władysław Biały zwrócił zagarnięte zamki i schronił się u Ulryka von Ostena, lennika na zamku w Drezdenku.

Ponownie jednak ruszył przeciw załodze Złotorii, której przewodził mało sprawny i lubiący wino Krzypin ze Skrzypina. Podstępem opanował Złotorię, a następnie z pomocą Ulryka von Ostena zdobył Gniewkowo. Ulryk von Osten opuścił jednak Władysława Białego, gdyż nie chciał się zbytnio narażać Ludwikowi Andegaweńskiemu. Władysław Biały dawał już sobie świetnie radę sam.

„Chcąc położyć kres ciągłym napadom księcia Władysława Białego na ziemie Wielkopolski" — pisze Jan Długosz — *najazdom, pożarom, zabieraniu do niewoli rycerzy, rzeziom i ustawicznym, które posunęły się tak dalece, że nawet sam starosta wielkopolski Sędziwój z Szubina nie mógł im stawić oporu, starosta sieradzki Jan, zwany Jaśkiem Kmitą, z domu z rodu Sreniawitów, ogłosiwszy wyprawę maszerował z rycerzami i wojskiem sieradzkim w kierunku Złotorii, żeby ją oblec. Ponieważ zaś rycerze i wojska, które prowadził, poszli inną drogą i nie zwracali zupełnie uwagi na wrogów, kiedy znajdowali się na ziemi kujawskiej, jego wozy i wozy rycerzy z resztą taboru zostały zagarnięte przez ludzi Władysława Białego. Książę Władysław Biały zdobył wszystko, co wieźli: złoto, srebrne i inne naczynia, a nabywszy z tego wypadku wielkiej odwagi, kiedy przebył rzekę Wisłę, zmusił do chwycenia za broń mieszkańców Gniewkowa, okolicznych wsi i wszystkich młodych ludzi i z licznym raczej niż doborowym wojskiem zaczął oblegać Inowrocław"*.

Pod Inowrocławiem uległ połączonym wojskom Jaśka Kmity i Bartosza z Odolanów. Rozbity schronił się w Złotorii, którą bezskutecznie oblegał Sędziwój z Szubina. Tu właśnie po stronie Wielkopolan stanął Kaźko słupski, zwany też księciem szczecińskim i w bitwie ugodzony kamieniem w głowę, ciężko zachorował i wkrótce umarł. Po długich walkach i różnych podstępach Władysław Biały poddał zamek w Złotorii i udał się na Węgry, gdzie sprzedał swoje księstwo Ludwikowi Andegaweńskiemu, a sam wrócił do klasztoru i tam dokonał w spokoju żywota.

Jak z tego widać był to raczej znakomity na owe czasy awanturnik — jakich było wielu — niż pretendent do polskiego tronu. Zresztą panowie wielkopolscy, którzy początkowo żywili pewne złudzenia co do Władysława Białego, szybko pojęli swoje błędy i odwrócili się od niego. Dalsze awanturnicze walki prowadził już głównie na własny rachunek.

SKĄD BRAŁA SIĘ ATRAKCYJNOŚĆ POLSKIEGO TRONU W DRUGIEJ POŁOWIE XIV WIEKU?

Polska wyszła już z dzielnicowego rozbicia i Kazimierz Wielki rozpoczął proces utrwalania państwa średniowiecznego. Dla dalszej prawidłowości tego procesu byłoby niekorzystne, gdyby w Polsce rozpoczęła się walka o władzę. Dlatego Władysław Łokietek, a później Kazimierz Wielki troszczyli się o następstwo tronu i o to, aby — jeśli nie będzie naturalnych, prawnych następców — korona mogła przypaść silnemu władcy. Za takiego uznano Ludwika Andegaweńskiego. Andegaweńczycy byli zainteresowani połączeniem Polski z Węgrami, gdyż wzmacniało to ich pozycję. Ojciec Ludwika, Karol Robert przeprowadził szereg pomyślnych reform na Węgrzech. Ludwik Andegaweński znacznie poszerzył swoje państwo. Stwarzało to dobre prognozy na przyszłość.

Polska w tym czasie nie znajdowała się w dobrym położeniu politycznym. Na północy, zachodzie i południu miała silnych przeciwników lub wrogów. Na północy Zakon Krzyżacki. Na zachodzie Marchię Brandenburską. Na południu Luksemburczyków w Czechach. Na wschodzie natomiast była Litwa, której wojska częste i skutecznie najeżdżały Polskę, grabiąc i biorąc do niewoli całe wsie. Ale Litwa była zagrożona również przez Zakon Krzyżacki i Zakon Kawalerów Mieczowych oraz przez konsolidujące się państwo moskiewskie. Po bitwie na Kulikowym Polu nad Donem we wrześniu 1380 roku Dymitr Doński rozpoczął — nie bez trudności i przeciwności — proces scalania państwa moskiewskiego. Litwa więc — choć kąsała najazdami — była najmniej groźna. Zajęta była bowiem walkami z Krzyżakami i Moskwą.

Największe niebezpieczeństwo dla Polski stanowili Luksemburczycy. Opanowali Czechy, zagarnęli Śląsk i patrzyli łakomie na resztę ziem Polski. Śląscy książęta już w pierwszej połowie XIV wieku uznali zwierzchnictwo Czechów rządzonych przez Luksemburczyków. W 1348 roku Kazimierz Wielki zrzekł się praw do Śląska. Wraz z umacnianiem się władzy Jana Luksemburskiego posuwał się proces germanizacji. W 1327 roku we Wrocławiu wydano pierwszy dokument książęcy w języku niemieckim. Wykluczono język polski z rozpraw sądowych o długi. Henryk IV musiał złożyć hołd Janowi Luksemburskiemu królowi Czech. Również Karol IV sprzyjał procesom germanizacyjnym.

Panowanie Ludwika Andegaweńskiego, który umierał bez męskiego potomka, zapewniało już w najbliższym czasie Luksemburczykom panowanie w Polsce. Maria bowiem, córka Ludwika Węgierskiego, miała być żoną Zygmunta Luksemburskiego i jej miała w spadku przypaść korona polska. Polska spadała Luksemburczykom jak dojrzałe jabłko do sakwy. Stało się jednak inaczej. Ale to już zupełnie inna historia.

Cztery lata temu w poważnym czasopiśmie naukowym „Nature" ogłoszono, że Jezus Chrystus został ukrzyżowany w piątek 3 kwietnia 33 roku. Gdyby to było prawdą, miałby wówczas prawie 40 lat. Uczeni brytyjscy chyba jednak przesadzili.

Proces Jezusa według Ewangelii Nikodema

EDMUND LEWANDOWSKI

W roku *15 panowania Tyberiusza Cezara, władcy Rzymu, gdy Herod panował w Galilei, w roku 19 jego panowania, dnia ósmego przed kalendami kwietniowymi, to jest dnia 25 marca, za konsulatu Rufusa i Rubelliona, w czwartym roku 202 olimpiady, za najwyższego kapłana Żydów Józefa Kajfasza, to, co opowiedział Nikodem, po ukrzyżowaniu i męce Pana przekazał najwyższym kapłanom i innym Żydom. Spisał to zaś tenże Nikodem po hebrajsku".*

Tak zaczyna się mało znana Ewangelia Nikodema, której Kościół — obok kilkudziesięciu innych ewangelii — nie włączył do kanonu Pisma Świętego. Miał ją odnaleźć w dokumentach Piłata i przełożyć na język grecki około 440 roku pretorianin Ananiasz. Po raz pierwszy o istnieniu jakichś „Aktów Piłata" pisał Justyn Męczennik w połowie II wieku. A później Euzebiusz z Cezarei Palestyńskiej (265—340) ubolewał, że wrogowie chrześcijaństwa „podrobili" dokumenty Piłata i za zgodą władzy rozesłali po całym państwie. W sfałszowanej wersji były one podobno obowiązkowo wykładane we wszystkich szkołach.

KIM BYŁ NIKODEM?

Postać ta trzykrotnie pojawia się w Ewangelii św. Jana. Był to dostojnik żydowski, należący do stronnictwa faryzeuszy, lecz wyraźnie zainteresowany nauką Jezusa. Pomógł on Józefowi z Arymatei pochować ciało Jezusa, ponieważ apostołowie zbiegli i ukrywali się. Nie jest wykluczone, że mamy do czynienia z osobą historyczną i bezpośrednim świadkiem wydarzeń opisanych w apokryfie. Ale trudno stwierdzić, czy posiadana przez nas wersja, pochodząca z V wieku, jest zgodna z oryginałem. Problem ten zresztą dotyczy również ewangelii kanonicznych.

Ewangelia według Nikodema była niegdyś bardzo popularna. Także w Polsce. Na jej podstawie przeor klasztoru na Jasnej Górze Mikołaj z Wilkowiecka (1524—1601) napisał słynne misterium pt. „Historyja o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim". Najlepszy u nas znawca apokryfów, ksiądz Marek Starowieyski tak charakteryzuje omawiany utwór:

„EwNik jest zbudowana bardzo kunsztownie. W czasie procesu Chrystusa poszczególni świadkowie podają opisy poszczególnych epizodów z życia Chrystusa tak, że czytelnik ma obraz Jego życia od zaślubin Maryi aż do wniebowstąpienia. Zasadniczy zrąb fabuły jest następujący: w rozdz. I—XI podano opis procesu i śmierci Chrystusa. Autor stara się wykazać bezsensowność i bezpodstawność zarzutów stawianych przez Żydów, którzy wobec argumentów świadków i Piłata, który tylko logicznie wyprowadza wnioski, muszą zamilknąć. Druga część (rozdz. XII—XVI) podaje opis zmartwychwstania, dyskusji o nim przed Sanhedrynem i cudów mających z nim związek".

Czytając wstęp Ewangelii Nikodema, mamy wrażenie, że pozwala ustalić rok śmierci Jezusa. Szybko jednak przekonujemy się, że zawarte w nim dane są tylko pozornie ścisłe, a w rzeczywistości wzajemnie sprzeczne. Wiemy bowiem dziś, że Tyberiusz panował w Rzymie od 14 roku, Herod Antypas został tetrarchą Galilei i Perei po śmierci ojca (Heroda Wielkiego) w 4 roku p.n.e. Fufius Geminus i Rubellio Gemino byli konsulami w 29 roku, początek 202 olimpiady przypada w 33 roku, Kajfasza mianowano arcykapłanem w 18 roku.

Daty ukrzyżowania Jezusa nie da się również z całą pewnością wyznaczyć na podstawie ewangelii kanonicznych. Według synoptyków (Mateusz, Marek, Łukasz) Jezus działał publicznie nie dłużej niż jeden rok, natomiast czwarty ewangelista (Jan) pozwala przypuszczać, że ponad dwa lata. W tablicy chronologicznej dołączonej do Biblii Tysiąclecia (Poznań-Warszawa 1980) podano, że Chrystus działał w latach 27—28 lub 30—33.

Na szczęście wiemy na pewno, że wyrok skazujący Jezusa z Nazaretu na śmierć krzyżową zatwierdził prokurator rzymski Poncjusz Piłat. Był on piątym z kolei prokuratorem od utworzenia w tym regionie w 6 roku n.e. prowincji prokuratorskiej. Podlegał legatowi Syrii. Miał władzę nad Judeą, Idumeą i Samarią. Stale urzędował w Cezarei, lecz na okres wielkich świąt przenosił się do Jerozolimy, aby dopilnować ładu i porządku wśród przybywających do Świątyni pielgrzymów z różnych krajów. Przed nim rządzili tu: Koponiusz (6—9), Marek Ambiwiusz (9—12), Anniusz Rufus (12—15) i Waleriusz Gratus (15—26).

PONCJUSZ PIŁAT.

Utrzymał się na stanowisku prokuratorskim 10 lat. Mianował go w 26 roku cesarz Tyberiusz. Trzeba podkreślić, że wśród skrajnie fanatycznych Żydów nie miał łatwej służby. Ale często sam był sprawcą niepotrzebnych zatargów. Kiedy w 36 roku dokonał pogromu Samarytan, został zawieszony w czynnościach i odwołany do Rzymu na rozprawę sądową. Prawdopodobnie cesarz Kaligula skazał go na wygnanie. Wspomniany już wyżej Euzebiusz z Cezarei pisze:

„Otóż za rządów Gajusza... *tak wielkie dotknęły go nieszczęścia, że musiał targnąć się na własne życie i stać się własnym katem tak, iż w krótkim czasie jak najsłuszniej spadła na niego zemsta boska".*

Euzebiusz, jak widać, negatywnie ocenia Piłata. Wcześniej również Filon z Aleksandrii (15 p.n.e — 50 n.e.) oraz Józef Flawiusz (35—100) przedstawiali Piłata jako człowieka bezwzględnego i okrutnego. Natomiast w tekstach Nowego Testamentu, co ciekawe, prokurator rzymski jawi nam się jako sprawiedliwy urzędnik, który chciał uniewinnić Jezusa, lecz uległ szantażowany przez Żydów.

Jak było naprawdę, trudno dziś stwierdzić. W każdym razie Poncjusz Piłat musiał być niezłym administratorem, skoro tak długo pełnił urząd prokuratorski w niespokojnej ojczyźnie Żydów.

Znając okres rządów Piłata w Palestynie (26—36) możemy orientacyjnie ustalić czas śmierci Jezusa. Poza tym znamy również dzień tygodnia. Wszyscy czterej ewangeliści zgodnie podają, że Jezus zmarł w piątek (dzień przed szabatem) po południu. Ale nie ma zgodności co do dnia miesiąca. Synoptycy twierdzą, że było to nazajutrz po wieczerzy paschalnej, a Jan, że w przeddzień Paschy.

Wiosenne święta Paschy zaczyna się zawsze w dniu 15 miesiąca nisan (odpowiadającego naszemu okresowi marzec — kwiecień). Przy czym w kalendarzu żydowskim liczone dni od zachodu słońca. Już wieczorem rozpoczynał się nowy dzień.

Większość badaczy przyznaje rację św. Janowi i przyjmuje, że Jezus Chrystus umarł na krzyżu w piątek 14 nisan, podczas przygotowania Paschy i szabatu. Niektórzy zaś bronią wersji synoptycznej (piątek 15 nisan) i utrzymują, że Jan celowo zmienił datę śmierci z przyczyn teologicznych.

Jeśli opowiemy się po stronie większości, to pozostaje już tylko wybrać jedną z trzech dat: 11 kwietnia 27 roku, 7 kwietnia 30 roku, 3 kwietnia 33 roku. W tych bowiem dniach — za kadencji Poncjusza Piłata — 14 nisan wypadł w piątek. Z kolei zwolennicy synoptyków musieliby przyjąć, że Jezus Chrystus umarł dopiero 23 kwietnia 34 roku.

Cztery lata temu w poważnym czasopiśmie naukowym „Nature" dwaj uczeni brytyjscy z Oxfordu stwierdzili autorytatywnie, że Jezus został ukrzyżowany w piątek 3 kwietnia 33 roku. W jaki sposób to ustalili? Otóż obliczyli, że tylko tego dnia w latach 26—36 było widoczne w Jerozolimie w okresie Paschy zaćmienie Księżyca. Analiza astronomiczna wykazała, że Żydzi wyglądający wówczas zachodu słońca, aby zaraz przystąpić do stołu paschalnego, musieli ujrzeć żółto-pomarańczową tarczę Księżyca z fragmentem (ok. 20 proc.) koloru krwi. Zaćmienie rozpoczęło się 3 kwietnia 33 roku około godziny 18 minut 20 i trwało około 30 minut.

Rzecz jednak w tym, że ewangeliści nie wspominają o zaćmieniu Księżyca. Synoptycy podają tylko, że od godziny szóstej do dziewiątej (według naszego czasu od dwunastej do piętnastej) *„mrok ogarnął całą ziemię".* W odpowiednim przypisie do Biblii Tysiąclecia wyjaśniono, że nie mogło to być naturalne zaćmienie Słońca, ponieważ Księżyc był wtedy w pełni. Paschę obchodzi się podczas pierwszej pełni Księżyca po wiosennym zrównaniu dnia z nocą.

Skąd więc naukowcy z Oxfordu wzięli informację o zaćmieniu Księżyca? Ich zdaniem jest o tym mowa w Dziejach Apostolskich, kiedy św. Piotr przypomina Żydom słowa proroka Joela, że przed dniem Pańskim (ma tu chodzić o dzień zmartwychwstania Jezusa i zesłania Ducha Świętego) *„słońce zamieni się w ciemności, a księżyc w krew".*

Gdyby to było prawdą, że Jezus z Nazaretu został ukrzyżowany dokładnie 3 kwietnia 33 roku, miałby wówczas prawie 40 lat. Uczeni brytyjscy chyba jednak przesadzili. Moim zdaniem, bardziej prawdopodobna jest data 7 kwietnia 30 roku. Przyjmują ją m.in. Wilfrid J. Harrington, Daniel Rops i autorzy wydanego niedawno „Słownika teologicznego".

O CO OSKARŻONO JEZUSA?

W relacji Nikodema najwyżsi kapłani i uczeni żydowscy (Annasz, Kajfasz, Semes, Dathanes, Gamaliel, Judasz, Lewi, Neftali, Aleksander, Jair) wystąpili przed Piłatem z następującymi zarzutami:

„Choć wiemy, że jest synem Józefa rzemieślnika zrodzonym z Maryi, On jednak mówi, że jest Synem Bożym i królem. Ponadto bezcześci szabat i pragnie rozwiązać Prawo dane nam przez ojców. (...) Mamy Prawo, które nie pozwala kapłanowi uzdrawiać w dzień szabatu, On natomiast uzdrawiał właśnie w szabat ułomnych, garbatych, uschniętych, ślepych, paralityków, niemych i opętanych — a czynił sztukami magicznymi. (...) Jest czarownikiem i przez Belzebuba, księcia czartowskiego, wypędza szatany i wszystkie są mu posłuszne" (EwNik I, 1).

Szabat jest dniem wypoczynku w judaizmie, jak u nas niedziela. W czasie od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę Żydom nie wolno wykonywać żadnej pracy. Wszyscy muszą świętować, bo tak nakazuje Bóg Jahwe. A tymczasem Jezus w tym świętym dniu uzdrawiał chorych. Dla Żydów było to ciężkie przestępstwo, lecz nie dla Piłata. Namiestnikowi rzymskiemu wydawało się, że oskarżają dobroczyńcę.

Zaintrygowany niezwykłym przypadkiem Piłat przesłuchał również zwolenników oskarżonego. *„Dlaczego oni chcą Go zabić?"* — zapytał. I usłyszał: *„Nienawidzą Go zazdrośni, że uzdrawia w szabat".* Zdumiony odpowiedzią prokurator zadał następne pytanie: *„Za dobry czyn chcą Go zabić?".* Na co indagowani odrzekli krótko i jednoznacznie: *„Tak".*

Przeciwnicy Jezusa twierdzili, że jest on nieślubnym synem, zrodzonym z cudzołóstwa. Natomiast jego stronnicy oświadczyli, że prawda jest inna, ponieważ byli obecni na ślubie Józefa z Maryją. Fakt poślubienia Maryi przez Józefa potwierdzili też niektórzy „bogobojni" Żydzi przysłuchujący się śledztwu, których Annasz i Kajfasz nazwali prozelitami — dziećmi Hellenów nawróconymi na judaizm. Lecz tamci (Lazarz, Asterios, Antoni, Jakub, Amnes, Zeras, Izaak, Finees, Kryspus, Agrypa i Judasz) zaprzeczyli jakoby stali się prozelitami i stwierdzili, że są synami Żydów. Być może pochodzili oni z Galilei, kraju zamieszkiwanego przez wielu Greków, i w oczach Judejczyków uchodzili za gojów, czyli obcych.

Pokrytowany tym wszystkim Piłat oświadczył, że nie znalazł żadnej winy Jezusa. Kiedy zaś Żydzi upierali się, że przyprowadzili złoczyńcę, powiedział im, żeby sami go osądzili według własnego prawa. Na to Żydzi stwierdzili, że nie godzi im się kogokolwiek zabijać. A Piłat spytał ich, czy tylko im Bóg zabrania zabijać, a jemu nie?

Następnie prokurator odbył rozmowę z oskarżonym. Jezus powiedział, że królestwo jego nie jest z tego świata, że nauk jego słuchali ci, którzy są z prawdy. I teraz następuje ważny fragment:

„Mówi doń Piłat: «Cóż to jest prawda?» Mówi doń Jezus: «Prawda jest z nieba». Mówi Piłat: «Czyż nie ma prawdy na ziemi?» Mówi Jezus do Piłata: «Patrz, jak ci, co głoszą prawdę, są sądzeni przez tych, którzy mają władzę na ziemi» (EwNik III, 1).

Poncjusz Piłat był już przekonany, że ma do czynienia z człowiekiem niewinnym. Zakomunikował to po raz wtóry zebranym przed pretorium Żydom. Usłyszał wtedy kolejne oskarżenie, że Jezus mówił, iż zburzy Świątynię Jerozolimską i w trzy dni ją odbuduje.

W obliczu nieprzejednanej postawy oskarżycieli, Piłat zmuszony był oświadczyć, że nie bierze na siebie winy za przelanie krwi Jezusa. Prokurator wyraźnie zrzucił odpowiedzialność na Żydów, a oni chętnie ją przyjęli. *„Krew jego na nas i na dzieci nasze"* — powiedzieli.

Piłat nadal jednak nie rezygnował z prób uratowania Jezusa. Być może dlatego, że prosiła go o to żona, Claudia Procula, kobieta pobożna i skłaniająca się ku judaizmowi. W każdym razie zwrócił się do starszych, kapłanów i lewitów z następującą kwestią:

„Nie czyńcie tak: w tym bowiem, o co Go oskarżyliście, nie ma niczego, co byłoby godne kary śmierci. Wasze oskarżenia dotyczyły uzdrowień i łamania szabatu" (EwNik IV, 2).

Ewangelista apokryficzny informuje, że słowa te wypowiedział namiestnik rzymski po cichu. Może miał nadzieję, że starszyzna żydowska okaże się mądrzejsza i sprawiedliwsza niż prosty i uparty lud.

Ale przywódcy Żydów byli tak samo nieustępliwi. Zapytali prokuratora, czy zasługuje na karę śmierci osoba, która bluźni przeciw cesarzowi? A kiedy uzyskali potwierdzenie, sformułowali poważniejszy zarzut, że Jezus bluźnił przeciwko Bogu. Powiadomili przy tym Piłata, że ktoś taki zasługuje — według ich prawa — na ukamienowanie. Piłat więc poradził im, żeby wzięli sobie oskarżonego i postąpili z nim jak chcą.

Co na to Żydzi? *„My chcemy — mówią — by został ukrzyżowany".* O to przede wszystkim im chodzi. Piłat natomiast nie widzi podstaw prawnych do wydania takiego wyroku. Na śmierć krzyżową skazywano buntowników politycznych. Stwierdza zatem krótko: *„Nie zasługuje na ukrzyżowanie".* I jeszcze raz pyta Żydów, dlaczego Jezus ma umrzeć? Na co przywódcy żydowscy odpowiadają: *„Bo twierdził, że jest Bogiem i królem".*

Piłat zauważył, że wbrew zapewnieniom kapłanów, nie wszyscy Żydzi pragnęli śmierci Jezusa z Nazaretu. Wielu spośród zgromadzonych płakało. W obronie oskarżonego wystąpił publicznie Nikodem. Zwrócił on się do swych rodaków, żeby puścili Jezusa, ponieważ nie zasługuje na śmierć.

Dalej czytamy:

„Mówią Żydzi do Nikodema: «Stałeś się Jego uczniem, więc ustawiasz się za nim!» Mówi do nich Nikodem: «Jeśli więc namiestnik ustawia się za Nim, znaczy to, że i on stał się Jego uczniem? Czy cesarz nie dał mu tej godności?» Żydzi rozłościli się wielce i zgrzytali zębami przeciw Nikodemowi" (EwNik V, 2).

Odmiennej wystąpieniem Nikodema również inni zaczęli prosić Piłata o głos i świadczyć na korzyść Jezusa. Podawali przykłady własnych uzdrowień. Nic to jednak nie pomogło. Większość obstawała przy żądaniu kary śmierci. Pojawiła się nawet groźba buntu.

W tej sytuacji Poncjusz Piłat zaproponował, że z okazji święta Przaśników (inne określenie Paschy) może zwolnić — zgodnie ze zwyczajem — jednego więźnia.

ŻYDZI MOGLI WYBRAĆ

Jezusa bądź Barabasza. Ten drugi został skazany za morderstwo. Wydawało się więc, że sprawa jest prosta, że starszyzna i lud wybiorą Jezusa. A tymczasem większość opowiedziała się za uwolnieniem Barabasza. Jednocześnie niektórzy z Żydów ostrzegli Piłata, że uwalniając Jezusa, dałby dowód, że nie jest przyjacielem cesarza. Był to już wyraźny szantaż. I trudno dziwić się Piłatowi, że nie zamierzał dla jakiegoś Żyda ryzykować swej kariery politycznej i życiowej. Nie zachował się do końca moralnie, lecz nie zapominajmy kim był. W brutalnym świecie imperium rzymskiego doszedł do dość wysokiego szczebla władzy.

Piłat nie chciał w sposób jawny pogwałcić zasad sprawiedliwości. Może chciał postąpić wbrew żądaniom Żydów, których nie cierpiał? Może działał na prośbę żony, która podobno później stała się chrześcijanką? Może sam nabrał sympatii do spokojnego i mądrego Galilejczyka? Tego nie wiemy. Ale na pewno nie był to człowiek łagodny i pełen skrupułów moralnych.

Historyk katolicki Daniel Rops pisze:

„Wiele było incydentów świadczących o tym, że prokurator miał ciężką rękę. Ale czy on, odpowiedzialny za ład w narodzie, szczególnie trudnym do rządzenia, miał możliwość wyboru środków? Gdy czytamy Ewangelię, nie mamy wrażenia, by Piłat był człowiekiem brutalnym i niesprawiedliwym. Natomiast mamy wrażenie, że był bardzo podobny do innych ludzi swej kasty, do tego całego rządzącego personelu cesarskiej Romy, który Renan porównuje do angielskich torysów mówiąc, że «siłę swą czerpią ze swych przesądów»; wydaje się, że jak wszyscy jemu współcześni, był cywilizowany tak w złym, jak i w dobrym tego słowa znaczeniu i że jak inni Rzymianie miał najwyższą pogardę dla wszystkiego, co nierzymskie. A oto teraz ten naród, którego nie rozumiał, przyprowadza mu jakiegoś rzekomego króla. Jakiegoś proroka, jasnowidza. Może chcą po prostu, by się ośmieszył wydając wyrok na półgłówka? Zresztą nie schwytano tego człowieka in flagranti na podburzaniu ludu. Znowu więc jakieś machinacje tych niemożliwych kapłanów! Tak więc przez podejrzliwość i pogardę dla Żydów Piłat nie był Jezusowi nieżyczliwy".

Teksty kanoniczne i apokryficzne wskazują, że tzw. droga krzyżowa była okrutną maskaradą. Oprawcy zrobili sobie krwawą zabawę, traktując Jezusa jak króla. Podtrzymał tę konwencję również Piłat każąc na krzyżu umieścić napis, że wisielec jest królem Żydów. Była to równocześnie drwina z Jezusa i jego narodu.

O śmierci Jezusa wspomina także Talmud babiloński, który powstał w latach 219—500. Jednakże mówi się tam, co ciekawe, o ukamienowaniu na rozkaz Heroda. Warto przytoczyć ów fragment.

„W wigilię Paschy został zabity Jezus. Herod ogłosił: On zostanie wyprowadzony za mur na ukamienowanie, ponieważ zajmował się magią i zwiódł Izraela czyniąc go apostatą. Jeżeli kto ma coś na jego obronę, niech wystąpi. Ponieważ nikt nic nie powiedział na jego obronę, dlatego zabito go w wigilię Paschy".

Na straszną karę ukamienowania skazywali Żydzi heretyków religijnych, cudzołożników i innych wielkich grzeszników. Natomiast ukrzyżowanie było karą stosowaną przez Rzymian wobec buntowników politycznych.

Ukrzyżowanie i śmierć Jezusa, który miał być Bogiem, stanowiły początkowo dla chrześcijan sprawę kłopotliwą i wstydliwą. Stąd powstał słynny paradoks sformułowany przez Tertuliana:

„Syn boży został ukrzyżowany — nie wstydzę się tego właśnie dlatego, że to wstyd przynosi. Syn boży umarł — jest to godne wiary dlatego, że jest niedorzeczne. Pogrzebany zmartwychwstał — to jest pewne, ponieważ jest niemożliwe".

Wiara w zmartwychwstanie Jezusa stała się podstawą teologii chrześcijańskiej. Święty Paweł podkreślał, że gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, gdyby nie było to prawdą, to wtedy cała religia chrześcijańska nie miałaby żadnego sensu. Trzeba tu wszak przypomnieć, że doktryna uznająca duszę nieśmiertelną, zmartwychwstanie ciał oraz niebo i piekło powstała pod wpływem wierzeń irańskich, greckich i egipskich, a niewiele ma wspólnego z Torą żydowską, dlatego odrzucali ją kapłani judaizmu.

Problem ten dręczy bohaterów książek Isaaca B. Singera. W powieści „Dwór" Azriel powiada:

„Czy w Pismach jest jakaś wzmianka o życiu przyszłym lub zmartwychwstaniu? Nie, nie ma. Księga Kohelet twierdzi kategorycznie, że wraz ze śmiercią wszystko się kończy".

Przypomina się tu anegdota na temat Władysława Jagiełły. Chcąc jak najprędzej nawrócić Żmudzinów na chrześcijaństwo król osobiście wyjaśniał skomplikowane dla nich sprawy teologiczne. Kiedy tłumaczył dogmat o zmartwychwstaniu ciał, jeden ze słuchaczy powiedział:

„Jużci, ja wierzę, że zmartwychwstaniemy miłościwy królu, ale obaczysz, że nic z tego nie będzie".

„(...) Zen jest bardzo prosty. Jest czas mycia naczyń — po prostu myj naczynia; czas siedzenia — po prostu siedź; czas prowadzenia samochodu — po prostu prowadź; czas rozmowy — po prostu rozmawiaj; czas spacerowania — po prostu spaceruj. To wszystko. Nic szczególnego. Lecz to jest bardzo trudne. To jest absolutne myślenie. Gdy coś robisz, po prostu rób to. Bez przeciwieństw. Bez podmiotu, bez przedmiotu. Bez wewnętrznego, bez zewnętrznego. Zewnętrzne i wewnętrzne stają się jednym. To się nazywa absolutnym (...)".

Lin Rhodes — nauczyciel zen

Głos dzwonu wciska się w każdy zakamarek mieszkania. Kołuje pod sufitem, odbija się od białych ścian, przenika nawet przez szczelnie naciągnięte na głowę śpiwory. Po chwili milknie, lecz oto zastępuje go dźwięk inny: głuche, monotonne uderzenia pałeczką w moktak — instrument perkusyjny swym kształtem przypominający obłą rybę, wykonany z wydrążonego wewnątrz kawałka drewna. Tak budzi się dzień w świątyni Do Am Sah. Jest piąta rano.

Nim rozpocznie się codzienna, poranna praktyka, trzeba jeszcze zwinąć śpiwór i matę, która służyła za łóżko, następnie znieść to wszystko do piwnicy — pokoje muszą pozostać idealnie puste. Należy się śpieszyć: czasu jest tylko kwadrans; może jeszcze uda się wpaść — choć na chwilę — do łazienki? Poranne sprzątanie odbywa się w milczeniu, bowiem rozmowy są surowo zakazane: można co najwyżej zamienić szeptem kilka najniezbędniejszych słów.

W kwadrans później wszyscy spotykają się w sali Dharmy. Pierwsza zjawia się Marta — jest dziś Mistrzem Moktaka. To właśnie ona musiała wstać wcześniej niż inni i biciem w dzwon obudzić sanghę — buddyjską społeczność. Tuż za nią Jakub — Opat Świątyni i jednocześnie Główny Nauczyciel Dharmy — z głową ogoloną tak, jak nakazuje obyczaj buddyjskich mnichów. I reszta tego małego światka: Ala, Marzena, Perełka, prawie zdziemniały Robert, Magda, Jasia.

SALA DHARMY

jest dobudowanym do jednorodzinnego domku drewnianym budynkiem, utrzymanym w sinoistycznym stylu. Na wprost wejścia, na tle malowidła przedstawiającego Awallokiteśwarę — Bodhisattwę Współczucia, ołtarz w formie schodkowej piramidy, składający się z trzech stopni. Na najwyższym z nich, na okrągłej poduszce, spoczywa brązowy posążek Buddy siedzącego w pozycji „dotknięcia ziemi", pozycji oznaczającej wykorzenienie pożądań. Stopień niżej stoją dwie świece w lichtarzach i dwie miseczki z jadłem: jedna z wodą, druga z ryżem. Na stopniu najniższym, z prawej strony leży moktak: podrodzaj, później Buddy — kadzielnica, w której spalone są wonne laseczki kadzideł, oraz długi, drewniany, płaski kij — kyosaku. Z lewej strony leży krótki, drewniany młotek zenkpi, służący do odmierzania okresów siedzenia zen. Czubki swym kształtem przypomina dziób bociana — z racji przeciętej na całej długości głowni. Ołtarz tonie w kwiatach — jeszcze barwnych, choć zasuszonych.

Wzdłuż ścian, na drewnianej podłodze, tworząc otwartą od strony ołtarza literę „U", leżą czerwone maty, a na każdej z nich po dwie okrągłe, czarne poduszki, wypełnione łuskami z kaszy gryczanej. Dokładnie na wprost ołtarza, przy wejściu, leży biała, kwadratowa mata, a na niej okrągła, czerwono-złota poduszka: to miejsce Mistrza Zen — Soen Sa Nima Seung Sahna — i tylko jemu wolno je zająć.

Ściany pomieszczenia przyozdobione są wizerunkami mistrzów szkoły Kuan Um oraz tekstami wykonanymi na jedwabnych wstęgach, składającymi się z długich kolumn ideogramów. Wiszący na drewnianej, masywnej konstrukcji, stojącej po lewej stronie wejścia, duży pękaty dzwon, dopełnia umeblowania tego pomieszczenia. Pomieszczenia, służącego nie tylko do codziennych praktyk, lecz także do spożywania uroczystych posiłków oraz do spania: tu bowiem nocują ci wszyscy praktykujący zen, którzy na kilka dni przyjeżdżają z całej Polski do swej świątyni głównej.

Słychać odgłos bosych stóp na drewnianej podłodze: to uczestniczący w porannej praktyce zajmują swe miejsca pod ścianami, naprzeciw swych poduszek. Opat i Mistrz Moktaka stają natomiast po obu stronach ołtarza, tyłem do niego.

Głęboki pokłon, ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi rozpoczyna ceremonię.

108 POKŁONÓW

Kolejny pokłon jest już inny: wszyscy klękają, nakładają lewą stopę na prawą, opierają dłonie na macie i dotykają twarzą podłogi. Na moment odwracają dłonie wnętrzem do góry, chwilę trwają w bezruchu, po czym wstają, by po chwili rozpocząć następny pokłon. I następny. I jeszcze jeden.

Panuje cisza, w której słychać jedynie przyspieszone oddechy. W dłoniach zwykle, proste różańce: dwadzieścia siedem koralików nanizanych na krótkie, kolorowe sznureczki. Każdy koralik to jeden pokłon. Ceremonia kończy się po czterech okrążeniach różańca...

Owe 108 pokłonów — to minimum, które powinien wykonać co rano każdy praktykujący buddysta ze szkoły Kuan Um. Są jednak i tacy, którzy wykonują ich pięćset, tysiąc a nawet trzy tysiące!

...106...107...108... Koniec. Jeszcze tylko ostatni półpokłon i już można opuścić salę Dharmy, nie zapominając oczywiście o oddaniu Buddzie należnej czci.

Do rozpoczęcia drugiej części porannych praktyk pozostało jeszcze kilka minut; można więc usiąść w przedsionku na twardych poduszkach, uregulować oddech, dać odpocząć zmęczonym nogom i plecom.

Przedsionek sali Dharmy służy jednocześnie jako miejsce do przebierania się w rytualne szaty. Wiszą one na przeciwległych ścianach, na specjalnych, drewnianych wieszakach. Na trzeciej ścianie, naprzeciw okna, znajduje się wieszak na szaty dla Mistrza, Opata i Nauczycieli Dharmy, a także niewielki ołtarzyk Buddy.

Kwadrans przed szóstą moktak rozlega się po raz drugi.

NAWOŁUJĄC DO ZAZEN CZYLI MEDYTACJI

Każdy uczestniczący w siedzeniu zen (za — oznacza siedzenie), powinien założyć na siebie krótką, szarą szatę. Jedynie nauczyciele Dharmy upoważnieni są do noszenia szat długich, powłóczystych, również w szarym kolorze. Niektórzy zakładają na siebie także kasa — krótkie, brązowe fartuszki na szelkach — znak, że przyjęli pięć wskazań Buddy: nie zabijaj, nie kradnij, nie kłam, nie pożądaj seksu, nie używaj środków odurzających. Świadectwem ich przyjęcia jest także maleńka blizna na przedramieniu: ślad po dotknięciu tlącym się kadzidłem. Owego rytualnego dotknięcia może dokonać jedynie Mistrz, który raz do roku odwiedza wszystkie świątynie rozrzucone po całym świecie: od Korei po Hiszpanię, od Brazylii po Kanadę.

Każdy siada na swoim miejscu twarzą do ściany i stara się usadowić jak najwygodniej: przez najbliższe pół godziny nie będzie można zmienić swej pozycji. Jedni siadają „po turecku" na poduszkach, inni klęczą, jeszcze inni usiedli jak Budda — w „kwiecie lotosu".

Trzy uderzenia mieczem czukpi w dłoń rozpoczynają medytację. Salę zalega cisza: słychać w niej tylko regularne oddechy, odgłos przesuwanych w palcach paciorków różańca i ... tykanie zegara — jedynej rzeczy, świadczącej o tym, że rzecz dzieje się u schyłku XX wieku...

Mniej więcej po kwadransie siedzenia, opat podnosi się ze swego miejsca, podchodzi do ołtarza i bierze z niego długi, płaski kij kyosaku, po czym wolno zaczyna kroczyć za plecami siedzących. Jeśli dostrzeże, że któraś osoba nie jest należycie skoncentrowana, zwraca jej uwagę, trącając lekko kijem w ramię. Osoba taka powinna wówczas złożyć dłonie i wykonać głęboki pokłon. Spadają wówczas na nią cztery uderzenia, po dwa z każdej strony pasa barkowego. Należy jeszcze tylko podziękować opatowi za zwrócenie uwagi, po czym można wrócić do medytacji.

Może zdarzyć się i tak, że ktoś sam czuje, iż ma kłopoty ze skoncentrowaniem się. Gdy opat znajduje się za jego plecami, powinien sam wykonać pokłon. Uderzenia kija ponoć doskonale pomagają w pobudzeniu uwagi i rozluźnieniu napięcia...

Po okrążeniu pomieszczenia opat odkłada kij na ołtarz, powraca na swoje miejsce i także pogrąża się w medytacji. Znów słychać przesuwające się w palcach paciorki różańca...

Trzy uderzenia czukpi kończą półgodzinne siedzenie. Wszyscy w milczeniu odwracają się twarzami do siebie; rozpoczyna się

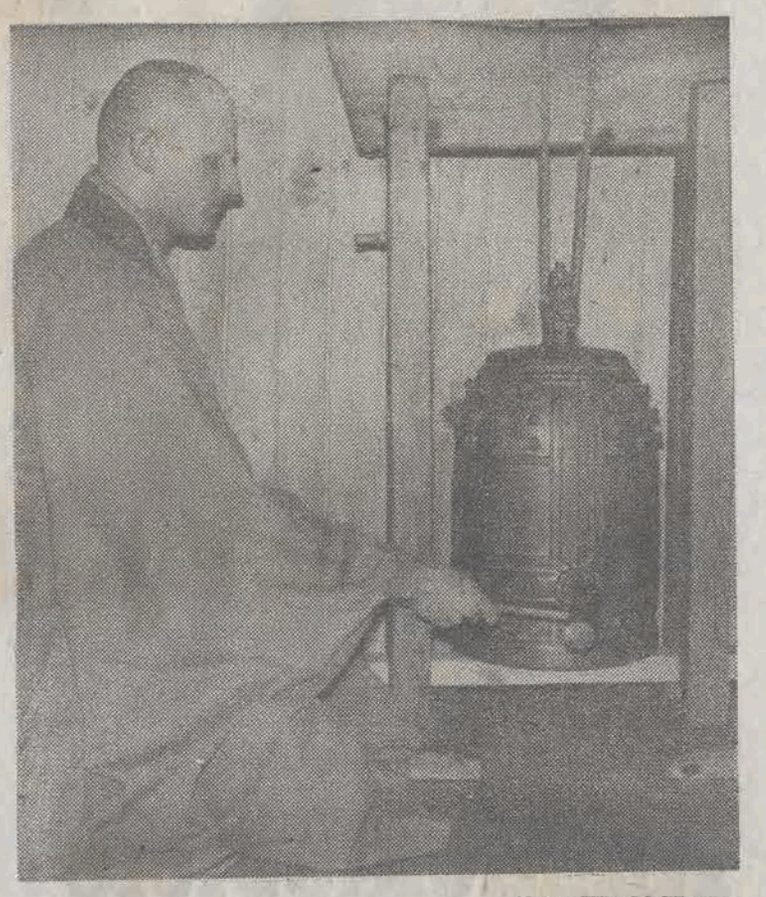

Foto: Witold Werner

Dzień w świątyni Do Am Sah

WITOLD WERNER

NAJPIĘKNIEJSZA CZĘŚĆ PORANNYCH PRAKTYK: ŚPIEWY.

Po chwili pomieszczenie wypełnia czysty, dźwięczny głos dzwonu. I śpiew. Monotonny — lecz urzekająco piękny śpiew w języku koreańskim; jedynym akompaniamentem jest dzwon lub moktak. Gdy uderzenia przyspieszają w określony sposób, wszyscy wykonują głęboki pokłon.

„(...) Oto wielka, przekraczająca rozumienie mantra
Oto mantra wielkiego poznania
Oto najwyższa mantra usuwająca wszelkie cierpienie
Prawdziwa, bo jest bez błędu
Głoś mantrę pradżniaparamity
Głoś mantrę, która brzmi:
Gate, gate paragate, parasamgate bodhi swaha (...)"

Mistrz zen, Soen Sa Nim Seung Sahn powiedział:

— *Medytacja śpiewania oznacza utrzymanie nieporuszającego się umysłu, postrzeganie prawdziwego siebie. Tak więc, kiedy śpiewasz, musisz postrzegać dźwięk swego głosu. Ty i Wszechświat już stanowicie się jednym, cierpienie znika, pojawia się prawdziwe szczęście. Nazywamy to Nirwaną. Jeśli utrzymujesz Nirwanę, twój umysł jest czysty jak przestrzeń. Czysty jak przestrzeń — znaczy czysty jak lustro. Pojawia się czerwień — jest czerwień. Pojawia się biel — jest biel. Ktoś jest szczęśliwy — ja jestem szczęśliwy. Ktoś jest smutny — ja jestem smutny. Ktoś jest głodny — dać mu jeść. Nazywa się to Wielką Miłością, Wielkim Współczuciem, Wielką Drogą Bodhisattwy. To jest medytacja śpiewania, zen śpiewania.*

Ciszę, jaka zapanowała po ostatniej mantrze przerwał opat:

— *Magda gotuje, Marta sprząta łazienkę i ubikację, Marzena — salę Dharmy. Ala przedsionek i korytarz, ja — werandę. Reszta pomaga Magdzie w kuchni.*

Pokłon kończy poranną praktykę.

BUDDYZM ZEN

wyznaje zasadę, że dzień bez pracy jest jednocześnie dniem bez jedzenia. Innymi słowy — nie pracowałeś, nie dostaniesz jeść. Dlatego pracować musi każdy — czy tego chce, czy nie. I każdy zobowiązany jest do utrzymywania wokół siebie sterylnej wręcz czystości.

Nic zatem dziwnego, że świątynia Do Am Sah lśni czystością. Na podłodze, wyłożonej wykładziną dywanową, nie znajdzie się ani ziarenka piasku; na nielicznych sprzętach nie ma mowy o pyłku kurzu. Podobnie jest na zewnątrz budynku: ani jednego papierka czy niedopałka papierosa. Obowiązuje zasada: *sjadłeś — umyj po sobie; wziąłeś jakiś przedmiot — odłóż go w to samo miejsce.*

W ruch idą szczotki, szmaty, odkurzacz. Przez trzy kwadranse cały dom doprowadzany jest na „wysoki połysk". Kuchnia także nie próżnuje: śniadanie musi być gotowe — co do minuty — za piętnaście ósma.

Praktykujący buddyzm zen są wegetarianami, tzn. nie spożywają mięsa (*„Jak można jeść stworzenie, które odczuwa i cierpi?"*), choć nie gardzą nabiałem. Mimo to ich kuchnia wcale nie jest uboga smakowo; wręcz przeciwnie, dzięki zaskakującym i niekiedy szokującym kompozycjom przypraw, jest w stanie zadowolić nawet najbardziej wymagające podniebienia.

Punktualnie kwadrans przed ósmą rozlega się moktak wzywający na śniadanie. W przedsionku, przed salą Dharmy, na podłodze leży już rozłożona mata, a na niej — w idealnym porządku chleb, masło, ser, jaja na twardo, gotowane i surowe płatki owsiane, herbata, mleko i jabłka na deser.

— *Hapczang!* — Marta pełni honory pani domu, a wszyscy wykonują głęboki pokłon ze złożonymi dłońmi.

Potrawy rozdzielane są równo, ale za to z iście wersalską grzecznością. Uderza fakt, że żadna, nawet najmniejsza cząstka jedzenia nie może się zmarnować; wszystkie okruszki są natychmiast podnoszone z podłogi i zjadane. Zaskakujący jest także sposób picia herbaty: szklanki i kubki są tu nieznane — pije się po prostu z głębokich czarek.

KIM SĄ MIESZKAŃCY TEGO MAŁEGO ŚWIATKA?

Dlaczego uciekli od życia w świat ograniczony ramami buddyzmu? Jak widzą swe dalsze życie? Czy są szczęśliwi?

W ośrodku mieszka jedenaście dorosłych osób i pięcioro dzieci w wieku od pół roku do siedmiu lat. Zdecydowana większość ukończyła szkołę średnią lub wyższą; do niedawna byli także praktykującymi katolikami. Jednak każde z nich stanęło w pewnym momencie przed pytaniem, na które nie potrafili znaleźć odpowiedzi. Pytaniem, dotyczącym sensu życia, istoty śmierci, cierpienia, przemijania, miłości, nienawiści. Pytaniem, na które religia chrześcijańska nie potrafiła im dać przekonywającej odpowiedzi. I wówczas na ich drodze pojawił się zen. Pozwolił im znaleźć przyczynę cierpień, które tkwią wewnątrz, a nie na zewnątrz, pomógł zrozumieć istotę niezmiennego, odnaleźć siebie.

Przyszłość? A co to jest przyszłość? To przecież tylko puste słowo. Przeszłości już nie ma, przyszłości jeszcze nie ma. Trzeba żyć dniem dzisiejszym — bo tylko on się liczy. Reszta nie ma znaczenia.

Czy są szczęśliwi? Chyba tak, skoro nie wyjeżdżają, skoro nie opuszczają tej buddyjskiej enklawy ciszy i spokoju w zwariowanym, pędzącym na złamanie karku ku samozagładzie świecie.

Ktoś kiedyś zadał Soen Sa Nimowi pytanie, jak się mają wojny i pociski nuklearne do zen. Odpowiedział:

Idź na studniowe odosobnienie i tylko SIEDZ, wtedy nie będziesz miał tego problemu.

Po śniadaniu wszyscy rozchodzą się do swoich zajęć: Robert i Marzena uczą się jeszcze, Magda maluje, Marta robi na drutach — pozwala im to jakoś przeżyć. Ci, którzy nie mają konkretnego zajęcia, pracują na rzecz ośrodka: przekopują grządki w ogródku, porządkują teren, przycinają gałęzie, bielą owocowe drzewka. Dzień bez pracy — dniem bez jedzenia — ta zasada jest widoczna na każdym kroku.

O czternastej dźwięk moktaka wzywa wszystkich na obiad.

I znów wszyscy zasiadają na podłodze przy suto zastawionej macie.

— *Hapczang!*

Do miseczek ryżowych jest krupnik (oczywiście bez mięsa), a następnie, do tych samych miseczek nakładane jest drugie danie: kasza perłowa i jarskie kotlety, składające się z dwóch gatunków kaszy, mąki, jajek, przypraw i ogromnej ilości... smyzu! Do tego dwa rodzaje surówek, do których dodano m.in. mocną herbatę i śliwkowe powidła. Na deser jabłka oraz kisiel, podawany — o dziwo — w tych samych miseczkach (sic!)!

Dla osób, które po raz pierwszy przekraczają próg świątyni, taki sposób jedzenia jest trudny do przyjęcia. Jednakże w ojczyźnie buddyzmu gdzie nikt nie narzeka na nadmiar pożywienia, takie postępowanie nie jest czymś szczególnym. Ba, w Azji idzie się jeszcze dalej: po ostatnim posiłku, do miseczki wlewa się jeszcze wodę, która służy do jej umycia. Wodę po umyciu należy wypić! Naczynie po posiłku musi być czyste.

Obiad — jak zwykle — kończy rytualny pokłon. Do osiemnastej, do chwili rozpoczęcia wieczornych praktyk, jest czas wolny.

Niektórzy wykorzystują go na medytacje: szukają cichego, ustronnego kącika (o co wcale nie jest łatwo), po czym zatopieni w medytacji siedzą godzinę, czasem dłużej.

Przed osiemnastą ośrodek zapełnia się gośćmi: to przyjeżdżają praktykujący z najbliższych okolic. Na co dzień nie ma ich wielu: ot, 7—10 osób. Ale gdy w świątyni jest jakieś szczególne święto, np. wizyta Mistrza, ilość gości z całej Polski dochodzi nawet do 140!

Trudno jest dokładnie powiedzieć, ilu w kraju jest praktykujących zen ze szkoły Kuan Um: liczba ich jednak z pewnością nie przekracza pięciuset. Podobnych ośrodków jak ten, w Warszawie, jest w sumie cztery: znajdują się jeszcze w Krakowie, Gdańsku i Lublinie. Ponadto w Łodzi, Koszalinie i Bytomiu znajdują się grupy, dysponujące niewielkimi pomieszczeniami, w których także odbywają się codzienne praktyki.

Moktak po raz kolejny wzywa do sali Dharmy: za chwilę rozpocznie się

WIECZORNA PRAKTYKA

Po chwili wszyscy przebrani w szare szaty stoją już przed swoimi poduszkami. W śpiewach „specjalnych" uczestniczy około dwudziestu osób.

— *Dziś śpiewy specjalne w stylu Kido — na intencję warszawskiego ośrodka zen, by szczęśliwie się rozwijał.*

Mistrz moktaka wystukuje jednostajny powolny rytm, wszyscy zaś śpiewają mantrę *„Kuan Seum Bosal"* — jedno z imion Bodhisattwy Współczucia. Początkowo powolne uderzenia zaczynają przyspieszać, stają się coraz szybsze i szybsze. Coraz szybsza jest także pieśń. Do uderzeń w moktak dołączają dłonie: najpierw nieśmiało, potem coraz mocniej i mocniej, aż do bólu. W pewnej chwili ruszą taneczny korowód. Prowadzi go osoba z moktakiem, a za nią, krokiem dostosowanym do tempa melodii idą inni, tworząc „węża". „Wąż" wije się po całej sali, zmienia kierunek, zawraca, przenika sam siebie, skręca się w spiralę. *„Kuan Seum Bosal"... „Kuan Seum Bosal"...* Tylko ta jedna mantra wypełnia całe pomieszczenie, ulatuje w przestrzeń, w kosmos. *„Kuan Seum Bosal"... „Kuan Seum Bosal"...* Tylko te słowa tkwią pod czaszką, wypełniają ją szczelnie, nie dopuszczając żadnej innej myśli. *„Kuan Seum Bosal"... „Kuan Seum Bosal"...*

Kido jest praktyką dającą wiele energii; jest treningiem utrzymywania jednego umysłu, wspomaganego wspólną energią praktykujących. Dziś była to tylko mała próbka tych praktyk. Normalnie Kido trwa trzy dni i codziennie śpiewa się i gra na małych bębenkach, grzechotkach, marakasach czy po prostu na kuchennych drewnianych łyżkach, przez dziewięć godzin.

Nie jest to jedyna dłuższa praktyka medytacyjna. Raz w miesiącu organizowana jest także trzydniowa praktyka Yong Meng Jong Jin. Przebiega ona w całkowitym milczeniu i obejmuje codziennie także po dziewięć godzin siedzenia zen, podzielonego na rundy 30 i 40-minutowe oraz pokłony.

„Kuan Seum Bosal"... „Kuan Seum Bosal"... Tempo powoli zwalnia, pieśń cichnie. Wraz z ostatnim pokłonem zamiera zupełnie.

Dalsza część wieczornych praktyk nie różni się od praktyk porannych: pół godziny śpiewów „codziennych" oraz pół godziny siedzenia zen. Jedynie w piątek siedzenie trwa półtorej godziny i podzielone jest na trzy rundy. Kolacja kończy dzień w świątyni Do Am Sah.

O dwudziestej drugiej w całym budynku panuje idealna cisza. Nie znaczy to wcale, że świątynia śpi: kilku bardziej gorliwych wyznawców usiadło w pokoju gościnnym twarzami do ściany i zastygło w medytacji; kilka osób robi rytualne pokłony. W prywatnych pokojach także płoną światła: tu można się spotkać, pogadać na tematy wcale nie związane z religią, pośmiać się czy posłuchać Vollenweidera ze stereofonicznego „Sanyo". Ba, wolno tu nawet zapalić papierosa czy zjeść mięso. Tylko po co? Po co zakłócać ten idealny spokój, tę idealną harmonię i piękno buddyjskiej świątyni, położonej w samym sercu Europy?

Ankieta

DRODZY CZYTELNICY

Prosimy o uważne i staranne wypełnienie zamieszczonej ankiety oraz przysłanie jej pod adresem redakcji.

Odpowiedzi na ankietę pomogą lepiej redagować tygodnik, stosownie do Państwa życzeń i zainteresowań. Ankietę można podpisać lub nie. **Osoby, które chcą wziąć udział w losowaniu atrakcyjnych nagród książkowych prosimy o podanie adresu.**

1. Od jak dawna jest Pan(i) czytelnikiem „Odgłosów"? (proszę podkreślić) — 1 — od paru tygodni, 2 — od kilku miesięcy, 3 — od roku, 4 — od 2 lat, 5 — od 3 lat, 6 — od 4 lat, 7 — od 5 lat, 8 — od 10 lat, 9 — od 20 lat, 10 — od początku.

2. Czy czyta Pan(i) „Odgłosy"? 1. Stale, każdy numer, 2. dorywczo, od czasu do czasu.

3. Proszę wskazać powód, który decyduje o tym, że czyta Pan(i) „Odgłosy" (proszę podkreślić najwyżej dwie możliwości)
   1. Przywiązanie, przyzwyczajenie, wieloletni związek z pismem,
   2. Atrakcyjność artykułów,
   3. Lokalny charakter tygodnika — interesują mnie materiały prasowe dotyczące spraw Łodzi,
   4. Odpoczywam przy lekturze,
   5. Inny (jaki?) . . . . . .

4. Jaką ocenę postawił(a)by Pan(i) „Odgłosom" wg systemu ocen szkolnych? (proszę podkreślić): 5 — b. dobra, 4 — dobra, 3 — dostateczna, 2 — niedostateczna.

5. Jakie stałe pozycje (rubryki) czyta Pan(i) najchętniej w „Odgłosach"?

. . . . . .

6. Jakie sprawy, tematy, problemy interesują Pana(ią) najbardziej w „Odgłosach"?

1. Handel, zaopatrzenie rynku
2. Ceny, zarobki, warunki życia
3. Sytuacja gospodarcza kraju (produkcja, przemysł)
4. Polityka
5. Kultura (metoda, literatura, film, teatr, widowisko, muzyka młodzieżowa)
6. Nauka (badania, odkrycia naukowe, praca uczonych)
7. Technika, postęp techniczny, motoryzacja
8. Sprawy młodzieży
9. Problemy społeczne (obyczaje, opinie, poglądy, postawy, zachowania)
10. Patologia społeczna (narkomania, alkoholizm)
11. Sport
12. Sensacje
13. Listy czytelników, interwencje
14. Powieść (fragmenty)
15. Poezje
16. Sądownictwo, praworządność
17. Historia
18. Religia, wyznania, kościoły
19. Zdrowie, medycyna
20. Rodzina, dom
21. Rolnictwo — gospodarka żywnościowa

7. Proszę przedstawić swoje uwagi, propozycje, o jakich sprawach, problemach Pana(i) zdaniem pisze się w „Odgłosach" za mało?

. . . . . .

8. O czym w „Odgłosach" pisze się za dużo?

. . . . . .

9. Jakie są zdaniem Pana(i) największe wady „Odgłosów"?

. . . . . .

10. A jakie zalety?

. . . . . .

11. Czy przypomina Pan(i) sobie jakąś publikację w „Odgłosach", która utkwiła Panu(i) w pamięci w ostatnim okresie?

. . . . . .

12. A może pamięta Pan(i) jakiś interesujący tekst sprzed kilku, kilkunastu miesięcy, roku lub jeszcze wcześniej? Proszę podać tytuł, lub czego dotyczył.

. . . . . .

13. Proszę podać nazwiska dziennikarzy i literatów, których publikacje czyta Pan(i) najchętniej w „Odgłosach".

. . . . . .

14. Jak Pan(i) ocenia poziom edytorski pisma? (szata graficzna — tytuły, zdjęcia i ilustracje, papier i druk)

. . . . . .

15. Jak Pan(i) sądzi, czy „Odgłosy" powinny być pismem bardziej refleksyjnym, poważnym?

. . . . . .

16. Co Pan(i) ceni w „Odgłosach" najbardziej? Z kim lub z czym (tematyka) Pan(i) się w pełni zgadza, akceptuje, popiera?

. . . . . .

17. A z kim lub z czym Pan(i) zdecydowanie nie zgadza się, przeciwko komu lub czemu Pan(i) protestuje, co budzi Pana(i) sprzeciw?

. . . . . .

18. Ile osób łącznie z Panem(ią) czyta ten sam egzemplarz „Odgłosów"?

. . . . . .

19. Kupuje Pan(i) „Odgłosy", czy pożycza?
1. kupuję w kiosku
2. mam teczkę w kiosku
3. prenumeruję
4. pożyczam od znajomych
5. czytam w czytelni

Uprzejmie prosimy o podanie kilku danych o sobie. Informacje te są dla nas szczególnie ważne, ponieważ chcielibyśmy wiedzieć, jak oceniają naszą gazetę osoby w różnym wieku, mieszkające w różnych środowiskach, o różnych zawodach itd. Prosimy wpisać lub podkreślić odpowiednią kategorię.

1. Płeć: 1 — mężczyzna, 2 — kobieta
2. Wiek. . . . lat
3. Zawód . . . . . .
4. Rodzaj zajęcia: 1 — robotnik, 2 — rolnik, 3 — pracownik umysłowy, 4 — pracownik umysłowy z wyższym wykształceniem, 5 — emeryt, 6 — rencista, 7 — uczeń, 8 — student
5. Wykształcenie: 1 — podstawowe, 2 — niepełne średnie, 3 — zasadnicze zawodowe, 4 — średnie ogólne, 5 — średnie techniczne, 6 — niepełne wyższe, 7 — wyższe . . . . . 8 — wyższe techniczne.
6. Miejsce zamieszkania: 1 — Łódź, 2 — inne miasto . . . . . , 3 — wieś . . . . . .

Dziękujemy za wypełnienie ankiety! Prosimy ją przesłać pod adresem: **Redakcja „Odgłosów", skrytka pocztowa nr 358, 90-950 Łódź 1.**

Zamiast znaczka napisać na kopercie: **„Opłatę uiści redakcja" oraz: „Ankieta".**

Fot. Grzegorz Galasiński

Kamieniołom daje pracę, ale też niszczy domy.

Kamieniobicie

ROMAN KUBIAK

Na szosie słychać tępy grzmot i dzwonienie w uszach, a pod Turbaczem już tylko echo. Grzmot jest mniej więcej taki, jakby wtoczyć pod Gorce jedną solidną kolubrynę albo całą baterię pomniejszych dział, i jakby rąbnąć z nich salwą w niebo. Bo od wybuchu niebo jęczy bardziej niż drży ziemia. A kiedy jęczy w chmurach i dudni pod nogami, wtedy wiadomo, że minęła godzina czternasta.

Życie w Klikuszowej zamiera o czternastej i otwiera oczy godzinę później. Właściwie otwiera oczy i uszy jednocześnie, gdyż niepodobna we wsi żyć bez dobrego słuchu. Tylko w niedzielę i święta dzień nienormalnie biegnie na okrągło, jak przykazał Pan, od bladego świtu w ciszy, do zmroku też w ciszy. Za to w tygodniu jest normalnie. Normalnie, to znaczy tak: rankiem na kamienne mocno już rozłupane wzgórze za wsią wchodzą wiertacze i prują skalne bloki. Świdrami borują głębokie dziury w kamieniu, żeby wpakować weń ładunki amonitu. Bo amonit jest mocniejszy niż ręka zbrojna w kilof, a kamieniołom musi zarobić na siebie i jeszcze musi wykonać plan. Kiedy wiertacze zrobią co swoje, wtedy wchodzą strzałowi. Targają na szczyt pękate worki z amonitem, który choć nieco słabszy od dynamitu, też potrafi dziarsko łupać skały. Rozsadza je na kamień budowlany i tłuczeń drogowy, które potem trzeba zebrać na kupę i władować na ciężarówki. Ale najpierw strzałowi muszą wgramolić się na siodłaty szczyt i zmajstrować wybuchową pajęczynę drutów. Tak zejdzie im jeszcze godzina albo lepiej, póki nie zagwiżdże syrena. A kiedy to nastąpi, wtedy w Klikuszowej zamiera życie.

Dzieciarnia wiejska pacierz recytuje bez zająknięcia, ale jeszcze biegliej zna syrenią mowę. Jak kopalniana syrena zawyje pierwszy raz długim basowym rykiem — wiadomo, że trzeba zmykać do chałupy. Jak buczy krótko, niby w czkawce — znaczy, że należy wleźć do piwnicy i odmawiać zdrowaśki. A jak zawyje trzeci raz — lepiej zatkać uszy.

Wszyscy tu żyją wedle instrukcji. Nikt nikogo nie pyta, co ma robić, dokąd pójść, gdzie się schronić i dlaczego. Nawet nie spoglądają na zegarki, bo i tak wiadomo, która godzina. Nawet nie zakiną szpetnie, bo i na co po próżnicy strzępić gęby. Zwyczajnie rzucają robotę w obejściach i idą za syrenim rozkazem. Każdy do swojej chałupy, na swoje wyznaczone miejsce, tam gdzie ściana najmocniejsza i strop najgrubszy. Co dzień tak samo, wedle instrukcji. Magister ze stolicy wielce mądrze powiada, że można by tu napisać doktorską rozprawę z Pawłowa. No bo ta wyjąca syrena, ci ludzie jak na rozkaz, czyli reakcje, czyli odruchy warunkowe. Pewnie trudniej byłoby doświadczać na białych myszkach. A góralom taka wiedza wcale nie przeszkadza w uciekaniu do domów i w chowaniu głów przed fruwającymi kamieniami. Robią tak, bo lepiej mieć całą głowę niż uczoną księgę i parę literek przed nazwiskiem. Magister lubi ich obserwować, lecz po pierwszym sygnale ostrzegawczym z kamieniołomu, też zwiewa jak oparzony.

Po pierwszym sygnale rusza ewakuacja: ptactwo do kurników, owce do szopy, krowy do obórki, ludzie do chałup. Czasem wydaje się, że durne bydlątka też pojmują syrenią mowę, gdyż zaraz same cyzlapią pod dach. Gorzej jest z dzieciakami. Te najmłodsze pochlipują w kącie, zaś starsze nie chcą kryć się w domach, bo strzelanie to dla nich uciecha wielka. A przecież od tego strzelania kamienie świszczą jak armatnie kule, niejednemu już gwizdnęły koło ucha, niejednemu zahaczyły o plecy. Na szczęście większych ran cielesnych jakoś ostatnio nie było. Widocznie w kamieniołomie strzelali, a Pan Bóg odłamki nosił.

Jeszcze gorzej jest z turystami. Tych nie przestraszą grzmoty w skałach — wręcz przeciwnie. Wokół strefy rozrzutu stoją kordonem duże tablice ostrzegawcze, a przy drodze publicznej sterczą szlabany. Czyli wiadomo, że bywa tu niebezpiecznie i że można zdrowo oberwać. Lecz turysta jak raz musi wszędzie wdepnąć, nawet do samego piekła, chociaż między piekłem i kamieniołomem różnica niewielka — szczególnie gdy odpalają ładunki. Więc zamiast grzmotnie, ci z kamieniołomu grają w rutynowe podchody. Grają z tymi, którzy uparcie szukają mocnych wrażeń i tęgiego guza, z tymi, którzy przyczajeni w zaroślach sposobią migawki fotograficznych aparatów. Trzeba jeszcze zamknąć drogę i wypytać w chałupach, czy są tam wszystkie odważne wyrostki. Wtedy dopiero można strzelać.

Ci w kamieniołomach mają solidny żelbetowy bunkier i kaski na głowach. Kaski są po to, żeby nie było widać jak czasem od strachu włosy stają im dęba. Tak bywa przecież, gdy półtonowy głaz rąbnie w sklepienie aż posypie się beton i siarczysta „wiązanka" na otuchę. Bo w tym fachu ani wiertacz, ani strzałowy z dwieściwiecznym doświadczeniem nie zaręcza, że piekielna siła amonitu nie rozpruje akurat zwietrzałej skały i że skała ta nie zbombarduje okolicy. Wszak bywało różnie. Raz oszalały kamień przeorał kawał łąki, innym znowu razem zgruchotał maszynę.

Po drugim sygnale też musi być przepisowo — jak przed nalotem. Trzeba pozamykać drzwi i okna, od okien trzeba uciekać, żeby człowieka nie poharatała lecąca szyba. Nie wolno stać przy lichej ścianie ani pod spękanym sufitem. Najlepiej zejść do piwnicy. Tak każe instrukcja.

Instrukcję układa kopalniany behapowiec. Od czasu do czasu kolęduje on po domach, ostukuje nadwątlone ściany, mierzy coś, kreśli i rachuje. Z tego rachowania wychodzi nowy regulamin, gdzie wolno przeczekać kamienny nalot, a gdzie najłatwiej stracić zdrowie. Kto tego regulaminu nie uszanuje, ten sam winien nieszczęścia. Takie jest kamienne prawo.

W każdej zagrodzie obowiązkowo musi być behapowska instrukcja. Leży sobie i spokojnie żółknie za obrazem albo w szafie. Kto by tam psuł oczy takim uczonym pisaniem. Wiadomo, że jakoś żyć trzeba, głowy za próg nie wystawiać, garnki na piecu dobrze pozakrywać, żeby potem zupy razem z sufitem nie smakować. Zresztą Wola Boska w Niebie jeno jest spisana, nie zaś na kopalnianym papierze.

Trzeciego sygnału prawie nie słychać. Zaraz po nim straszliwy huk rozbija potężne skały, kołysze ziemią i wszystkim co na ziemi stoi. Drewniane chaty jęczą boleśnie, a nowe murowane domy leciutko prószą wapnem, lecz trwają niewzruszenie na swych wzmocnionych fundamentach. Od podmuchu brzęczą szyby w oknach, w kredensie dzwonią talerze, a z górnej półki spada źle przytwierdzony kryształ. Później następuje chwila trwożnej ciszy. To może być cisza przed burzą. Przed oddechem ulgi, jeśli w kamieniołomie wszystko poszło po myśli strzałowych, albo przed deszczem lub gradem skalnych odłamków z nieba, jeśli w kamieniołomie coś sfiksowało. A że skalnicy strzelają raczej celnie, toteż rzadko kiedy niebo zsyła kamienny grad maszkrujący dachy.

W dawnych lepszych czasach zaraz po bombardowaniu wlazł góral na dach chałupy i liczył potrzaskane dachówki. Ile naliczył, tyle nowych dostawał od kamieniołomu. Teraz magazynier nie ma nawet porządnego kitu do okien, więc dziury po kamieniobiciu trzeba łatać czym się da, deską, blachą albo choćby tekturą. Prawda, że z tego łatania pożytek niewielki, bo i tak sypią się stare ściany i podmurówki. Trochę pękają od starości, ale więcej od wstrząsów. Mają głębokie blizny i spękane narożniki, jak każda budowla po trzęsieniu ziemi. A przecież trudno zliczyć, ile tych trzęsień już było i ile jeszcze będzie, zanim wiertacze do cna rozprują skalne wzgórze. Dlatego na miejscu wątłych staruszków trzeba stawiać domy mocne jak fortece. Na głębokich fundamentach niczym schrony, o ścianach grubych i zawczasu powiązanych stalowymi klamrami, o dachach z blaszanym pancerzem odpornym na skalne pociski.

Właściwie z tym budowaniem to jest dziwna sprawa — syzyfowa robota. Niby górnie stawiają nowe domy, ogrom wkładają pracy, a potem sami je rozwalają. Wieczorami murują, a do południa prują. Bo tak się składa, że gospodarze z Klikuszowej pracują na etatach w kamieniołomach. Robią w akordzie, czyli dobrze muszą kombinować, jak by tu rozłupać więcej skał za większe pieniądze. Duży wybuch mógłby dać urobek bogatszy, ale znowu taki grzmot mógłby pokiereszować domy. Więc trzeba miarkować tak, żeby nie przedobrzyć, żeby były i pieniądze na wypłatę i dach nad głową. Gdyby nie owe pieniądze, pewnie wieś dawno już przegnałaby kamieniołom na cztery wiatry i żyłaby sobie po ludzku od świtu do zmierzchu. A tak musi żyć zgodnie, choć kłopotliwie, po sąsiedzku, choć w strachu.

Robota w kamieniołomie jest ciężka i wyłącznie dla silnych chłopów, albowiem rzecz cała z grubsza polega na przenoszeniu góry. Wystarczy zobaczyć wielkie żylaste dłonie kamieniarzy, żeby nie pytać o więcej. Wystarczy dźwignąć rozsadzony kawał skalnego bloku, żeby zrozumieć, jak wiele po tym zboczu spłynęło ludzkiego potu.

Młodzi mówią, że kamieniołom był zawsze. Powitał ich narodziny tępym grzmotem kruszonych skał i dalej już wespół szli przez życie. Starsi zaś pamiętają inne czasy, gdy Klikuszowa była całkiem normalną wsią. A wszystko jak zwykle odmieniła wojna. Wówczas to okupant zaczął rozłupywać wzgórze za wsią, by drogami z podhalańskiego kamienia jechały czołgi na podbój świata. Rozłupywał je polskimi rękami pod przymusem, nawet nie mocą strzelniczego prochu, gdyż proch był potrzebny do zabijania ludzi. Przez parę lat wzgórze tętniło szczękiem kilofów i niemieckim krzykiem, a sznury furmanek wolno rozwoziły kamień, po którym niebawem przeszła wyzwoleńcza armia.

Przez czas jakiś na szczycie było cicho, aż nastała pora odbudowy kraju. Wtedy rzecz jasna nikt nie pytał, z czego wznosić zburzone mury, tylko kto zdrów chwytał za żelastwo i pruł szarą skałę. Tak mijały lata, dawno już ruszyły cegielnie, lecz klikuszowskie wzgórze topniało coraz szybciej. Górale nie narzekali zbytnio, bo dostali tu robotę niezgorszą i ochoczo nawet przystali na pomysł użycia dynamitu, który głazy kruszy prędzej niż kilof. Zwątpili dopiero, gdy huknęło pierwszy raz i pierwszy raz zatrzęsły się chałupy. Ci, którzy krzyżykami podpisali zgodę na dynamit, już tutaj nie mieszkają. Uciekli niedługo po tym, jak kamienny deszcz przemienił dachy w sita.

Inni pogodzili się z losem.

Chłop marzy o traktorze, ale chciałby starego „Ursusa" zamiast „Fergusona", który jest nowoczesny, ale z usterkami.

Wyciek oleju spod głowicy

RYSZARD BINKOWSKI

Stoi przed młynem nowy „Ferguson", bodzie w oczy czerwonym lakierem, połyskuje w słońcu niby emaliowany garnek, a chłopi aż cmokają z podziwu.

— *Za Gomułki* — mówi jeden — *wieś była siermiężna, kontygentowa, człowiek nie mógł sobie pozwolić na wóz balonowy, a teraz, proszę! Ale prawdą i Bogiem to i maszyn było niewiele, a co wyszło z fabryki, to jechało do spółdzielni lub do pegeeru.*

— *He, he* — śmieje się drugi — *za Gomułki nie stała Polska na czele świata, ale za to długów miała akurat tyle, co dzisiaj Albania, czyli prawie żadnych. A z maszyn to można było korzystać w kółku rolniczym. I nie było wtedy lepszego traktora, jak poczciwy, tani, nie psujący się „Ursus".*

Kopcą chłopi popularne, politykują przed młynem, wspominają ze łzą w oku dekadę snów o potędze.

— *Jedni* — mówi trzeci — *pracowali w zaciszu nad modelem unowocześnionej rodziny „Ursusa", myśleli o kooperacji z czeskim „Zetorem", drugim zaś, bujającym ambitnie w obłokach, marzyły się gigantyczne fermy i likwidacja chłopskiej gospodarki drobnotowarowej. Powstałe na rozkaz Spółdzielnie Kółek Rolniczych ograbiły chłopskie kółka ze sprzętu i pij dupą wodę...*

Reporter słucha tego z uwagą, potakuje w zadumie głową. Widział na początku lat osiemdziesiątych, jak przy licytacji w SKR szły pod młotek wraki ciągników, które chłopi kupowali niegdyś za własne pieniądze. Teraz za własne, i to ciężkie, pieniądze kupowali te wraki.

Sprzed młyna odjeżdża z wdziękiem „Ferguson", cicho, miękko, niby limuzyna, a chłopi komentują. Że kupiono licencję na chlubę polskiego rolnictwa, przywieziono części z Anglii, poskładano i na sam widok, aż się wzdychało z zachwytu. Budujemy fabrykę, o starego „Ursusa" nie ma się co martwić, aż tu nagle sprawa się rypie. Załamała się nam gospodarka, prysnął mit o potędze, a twórcy owego mitu podostawali zawałów.

— *Nie chciała władza samowara na kółkach* — mówią chłopi przed młynem — *przyszła odnowa i chłop zaczął się garnąć do maszyn i ziemi. Bo się okazało, że on nadal może być chłopem i pracować na swoim, o co w latach czterdziestych walczył Gomułka i za co znalazł się tam, gdzie nie powinien był się znaleźć. Dobrze mówimy, panie redaktorze?*

Politycznie mówią przed młynem. Chłopski zapis w Konstytucji oraz wspólna polityka rolna NK ZSL i KC PZPR wzmogły zainteresowanie ziemią i zapotrzebowanie na maszyny. No i zaraz wyszło na jaw, że pozbawiony środków produkcji chłop wyspecjalizował się przez lata w rękodziele chałupniczym. Tysiące rolników skonstruowało z różnych rupieci własne prymitywne ciągniki. Świadczy to o rozwiniętym zmyśle technicznym polskiego chłopa, uznanego przez poniektórych za pierwszego zacofańca Europy. A co więcej, te nabyte umiejętności rolnik może dzisiaj wykorzystać do przeróbek i doskonalenia „Fergusona". Z tym, że gdyby nawet zdobył właściwe części, nie złoży „Fergusona" w stodole, bo kosztowałoby to jakieś dwa miliony. Dla przykładu jeden detal, który na dobrą sprawę wlazłby do kieszeni, tj. pompa wtryskowa, kosztuje 120 tysięcy.

Eugeniusz Szafulera z Janowic, gospodarujący wraz z synem Dariuszem na 14 ha, przez cztery lata był zapisany na przydział „Ursusa C-330". Ponieważ trafiła się możliwość zamiany na „Fergusona", zdecydował się na zapłacenie 1223 tys. zł. i 25 czerwca 1985 r. pojechał do łódzkiej „Agromy". W hali stało ze 100 traktorów, mechanik wybrał jeden żeby można było pojeździć dla sprawdzianu. Jeździł. Ale w drodze do domu zgasł, i to nie dlatego, że deszcz lał jak cholera. Z popychu nie pali, nic, tylko brać na linkę. No, ale znaleźli usterkę, przykręcili palcem zapłon i pojechali.

— Kluczy nie było?

— *Były w specjalnej torbie na narzędzia, trzeba było osobno płacić. A za obciążniki na koła dodatkowo cztery tysiące. Ale śrub do obciążników nie było. Przywieźli je nam po pół roku, rzucili na podwórze i męcz się, chłopie!*

Dariusz Szafulera:

— *W ciągu 620 godzin eksploatacji było pięć poważnych awarii. Drobnych nie liczę, sam je usuwałem. Ale gdy na przykład są przecieki na kolumnie kierowniczej, to zamiast wymienić szwankujący element, wymienia się całą kolumnę...*

Ano, jest reforma gospodarcza, ale są też naprawy gwarancyjne. A w ramach gwarancji nikomu nie zależy na wymianie duperelki, bo łatwiej i prościej wymontować i założyć nowe urządzenie w całości. Pozornie rolnik na tym nie traci, tylko zyskuje. Płaci państwo, czyli społeczeństwo, w tym i chłopi, z płaconych przez nas wszystkich podatków.

A kiedy leje się olej spod głowicy, gdy mnożą się wady fabryczne, radzi się chłopu, żeby pisał do fabryki. A gdy fabryka w Ursusie wykręca się sianem, to ją do sądu! I słusznie, tylko że jak rolnik zacznie pisać co drugi dzień listy, szukać adwokatów i włóczyć się po sądach, to orką, siewami, dojeniem krów i hodowlą świń zajmą się telewizyjni skauci piwni i dopiero wtedy będzie naprawdę wesoło. Śmiech nam, bracia, nie zaszkodzi, albowiem jest dowiedzione, iż największe straty w gospodarce przynosi zazwyczaj masowy wyciek oleju spod głowicy.

Jakub Kolasiński z Janowic, gospodarz na 20 ha, otrzymał swego „Masseya-Fergusona", tego samego dnia, co Eugeniusz Szafulera, i bez przeszkód dotarł do domu. Stary ciągnik wysiadł, nowych C-330 nie było, zdecydował się więc na zamiennik, byle szybciej mieć traktor. Ano, spotkał raz na drodze faceta jadącego „Fergusonem" i pyta, ile lat go używa. Piętnaście, mówi facet, i to była szczera prawda, bo on dostał ten ciągnik prosto z Anglii.

— *A mój stary C-330, proszę pana, lepiej się sprawował niż nowy „Ferguson". Od początku przeciek oleju z silnika i silne stuki. No i jakaś wada fabryczna w tylnym moście, jak się ciągnik rozkraczy, to może ktoś spróbuje usunąć tę wadę, ale już za moje pieniądze. Miałem też wadliwą oponę, w Łodzi kazali mi jeździć, a w fabryce powiedzieli, że sam uszkodziłem oponę. Niektórzy, proszę pana, bywają w POM w Rąbieniu po dwadzieścia razy. Gdyby tak policzył jazdę tam i z powrotem, straty czasu, koszty napraw i paliwa, to wyszedłby nowy ciągnik. A najgorsze, że w sklepie części nie kupi, bo są tylko do napraw gwarancyjnych. Kiedy skończy się gwarancja i zabraknie części, będę musiał wstawić ten cud techniki w pokrzywy i przemalować na zielono, żeby nie rzucał się w oczy.*

Chłopi twierdzą, że części owszem, zgodne z parametrami, ale za delikatne, tzn. wykonane z takiego materiału, że jedna część tylko się zegnie, a druga się urwie. Podczas pracy silnika błotniki drgają, urywają się, obciążniki zaś są tak ustawione, że jak doczepisz jakąś maszynę czy wóz z dyszlem, to musisz jechać tylko prosto, bo skręcić się nie da. Opryskiwacz nie pasuje, trzeba samemu przerabiać i dostosowywać. Nie dostrzeżesz przy odbiorze elegancko zamalowanej dziury w podnośniku, więc płać za gapiostwo i sam naprawiaj. I tak pośród łez, przekleństw i zgrzytania zębami rozwija się technika oraz racjonalizatorstwo w chłopskiej zagrodzie.

Marek Wódka, młody rolnik z Janowic, 7,40 ha ziemi, nie mógł się doczekać na C-330, więc poszedł na „Fergusona", którego dostał w listopadzie 1985 r. Nie miał jeszcze w życiu ciągnika, przyzwyczaił się więc jakoś do tego licencyjnego. Ale nie bez bólu.

— *Ciągnik był z wadą fabryczną. Miał pięknie zamalowane pęknięcie korpusu tylnego mostu. Przyjechał gość z Ursusa i wymienił. Ale jak powietrze uciekało z pękniętego przewodu, to tego już nie wymienili. No i, aha, był jeszcze wyciek oleju spod układu kierowniczego...*

— Ale teraz już pan zadowolony?

— *Akurat! Teraz to ja nie mam tego specjalnego oleju, który składa się z dewizowych komponentów. Trudno go dostać, psiakrew! No, może by i kupił, ale za dolary...*

Wygląda więc na to, że chłop sprzedający państwu płody rolne powinien otrzymywać odpisy dewizowe. Jeśli za jedną lub dwie świnie weźmie dolary, kupi sobie specjalny olej lub zagraniczne środki ochrony roślin.

Trzeba przyznać, że czasem rolnik jest całkiem bezradny, gdyż mechanicy też są jeszcze zieloni. Jak ci zrobią, chłopie, rozstawienie kół, to się w bramie nie zmieścisz, a jak znowu wyregulują sprzęgło, to słychać same zgrzyty i do domu nie można dojechać. Kiedy zaś nawali plastykowy element w sprzęgiełku między alternatorem a sprężarką, mechanik okaże się pomysłowy i doradzi dorobić tę część z obcasa od gumiaka. I to jest dobre, to się sprawdza!

Gorzej, gdy rolnik jest nie doinformowany. Chciałby jeździć „Fergusonem" zimą, a tu nie wolno. To znaczy, owszem, wolno, jeśli lubisz marznąć na 20-stopniowym mrozie. Bo licencyjny ciągnik nie ma obiecanej pięknej kabiny. Możesz sobie jednak założyć oryginalną kabinę, produkowaną przez niektóre POM i prywatnych rzemieślników. Jeśli jednak w okresie gwarancyjnym zamontujesz inną kabinę, to żaden mechanik nie dokona już naprawy twojego ciągnika. Eugeniusz Szafulera z Janowic próbował założyć typowo polską kabinę, ale nameczył się przy tym od cholery, bo śruby nie pasowały. Jednak dzięki temu zabiegowi nie urywają się błotniki, gdyż są przyciśnięte kabiną.

Mirosław Szczesio z Rypułtowic orał swoje 16 ha starym C-330. Po roku oczekiwania na nowy kupił „Fergusona". Miał szczęście, bo wziął go pod koniec czerwca 1986 roku, jeszcze przed podwyżką, za 1160 tys. zł. Można nawet uznać, iż nabył go po obniżonej cenie, bo w 1985 chłopi płacili więcej. A dziś jeszcze więcej.

— *Stwierdzam, że ten licencyjny jest kłopotliwszy w eksploatacji niż stary C-330. Pompa smarowana olejem napędowym, jeśli więc trafi się nieczyste paliwo, to po pompie. Tak, ja też miałem przeciek oleju. Gdybym mógł kupić pierścień uszczelniający, to sam bym go założył. A tak, wymienili mi całą sprężarkę i koszty były dziesięciokrotnie wyższe. Nie, ja za to nie płaciłem. Zapłaciłem natomiast za luksus jazdy zimą. Zamówiłem u rzemieślnika z Sulmierzyc oryginalną kabinę, która kosztowała 120 tysięcy. Teraz pewnie już ze 150 tysięcy...*

No, ale Mirosław Szczesio znajduje też plusy na rzecz „Fergusona", co potwierdzają inni rolnicy. Ciągnik jest oszczędniejszy w paliwie, zwrotny, czuły jak koń z wędzidłem, tak że prowadzić go może nawet dziecko. Ma doskonałe hamulce, a dzięki podgrzewaczom łatwo jest uruchomić silnik w zimie. Sęk w tym, że przemysł zawala składnice rolnicze psującymi się maszynami, ale za to po horrendalnych cenach. Ursus także wydaje na świat buble, za które chłop płaci dziś milion z hakiem.

Kiedyś ceny ustalało się według aktualnej ceny kwintala zboża. Kiedyś rolnik mógł kupić ciągnik za 100 kwintali żyta, dzisiaj za 650 kwintali. Na wsi są zdania, że obecnie, gdy C-330 kosztuje 900 tys. zł. szczęście typu Ferguson winno kosztować najwyżej milion. No i przy tym, jak mówi Jakub Kolasiński z Janowic, skoro daje się pożyczkę na kupno ciągnika, który jest podstawą każdego gospodarstwa, nie powinno się ściągać odsetek aż w wysokości 8 procent. Owszem, „Ferguson" byłby opłacalny nawet przy obecnej cenie, ale pod warunkiem, że przez 10 lat nie będzie się do niego dokładać.

Inż. Ryszard Iwaśków, szef gminnej służby rolnej w Pabianicach:

— *Kochany, ja nikogo nie namawiam do kupna ciągnika licencyjnego. Ja tylko wyjaśniam, że można go szybciej otrzymać, chętnym zaś radzę popytać sąsiadów, jak taki ciągnik się sprawuje. No i w sumie „Fergusona" wzięło dziesięciu rolników.*

— **Biedak nie kupi takiej maszyny.**

— *Oczywiście, że nie! Przeważnie biorą tacy, co mają jeszcze stary ciągnik na chodzie. I dlatego mamy zawsze około setki podań na C-330 lub, rzadziej, na C-360. Szkopuł w tym, że na te ciągniki trzeba czekać latami. No i trzeba zostać wytypowanym przez radę sołecką, która wybiera jednego lub dwóch kandydatów. A nam rocznie przydzielają około ośmiu ciągników. Podań więc nie ubywa, bo wciąż napływają nowe.*

— **To w gminie aż tak źle?**

— *Ależ skąd! Jest nie najgorzej, jeden ciągnik przypada średnio na 16 ha. Ale rolnicy ubiegają się o C-330, ponieważ stał się on tak popularny i niezawodny, jak unowocześniony mały fiat wśród samochodów. Jest już nawet zmodernizowana wersja, C-330 M. Może pan być pewny, że chłopi długo jeszcze będą się domagać starego typu traktora. Ale to wcale nie oznacza, że licencyjny nie może się stać przyszłością dla polskiego rolnictwa. Trzeba go tylko produkować taniej, bez fuszerek i przystosowywać do warunków pracy na naszej wsi.*

Tymczasem przykre doświadczenia pozwalają chłopom kojarzyć „Fergusona" z licencyjnym autobusem marki Berriet. Nie sposób generalizować sprawy na przykładzie jednej gminy, niemniej jednak ilość klientów w „Agromie" i w POM, domagających się napraw lub wymiany sknoconych części, dowodzi, iż zjawisko zatacza szersze kręgi. Nikt jednak nie ma aż takiego wycieku oleju spod głowicy, żeby się domagać zamrożenia miliardów włożonych w budowę fabryki traktorów licencyjnych. Jeśli bowiem rolnik otrzyma „Fergusona" bez usterek i po godziwej cenie, jeśli będzie mieć dostęp do części zamiennych i do specjalnych paliw, to z pewnością go zaaprobuje. Na razie jednak, jak mówi Jakub Kolasiński z Janowic, aby sobie pozwolić na ten cymes, trzeba mieć w zapasie stary C-330, a już obowiązkowo żywego konia na obrok.

Mówi: Katarzyna Świątkowska

— Pani Kasiu, jak się zostaje dyżurną?

— Przede wszystkim trzeba skończyć stosowną szkołę, ale porozmawiamy za moment, dobrze? Tylko skończę te rozkazy.

— A komuż to pani tak rozkazuje? W dodatku na piśmie?

— To dla mechaników; muszą precyzyjnie wiedzieć gdzie mają zwolnić, jakie niespodzianki czekają ich na szlaku, jak choćby uszkodzone rogatki. Decydują względy bezpieczeństwa...

— Pewnie od dziecka marzyła pani by zostać ważną dyżurną...

— Niezupełnie. Marzył mi się zawód trenerki...

— No proszę! A w jakich dyscyplinach zamierzała pani wystąpić w tej roli?

— Pływanie lub piłka ręczna. I przygotowywałam się całkiem solidnie, uprawiałam różne dyscypliny sportu, biegałam, pływałam, zaliczyłam dwa lata baletu, ale na egzaminie na AWF przepadłam z kretesem...

— Za dużo praktycznych sprawdzianów?

— Nie, nie, to ta nieszczęsna biologia...

— A skąd w takim razie ten pomysł z PKP?

— Już mówię, tylko widzi pan, znów się telefon urywa. (Do słuchawki:) — Tak, rozumiem, Łowicz 11,18 opóźniony, jak nie będzie więcej spróbuję skomunikować z Ostrowem.

— Komunikaty to też pani domena?

— Nie, skomunikować, to u nas znaczy umożliwić przesiadkę z jednego pociągu na drugi. A wracając do pierwszego pytania: ten pomysł z pracą w PKP nie zrodził się przypadkiem, ja pochodzę z rodziny, która jak pamięcią sięgnę, zawsze miała do czynienia z koleją i lokomotywami.

— A może pani teraz sięgnąć?

— No cóż, pochodzę z Bydgoszczy i pamiętam dziadka od najmłodszych lat jako umorusanego, starszego pana w kolejarskiej czapce, opowiadającego co ciekawsze wydarzenia z żelaznych szlaków. Tata co prawda niewiele miał z kolejami wspólnego, ale mama, starsza siostra i ja ukończyłyśmy to samo technikum kolejowe w Bydgoszczy, no i dziś wszystkie trzy pracujemy „w branży".

— Ale chyba nie od razu trafiła pani na to strategiczne stanowisko?

— No nie, były i specjalistyczne egzaminy w Warszawie i ponad pół roku stażu na różnych, również małych posterunkach i dużych stacjach. Aż wreszcie trafiłam do Łodzi Kaliskiej. Ale teraz zróbmy małą przerwę w rozmowie, muszę odprawić ten Ostrów...

Po paru minutach:

— Bardzo pani do twarzy w tej czerwonej czapce pani Kasiu. Ale coś mi się zdaje, że o całą minutę opóźniła pani odjazd tego nieszczęsnego Ostrowa...

— Cicho, rzeczywiście minimalnie go przytrzymałam, ale trzeba być człowiekiem a nie maszyną. W ostatniej chwili z tunelu wyszła starsza kobieta o lasce i widziałam, że bardzo jej zależy by zdążyć na ten pociąg. Nie można przecież być bezdusznym urzędnikiem, oni tę minutę już pewnie nadrobili.

— Rzeczywiście, powinniśmy sobie pomagać, a tak na marginesie: wie pani doskonale, że opóźnienia w „państwie PKP" stały się już niemal przysłowiowe. I to nie tylko zimą. Dlaczego tak się dzieje?

— Ja też słyszałam, że kiedyś według kursowania pociągów można było regulować zegarki, tak punktualnie jeździły. A teraz? Kłopoty z zimą związane to osobny rozdział, ale o jakości pracy, punktualności czy ewentualnych opóźnieniach decydują — myślę — w znacznym stopniu kiepskiej jakości niektóre odcinki na szlakach, zniszczone, wiele lat nie remontowane.

— A ja myślę, że w takim samym, jeśli nie większym stopniu decydują ludzie...

— Nie chcę się wypowiadać za kogoś, ja tu pracuję dopiero dwa miesiące, staram się swoją pracę wykonywać jak najlepiej. I dołożę wszelkich starań, by nie zdarzyło mi się nawet najmniejsze potknięcie...

— A czemu pani tak cały czas zerka na ten duży ścienny zegar? Mamy już kończyć?

— Nie, to taki odruch. Godziny przyjazdu i odjazdu znam już prawie na pamięć, i pewnie dlatego cały czas kontroluję czas.

— Ładnie powiedziane. I tak przez osiem godzin?

— O, nawet przez dwanaście. Bo w takim cyklu tu pracujemy. Potem mam dwadzieścia cztery przerwy, a po nocce — czterdzieści osiem.

— I co na to chłopak? Zwłaszcza na te „nocki"?

— Na razie jest jeszcze w wojsku, ale także ukończył technikum kolejarskie, więc rozumie ten specyficzny styl pracy.

— Ludzie teraz strasznie nerwowi, zabiegani, jakby bardziej drażliwi. Również na dworcu dochodzi chyba do różnego typu scysji a pani, musi zapewne wysłuchiwać wiele cierpkich uwag pod adresem PKP?

— Niestety, zdarza się tak dosyć często, a najczęściej niedoszli pasażerowie zarzucają mi, iż zbyt wcześnie odprawiłam pociąg. To przecież niemożliwe, ale oni wiedzą lepiej, powołując się oczywiście na własne zegarki. Pamiętam, jeden pan rozsierdził się do tego stopnia, że telefonował tu, z mojej dyżurki do „zegara-matki" w Warszawie.

— A cóż to takiego?

— Nie wiem, ale chyba się do tej „matki" nie dodzwonił, albo czas podany mu nie odpowiadał, bo szybko zniknął. Ale nie można powiedzieć, że mamy tu wciąż niesympatyczne wydarzenia, są i pasażerowie, którzy się uśmiechną, pozdrowią...

— Umawiać też się chcą?

— Czasami. Ale na takie poufałości nie pozwalam.

— Jest pani najważniejsza na wszystkich peronach...

— No, nie na wszystkich; jeśli już, to tylko na drugim i trzecim.

— Tylko to pani locum stare jak świat. Jak i cały Kaliski. O, ściana się sypie, jakaś trzcina z niej wygląda, a w piecu kto pali?

— Ja sama, dobrze, że chociaż węgla przyniosą...

— I jak my wszyscy ginie pani w papierzyskach. Cóż to za zeszyty mądre wielce?

— To dziennik analiz pociągowych i książka przebiegów, czyli kontrolka zajętości, a to te rozkazy, mam tu jeszcze druczki...

— No, dziękuję, wystarczy. Niech mi pani zdradzi swoje największe marzenie...

— Oj, całkiem prozaiczne, chyba jak większości dziewczyn: mieć dom, własny kąt, trochę uskładanego grosza — żadnych cudów. I niechby jeszcze pasażerowie byli bardziej wyrozumiali...

Rozmawiał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

ze str. 1

Jestem z Jadźwingów

Foto: CAF

— Co tydzień spotykam pański komentarz rysunkowy na pierwszej stronie „POLITYKI", który utwierdza mnie w przekonaniu, że jest pan, oczywiście na swój sposób, zadziorzystym polemistą. Czy mam rację?

— Całkowitą. To też się mieści w belferstwie, w jego mentorskiej warstwie. Ot, jest teraz wielka polemika wokół pomnika Powstania Warszawskiego i ja biore w niej udział, nie tylko dlatego, że byłem żołnierzem AK, choć niestety bez udziału w Powstaniu. Robię tutaj to samo, co zazwyczaj w druku: dostarczam informacji, aby odbiorca sam wysnuł wynik mnożenia 2 przez 2. Informacji, dajmy na to takiej, że przed wojną Wacław Szymanowski, ten od kwaśno przyjętego pomnika Chopina w Łazienkach, wpadł na [illegible] pomysł, jak autorzy Pomnika Powstańców w kontrowersyjnym wydaniu: żeby kolosalnymi, betonowymi szafami oraz metalowym, realistycznym tłumem postaci zatłuc estetykę dziedzińca wawelskiego, gdzie chciał wstawić korowód monstrualnych królów. Tym chciał utrupić renesansowe krużganki, cały dziedziniec, twierdząc, że oddaje hołd monarchom. Uratowało sprawę ustawienie makiety 1:1, to samo co teraz na placu Krasińskich. Tu też chciano żelazobetonow i blokami i „scenami rodzajowymi z życia powstańców", martyrologią i klęską — zamiast wyrazów czci dla nieugiętych — zawalić cały obszar, zdomin[illegible]ować wspaniałą architekturę tylmanowską Pałacu Rzeczypospolitej, kościoła garnizonowego etc. W tejże polemice odezwał się też Jerzy Waldorff, zaznaczając, iż jeden stołeczny pomnik już wystawiono bez konsultowania warszawiaków i zasłonięto nim przepyszn[illegible] fronton — specjalnie odwracanego pod kątem 90°! — pałacu Lubomirskich. To przesunięcie bryły gmachu było wielkim wyczynem w ochronie zabytków, i to właśnie wykreślono z panoramy saskiej. O tym słusznie wzmiankował pan Waldorff, nie pierwszy raz przyjmując rolę vocis populi... I w tego typu polemikach też chętnie biorę udział. Znów w belferskich celach, znowu dla zakomunikowania, ile się równa to mnożenie, którego wynik wielu chce zmienić, dokładając wielu ogromnych i kosztownych starań.

— Tę swoją belferkę robi pan jednak z wielką kulturą, przy tym dowcipnie, a czasami wręcz złośliwie. Zgadza się?

— Że złośliwie, to się na pewno zgadza. Ironia i szyderstwo, to jedna ze skuteczniejszych broni. Ośmieszenie przeciwnika potrafi go obezwładnić dokładniej niż fizyczne związanie. Albowiem ów związany potrafi tym trybem zwyciężyć wiążącego, właśnie przy pomocy złośliwego dowcipu. I tamten obśmiany, ośmieszony traci mnóstwo ze swego prestiżu, często wręcz traci twarz i pozycję. Dlatego to polemiki, starcia ze zjawiskami i ludźmi, których nie cenię, a którymi często i pogardzam, powinny się odbywać z użyciem złośliwego dowcipu. Zaszczycono mnie kiedyś komplementem w sferach politologicznych, że używam w rysunkach z „POLITYKI" swoistego publicystycznego karate, ogromnie mi to pochlebiło.

— Ta pańska złośliwość przejawiła się nawet w rysunku na jubileusz XXX-lecia POLITYKI.

— Zauważę, że ten mój komentarz do rzymskiej trzydziestki jubileuszowej, która w końcówce rozkrusza się i podgniwa, gra tym ostrzej, gdy się go zestawi z rysunkiem na XXV-lecie, tak niby niedawnym. Tam jednak typek, patrzący podejrzliwie na numer, bał się ukłuć szpiczastą końcówką cyfry V... A teraz jakże inaczej przyszło mi sportretować X!

— Jest pan autorem ilustracji do wielu książek, napisanych przez innych. Czasem — nie chce tu wymieniać nazwisk — o wartości takiej książki decyduje pańskie rysunki, a nie jej tekst. Więc zastanawiam się: po jakie licho wspiera pan swoim talentem jakąś miernotę?

— Pan to powiedział. Rzecz jednak, jeśli się zdarza, to bardzo rzadko, bo na ogół staram się współpracować z autorami, których sobie cenię. Zdarza się wszakże i tak, że nie pióro, ale motyw, temat tam poruszany jest dla mnie szczególnie frapujący, toteż chętnie dorzucam własny komentarz. A zarazem gdy czytałem maszynopis, czułem niedosyt, próbuję zatem rzecz uzupełnić. I znowu wyłazi belfer ze swoimi informacjami! Weźmy znów rysunek z biurka przede mną, mamy tu Medeę. Ma ona swoją chmurną, posępną twarz, jak każe mit i styl waz greckich, ale dodałem od siebie wizerunek Orderu Złotego Runa, bo przecież jej partner Jazon po nie jechał do Kolchidy. Chodzi mi zaś o skrót myślowy, bo przecież takiego orderu w antyku nie było, natomiast po dzień dzisiejszy, po nowożytność całą, mitologia trwa bezustannie, istnieje wśród nas, jest ważkim elementem współczesności, nie tylko w orderach.

— Moje pytanie jest dalszym ciągiem pytania, postawionego poprzednio, a tyczy pańskiej działalności w radio i telewizji. Był mianowicie czas, że jakikolwiek się nastawiło program, kwadrans rolniczy, porady dla gospodyń domowych czy komentarz polityczny, słyszało się ciągle głos Szymona Kobylińskiego. Słowem, było pana wszędzie za dużo. Mogło to wypływać z dwu powodów: 1. — przepełnia pana inwencja, 2. — redaktorzy nie umiejąc wymyśleć nic sensownego, brali pana, gdyż wiedzieli, że pan tę ich audycję uratuje. A może się mylę?

— Ma pan rację. Rwę się do gadania o wszystkim, fakt, bo to typowe dla dawnego typu inteligenta o tzw. wszechstronnych zainteresowaniach, co potrafi zamęczyć słuchacza. A ponadto w istocie, jeżeli jakiś tępy redaktorzyna z radia czy tv mówił, że ma temat, przypuśćmy, „Groch z kapustą", to we mnie od razu wstępowało sto fascynujących skojarzeń! Zgadzałem się, bo w tym przecież mógł być i cały Tuwim ze swoim „Cicer cum caule", a zarazem i Kostrzewina spod Mszczonowa, wiejska kobieta tak gotująca groch z kapustą, jak nikt na świecie — niebo w gębie! — i tym samym jej syn, a mój przyjaciel, Jasio Kostrzewiaczek, no i poooosło!... Jakże można zrezygnować z czegoś tak smakowitego, jak groch z kapustą, czyli poezja, socrealizm w literaturze, dramat nieczynnego twórcy, przedwojenna wieś z jej kulinariami i młodzieżą, długi łańcuch dalszych skojarzeń. W efekcie Marek Grońśki napisał o mnie to, co cytowałem i miał rację, szydząc. A z telewizją skończyłem po 26 latach stałej w niej obecności, jeszcze tylko czasem coś w radiu bąknę. No i wiek robi swoje, w maju mi stuka sześćdziesiątka.

— Gratulacje z okazji nadchodzącego jubileuszu. Powrócę jednak do interesującego mnie tematu. Otóż w swojej książce „Tajemnice pocztu Matejki" pisze pan o symbolach, które rysował Matejko przy okazji tej galerii władców. Pan, zdaje się podpatrzył tę metodę i także ją stosuje w swoich pracach...

— Matejko jest jednym z moich wielkich nauczycieli, bo cały jego dorobek jest wielką rozmową rodaków, o przeszłości dla przyszłości. Ponieważ zaś używa impulsów wzrokowych, a nie dźwiękowych czy tekstowych, wobec tego musi w tych sygnałach zawrzeć informacje, o które mu chodziło. Więc jeżeli chodzi mu o to, że powiedzmy, taki Zawisza Czarny z Garbowa był typem późnośredniowiecznego Bońka, to znaczy sportowcem, występującym w barwach obcego klubu, ale zjawiającym się do kadry narodowej w ważnych, prestiżowych meczach, to znaczy sportowcem nie tyle z „Romy", ile z ekipy cesarza Zygmunta Luksemburczyka, biorącym udział w meczu pod Grunwaldem, to Matejko musiał to jakoś zaznaczyć. No i zaznaczył, z cichym, złośliwym dowcipem, dając temu wspaniałemu rycerzowi, tuż obok całego lasu bojowych, ostrych kopii, kopię tępą, turniejową, zakończoną niegroźną koroneczką. Przyrząd sportowy z bezkrwawych zawodów, ze stadionu-szranków... Oto symbol i tym samym komentarz odautorski Matejki, satyryczny skrót myślowy. A obok, proszę, jakże serio i z powagą ukazany inny gość bitwy, Jan Żiżka z Trocnowa, który, jak by powiedział Wiech, żadnej lipy nie wstawia, walczy potężnie i groźnie, sam narażony na zdradzieckie ciosy. Jednym słowem ukazanie obok siebie tych dwu ludzi, którzy zjawili się tutaj, acz nie musieli, bo obaj mieli co robić w dalekim świecie, zademonstrowanie dwu postaw psychologicznych jest właśnie ową informacją, jaką chciał Matejko pokazać środkami wizualnymi, symbolami, rekwizytami, gestami i wyglądem tych postaci.

— Pan też to robi. Najlepszym przykładem są rysunki, które pan mi pokazał i omówił.

— Oczywiście. I weźmy jeszcze jeden przykład z tej książki. Oto Estera, biblijne imię bohaterki, odmiana imienia bogini Astaroth, Astarte, inaczej Afrodyta, Wenus, gwiazda zaranna. Czczono tę gwiazdę, od niej nadano imię dziewczynie. Wobec czego daję gwiazdę nad jej głową, ale czynię ją gwiazdą Syjonu, Dawidową. A poniżej mamy jabłuszko, nadziane na drzewce chorągiewki, gdzie są widoczne lwy Judy, oparte o tablice dziesięciorga przykazań z Tory. Skąd ta cała symbolika? Proste: dzięki staraniom biblijnej Estery nastąpił triumf Izraela, pognębienie wrogów, co święci się radosnymi obchodami Purim, kiedy dzieci noszą takie właśnie chorągiewki z owocami, ma więc pan tu zbitkę znaków od epoki persko-babilońskiej po współczesność wyznaniową, ma pan mowę symboli.

— Są w Polsce dwa pisma, określane mianem „satyryczne" „SZPILKI" i łódzka „KARUZELA". A pan, jeden z najdowcipniejszych ludzi w kraju woli drukować zupełnie gdzie indziej. Dlaczego?

— Chętnie drukowałbym w „KARUZELI" i ciągle biorę rozmach, że już zaraz wyślę tam karykaturki, ale — jak mawiał Buchman w „Panu Tadeuszu" — krótkość czasu stoi na zawadzie. Jak już mam garstkę rysunków, to oddaję je lokalnym kontrahentom, „POLITYCE", „KURIEROWI POLSKIEMU" „ZARZEWIU", „WIADOMOŚCIOM WĘDKARSKIM"... A w „SZPILKACH", cóż, tam już inna sytuacja niż była drzewiej. Mógłbym niby tworzyć tandem z Potemkowskim, jak to obaj czynimy w zupełnie innym periodyku o komicznej nazwie „Sam na sam ze sobą", serio. W istocie jest to pismo, energicznie i miło redagowane, dla szaradzistów krzyżówkowiczów, rebusiarzy itp. A my dwaj jak piłaciki w kredzie i lobrze nam w takim duecie. Mógłbym tedy tak samo w „SZPILKACH", ale jak się zamknęła mi epoka telewizyjna, zatrzasnęła się i szpilkowa.

— Mówiąc o pismach satyrycznych nie sposób ominąć problemu rysunku satyrycznego w dniu bieżącym. Co pan o tym sądzi?

— Sądzę po staremu dobrze o produkcji, a źle i smutno o odbiorze. Rysunek taki praktycznie przestał być ludziom tak potrzebny, jak bywał przed kilkoma jeszcze laty, jak „Bijące serce", jak moje dwie rączki na stoliku... Do 1981 roku rysunek satyryczny należał do codziennego wyposażenia intelektualnego czytelników. Bo my, producenci tego towaru, aniśmy się polepszyli, ani pogorszyli, natomiast znikliśmy ze środka sceny. Przedtem nasze wystąpienia czy poszczególne trafienia były, jak to się mówi, na ustach wszystkich, teraz ledwie że są zauważane, choć nieraz bywają mocne i soczyste. Nastąpiło jakieś przewartościowanie tego środka porozumienia, co może umiałby zbadać, gdyby badał, jakiś mądry socjolog; ja nie potrafię wyjaśnić tej odmiany, stwierdzam tylko fakt. Nie jesteśmy już tak ludziom potrzebni, jak sześć i więcej lat temu.

— Czyżby nam było coraz mniej do śmiechu?

— Nie tylko w tym rzecz. Chociaż istotnie, śmiech przechodzi w tak zwany z niemiecka galgenhumor, czarny socjotechnicznie. Sam Jeremi Przybora powiedział w wywiadzie, że przeszła mu jakoś ochota do żartów I, zachowując proporcje, moje żarty są także gorzkimi dowcipami, ale potrzeba odśmiania nie znikła. Takie np. kabarety mają swą wierną i uważną publiczność, łaknącą odtrutki śmiechem. Może dziś teksty łatwiej się konsumuje niż grafikę? Sam wiem po sobie, że dawno temu w ankietach popularności wśród czytelników „POLITYKI" zajmowałem medalowe miejsca, a teraz hen, kilkunaste, na końcu, z Marianem Turskim. Tak tam wydrukowano.

— Czytając ostatnio pańską nową książkę, „Noniusza", odniosłem takie wrażenie, że chciałby pan być malarzem, ale nie wyszło...

— Mówiąc szerzej: artystą. Nie wyszło, bo prędko mi się odechciało, nastąpiło odwrócenie sytuacji, o jakiej mówił Picasso: „Pragnąłem zostać malarzem, a zostałem Picassem!" No, a ja tym belfrem, publicystą, bo człowiek sprawdza się w tym, co mu najlepiej wychodzi. Artystów jest przerażająco wielu, a publiczność im się wykrusza szybciej niż karykaturzystom. Nikogo nie obchodzi, co oni tam potrafią i wyczyniają z warsztatem, więc też pomnażać ich armię nie byłoby specjalną frajdą. Ja zanadto lubię życie, starcia, naukę, ludzi, aby być eremitą, pustelnikiem własnej pracowni. Wolę być wewnątrz „zielonego drzewa życia", popełniając jakże liczne błędy, odnosząc rozmaite triumfy, uczestnicząc.

— W Łodzi była parę lat temu wystawa rysunków Andrzeja Mleczki. Pamiętam, że było na nią trudno się dostać. A gdyby tak urządzić wystawę rysunków Szymona Kobylińskiego?

— Proszę pana, obaj z Mleczką jesteśmy pochodzenia jaćwieskiego, jesteśmy Jadźwingami jak wykazali archeologicznie państwo Jaskanisowie, którzy stwierdzili naukowym trybem, że rody takie jak Mleczków, Kobylińskich i innych, to ocalałe resztki Jaćwieży. Bo wyście nas, wy Polacy wespół z Krzyżakami, strasznie bili aż musieliśmy uciekać ku Księstwu Mazowieckiemu i na Podlasie. Tylko że ród Mleczków, to linia niejako książęca, a ja, ha!, jestem jedynie szarym, szeregowym Jadźwingiem, nie arystokratą, więc na jego wystawie musi być więcej ludzi... Zresztą, choć nie mamy już dawnego wzięcia w prasie, to co tyczy wystaw, nie jest źle. Zwłaszcza przy kolejnych ekspozycjach w Muzeum Karykatury, Kozia 11, polecam. I to obojętne, jaki jest temat. Szef Eryk Lipiński, pani Tuora, pan Kołbiel ma i tam coraz to inne dobre pomysły: ostatnio nastąpiło gremialne zdemaskowanie nas wszystkich którzyśmy swego czasu męczyli biednego Trumana i chwalili okres błędów i wypaczeń. Wyciągnięto ku zbudowaniu narodu nasze grzechy młodości i bardzo dobrze. To samo z wystawą plakatu w Wilanowie, zawsze tam pełno. Jaki jest wszakże wspólny mianownik satyry i plakatu? Otóż jest a mianowicie treść. W jakiejś treściwej sprawie pan plastyk, satyryk lub plakacista chwycili pędzel do ręki. Nie dla cyzelowania samego warsztatu, ale w określonym celu, dla czegoś. Czy Mleczko, czy Świerzy obaj „wykonują usługi dla ludności", toteż ludność ich szanuje i odwiedza. Natomiast w licytacji samych farb, bodaj wirtuozerskich, wystarczy zobaczyć dwie, trzy wystawy, a już czwarta zwala nudą z nóg. Takie jest życie.

— Przed laty w telewizji miał pan swoje audycje o malarstwie. Były to dobre lekcje nie tylko dla laików. Czyżby temat został wyczerpany?

— I tak, i nie. Ja miałem również lekcje dosłowne, w programie szkolnym, rano, dla II i III klasy szkół podstawowych. Podawałem tam nieletnim elementarne wiadomości o fundamentach plastyki, o ABC rysunku i malarstwa czy rzeźby. I ku swemu przerażeniu dowiedziałem się w Ministerstwie Oświaty że to jest pilnie oglądane przez studentów Akademii Sztuk Pięknych. Powód prosty, niestety: to już się zaczęło w moich studenckich latach na ASP, kiedy zaczęto kłaść większy nacisk na podbechtywanie do artyzmu, niż na uczenie zawodu. Jest to więc antagonizm między skrzydlatym twórcą, co jak w „Dziadach" — „nie dotyka ziemi ni razu", a swoistym, jak Leonardo, Rubens czy Wyspiański, rzemieślnikiem sztuki, spełniającym oczekiwania ogółu, właśnie w dziedzinie intelektualnej rozmowy o problemach życia, a nie planety.

— Jest pan propagatorem i znawcą naszej historii, wydał pan nawet książkę „Szymona Kobylińskiego gawędy o broni i mundurze". Skąd to zainteresowanie akurat militariami i to na przestrzeni dziejów?

— Cóż, polskie pamiątki narodowe, to głównie pamiątki walk. I jeszcze jedno: książka kończy się na wrześniu 1939, bo jak ktoś słusznie zauważył, do Września jest historia, a dalej już politologia. A interesuje mnie to dlatego, że zawsze tak było — oczywiście: niestety! — iż wszystko, co się zwarło w militariach, stanowiło wynik najintensywniejszej myśli, nie tylko technicznej, ale też matematycznej, chemicznej, zdobniczej, socjotechnicznej, ergometrycznej. Ot, weźmy zbroję: to niesłychanie skomplikowane i genialnie rozwiązane zadanie z ergometrii, a przy okazji estetyki, psychologii i metalurgii. Słowem olbrzymia masa wytężonych, twórczych intencji zbiegała się w militariach, st d broń każdej epoki daje esencję ówczesnego intelektu, kultury, cywilizacji, imponderabiliów, wierzeń, czego tam jeszcze. Żołnierz był zawsze ekstraktem określonej mentalności, taki rzymski legionista, niosący swój metalowy sztandar z literami SPQR (Senatus Populusque Romanus) był też symbolem polityki i ustroju. Świat instant w mieczu i tarczy. Stąd moje zainteresowanie tym, sumującym aż tyle, tematem.

— Pańskie hobby?

— Siedzieć przy biurku i tyć. Hobby nie mam, bo hobby to rzecz nieprzydatna w życiu zawodowym. A mnie wszystko, z relaksem łącznie, przydaje się w belferskim dorobku, przy kolejnych wykładach.

— Na zakończenie chciałbym dokonać pewnego eksperymentu. Czy zgodzi się pan na moje dwa pytania odpowiedzieć rysunkami? Pierwsze: jak pan widzi siebie? — Drugie: jak pana widzą zawistni koledzy?

— Nie ma powodu do zawiści, każdy jest panem na własnym poletku i nie włazimy sobie w szkodę. A jak mnie widzą koledzy, niech ukażą ewentualnie ich rysunki; Chodorowski pokazał mnie raz dobrodusznie jako stonogę z rozmaitymi narzędziami w łapach. Jak zaś widzę samego siebie? Proszę oto autoportret.

— Dziękuję panu za rozmowę i rysunek.

Rys. Szymon Kobyliński

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Wizyta u Marii Kuncewiczowej

Zaczarowany Dom pod Wiewiórką

JOANNA SOKOŁOWSKA

Drewniany dom projektu Karola Sicińskiego stoi na wzgórzu, na końcu wąwozu Małachowskiego. Ogrodzony gęstym parkanem drzew i krzewów, jest prawie niewidoczny. Skrzypnięcie furtki, długa aleja, kwiaty przed tarasem. Czuję zapach róż. Nie zdążyłam zapukać. Maria Kuncewiczowa zobaczyła mnie przez okno.

— *Ale po cóż te kwiaty* — uśmiecha się pisarka.

A więc to jest dom, który znam doskonale z „Kluczy", „Fantomów", „Natury". To nad nim świecą „dwa księżyce". To tu, w ciszy, w zieleni i w zaczarowanym kole artystycznych zdarzeń powstają myśli, słowa, zdania. Z niemego odrętwienia i chęci zapamiętania wszystkiego „od razu" i „na zapas" wyrywa mnie ciepły głos. Autorka „Dwóch księżyców" prowadzi przez sień, pokój z kominkiem, salonik z widokiem na taras. I opowiada. O każdym sprzęcie, o pamiątkach i ich historii. Ile razy i ile osób musiało już to słyszeć. A jednak, mam wrażenie, że pisarka mówi po raz pierwszy i to tylko do mnie.

Wnętrze domu wypełniają sosnowe bale. Poukładane równo stanowią zasadniczą konstrukcję ścian, a podwieszone, są ozdobą na wzór staropolski. Pisarka zwraca uwagę na stylowe stropy. Sufit typu angielskiego — to połączenie tynku z belkami. W największym pokoju sufit stanowi rodzaj kasetonów, a w holu zaprojektowano strop w desenie. Natomiast do ułożenia posadzki w holu użyto czarnych dębów wiślanych. Drzewa te przez wiele lat leżały zatopione w Wiśle i dzięki temu uzyskały dużą twardość, odporność i czarny kolor. Wyglądają jak heban. Nad kominkiem wisi świecznik. Duży, czarny, surowy, rozłożysty, jak ten dąb wiślany, a w nim rząd świec.

— *To meksykański* — mówi pisarka, idąc w ślad za moim wzrokiem. — *A w kominku już od dawna się nie pali, bo zamieszkały tu ptaki.*

Z prawej strony kominka wąskie schody, prowadzące na górę, ozdobione metalową poręczą. Na poręczy wiewiórka rozsypująca orzechy i litery: M. J. W.

— *To są inicjały moje, męża i syna. Dom ten miał kiedyś nazywać się Domem pod Wiewiórką.*

Na środku wisi czarna, kuta latarnia.

— *Robił ją świetny artysta, pan Sobko z Kazimierza. To jedyny przedmiot, który ocalał z rzeczy przedwojennych. Było tu przecież spustoszenie. Niemcy wynieśli wszystkie książki, obrazy i spalili...*

„...*Ja w przededniu całopalenia Polski polubiłam rzeczy.* — przypomina mi się fragment „Fantomów" — *Że to stanie tu. A tutaj potrzebne jest tamto. Czy coś dobrze wisi, czy się zamyka, czy błyszczy, nie skrzypi i nie kuleje. Dom okazał się istotą. Złożony z miliona komórek, miewał rumieńce, bywał blady, promieniał i chmurniał. Budził się razem ze mną, razem ze mną zasypiał, ale w nocy dziwniał, snuł swoje osobne życie — belki wzdychały, roniły żywicę, lasowała się wanna, wyły kominki, osiadały kamienie, przypominał się daleki las, z którego przywędrowały bale sosnowe i olchowe gonty, śnił się kamieniołom nad rzeką, rodziły się myszy, psy, koty, zajęki... Dom gestniał, pochłaniał mnie, a jednocześnie sam wrastał w tajemniczą perspektywę, która mogła być moją historią, chociaż nią nie była. (...) Siciński zbudował go jak pudełko samowystarczalne w ramach swojej architektury, nie wymagające innych ozdób niż światło i harmonia. Wszechstronnie oszklony, wewnątrz złoty i kremowy, pachnący bierwionami, rzeczy zbyteczne odrzucał. Za to rzeczy, które przyjął, stawały się podwójnie własne: nasze i domu".*

A potem

...patrzyłam na dom, w którym po dziesięciu latach przygotowań mieszkałam cztery miesiące. Pierwszy własny dom w rodzinie, odkąd prapradziad zaprzepaścił swą Psią Wólkę, wstępując do legionów we Włoszech. Ale nie było czasu na podejrzenia, zaraz odjechaliśmy".

Żal mi się zrobiło tych „rzeczy" które umarły i spełnionego marzenia, które trzeba było zostawić.

Zaskrzypiała „hebanowa" podłoga i znalazłam się w widnym pokoju z widokiem na las. Ściany pełne obrazów. Kilimy, książki. Pod oknem duże biurko, a na nim fotografia papieża i rozrzucone kolorowe albumy, m.in. ze zbiorami na Wawelu.

— *To jest biurko Wyczółkowskiego* — objaśnia pisarka. — *Meble kupowaliśmy z mężem po wojnie. Większość z nich pochodzi z antykwariatu w Radomiu. Na podłodze leżą kilimy wschodnie. W rogu — biblioteczka z książkami moimi, męża i syna brata, Jana Józefa Szczepańskiego. To jest jedna z ostatnich fotografii męża...*

Rysunki, obrazy, to Londyn po zbombardowaniu, a to plakat „Cudzoziemki". Wszystko piękne, wszystko ma jakąś treść. Jest symbolem lub pamiątką. Łączy się ze zdarzeniem albo wspomnieniem.

— *A to są projekty kostiumów, wykonane przez Irenę Lorentowicz* — mówi dalej Maria Kuncewiczowa. — *To ona robiła kostiumy do „Harnasi" w Paryżu. Oczywiście to nie są „Harnasie"...*

Irena Lorentowicz „*dziewczyna w wielkim kapeluszu słomianym, w sukni białej, dziewczyna z książki o przygodzie, dziewczyna-obraz*" Wiązała się nierozerwalnie z Kazimierzem, „cygańskim" życiem i artystyczną przygodą. Kazimierska malarka, wtopiona w nadwiślański pejzaż, stanowiła jego stały element. Ona zaprowadziła pisarkę po „*darniowych schodkach na wzgórze*", gdzie w kwitnącym sadzie stała mała chatka i powiedziała:

— *Tu powinnaś zamieszkać.*

„*Widywałam ją potem w Warszawie* — pisała Maria Kuncewiczowa — *gdzie nosiła suknie uroczyste, wizytowe, jak przystało na córkę dyrektora teatrów warszawskich, znakomitego krytyka, Jana Lorentowicza (...). Widywałam ją też w Paryżu w aksamitnym berecie, z bukiecikiem fiołków, szczęśliwą mieszkankę rue Froidevaux na bohemiańskim Montparnassie*".

A teraz Irena Lorentowicz na stałe zamieszkała w kazimierskim domu, w jasnym pokoju z widokiem na brzozy.

Przechodźmy do dużego salonu z kasetonowym sufitem. Ciemny strop, ciemne ściany. Duży, okrągły stół.

— *Makata, ręcznie haftowana pochodzi z Turkiestanu. A ten duży kilim? W książce „Ptaki z moich snów" autor pisze o przekazaniu go w naszym domu na placu Trzech Krzyży.*

Egzotyczny wzór, wyłania się z ciemnej czerwieni i przechodzi w miękkość i jedwabistość. Z kultury Dalekiego Wschodu przenoszę się nagle na tereny bliższe, ale za to głęboko osadzone w historii. Piec huculski, zrobiony z trzech pieców. Wprawdzie już się w nim dzisiaj nie pali, żeby kafle nie popękały, ale wygląda imponująco. Maria Kuncewiczowa objaśnia rysunki, wprowadza mnie w tajemnice ich treści.

„*Pejzaż, oklejony mchem, z barierką dookoła gór, z owieczkami, pasterkami, dzwonnicami — dziecinadą, po której na całe życie zostaje smak utraconego raju.*

Wszystko, co kiedykolwiek się śniło czy ściło w repertuarze naiwnej wyobraźni: okruchy Biblii, szwajcarskie sielanki Słowackiego, dumki-szumki pośród słoneczników. Wańki-wstańki, żar-ptaki i czerwone jaja. Wszystko na płachcie Aladyna, ukazane przez szparę, nierealne, dziejące się ponad czasem, w łuku tęczy albo w dziupli rozjaśnionej przez próchno".

Piec — zupełnie już dzisiaj unikalne dzieło ludowej sztuki, wyłania się z całej gamy miękkiej zieleni, przechodzi przez wszystkie jej odmiany i odcienie.

— *To dzięki specjalnym roślinnym barwnikom* — mówi pisarka. — *W Meksyku widziałam kafle w podobnych odcieniach. Rysunki przedstawiają różne okresy i różne szczegóły z życia codziennego. Niektóre są symboliczne. Jeden z nich jest np. symbolem schizmy wschodniej.*

IV wiek n.e. Z krzyża wyrastają dwa pędy drzewa, które zamiast korony mają dwa potężne orły.

Pod ścianą inny szczegół ludowej sztuki. Kołowrotek i krzesełko szewskie. Obok wysoka, ciemna rzeźba z drzewa oliwkowego, przedstawiająca rybaka lub świętego. Pisarka zaczęła rysować coś na serwetce i napisała „Puławy".

— Puławy? — zauważył nagle Włoch. Okazało się, że w czasie wojny internowany był w Puławach i bardzo interesował się jedną z tamtejszych dziewcząt. Dzięki przypadkowi rzeźba znalazła się w Polsce.

Za rzeźbą — duży olejny obraz.

— *Tu wisiał portret mojego męża, malowany przez Wł. Filipowskiego. Zabrano mi go chwilowo na wystawę, a w zamian dostałam ten, zupełnie nie pasujący. A tam za piecem wiszą portrety — mój i męża.*

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę z tego, że chociaż Jerzy Kuncewicz już nie żyje, to jednak jest wszędzie obecny. Jest w całym domu, w każdym sprzęcie, w fotografii, na półce z książkami. Nic się nie zmieniło. Żyje jako „fantom" pomagający żonie w pracy, jako współtwórca każdej minuty, układanej pracowicie i z sercem, jak te suche bukiety. Bo przecież dom i całe życie pisarki są również jego.

— *Jest we mnie bardzo wyraziste poczucie obecności drugiego człowieka* — mówiła kiedyś Maria Kuncewiczowa w wywiadzie — *oraz poczucie odpowiedzialności za los kogoś (...) Teraz, po sześćdziesięciu latach małżeństwa, tzn. życia w tym samym domu, albo w tym samym pokoju, zdaję sobie sprawę, że przez sześćdziesiąt lat słyszałam bicie serca drugiego człowieka, oddychałam tym samym powietrzem. (...) Muszę powiedzieć, że materialną okolicznością, która utwierdziła naszą wspólnotę było to, że drugi człowiek, z którym się sprzęgło moje życie, wybudował mi dom. (...) Pochodzę z rodziny od dawna bezdomnej, tzn. rodziny, która miała zawsze przyzwoite mieszkanie, ale to nie były domy, to zawsze było coś wynajętego. A tutaj nagle okazało się, że jestem w domu, który otaczają drzewa, które też do mnie należą. Ten kawałek nieba też do mnie należy, bo moje okna patrzą na to niebo.* Spojrzałam na duży wazon z suchym bukietem. Zastygłe kolory, pękate lub drobne kształty tworzące baśniową kompozycję z obrazu.

„*Moje suche bukiety* — pisała autorka kwiatowych kompozycji — *nieśmiertelniki, osty, głogi — mają inny cel: pomagają mi widzieć życie trwalsze niż to moje, wilgotne, gnijące*".

Tym nieprzemijającym pięknem jest też dom. Wymarzony i własny. Miejsce, do którego tęskni się całe życie i do którego zawsze się wróci. Dom, od którego klucza nie zgubi się nigdy.

„*Po zacisznym wieczorze noc straszna była w Kazimierzu* — pisała autorka „Dwóch księżyców". — *Księżyc bujał wysoko, upatrując, kogo by zadusić szponami. Sunął nad rynkiem i nie znajdował ofiary. Wszyscy schronili się w sen. A rudery rozpostarły nad snem sklepienia z metalu, ogrodziły go ścianami z marmuru. Okrzepły, wiernie stróżowały, żeby sny mogły się prześnić do końca. (...) Dziewczynę — wieczorem niechętną domowi, chłopaka — wielbiciela tajemnic, przeszywały dreszcze, nakrywali głowy pierzyną, szczękali zębami, póki trzask rozeschniętej krokwi nie upewniał, że między ludźmi a nocą stoi dom — bohaterska osłona*".

Jest to dom szczególny. Łączy w sobie wiele sprzeczności. Otwarty na świat i ludzi. Często odwiedzany, docierają tu głosy z całego świata. Ogromna korespondencja i liczne wizyty świadczą o tym najlepiej. Wciąż piszą studenci z Ameryki, znajomi, przyjaciele z różnych stron ziemskiego globu. Piszą też zwykli ludzie, zupełnie obcy, którzy po prostu chcą się „wyspowiadać", zrzucić z siebie żale i troski. Dom ten wszystkich zmieścił. Dla każdego serdeczny, każdy coś otrzyma: cenną chwilę czy uśmiech. Maria Kuncewiczowa odpisuje na listy, bo przecież „*grubiaństwem byłoby nie odpowiedzieć*". A jednocześnie dom ten jest bardzo prywatny, wręcz intymny, szczelnie, hermetycznie zamknięty. Wchodząc do niego wydawało mi się, że przekraczam jakąś barierę cudzego życia, jego codzienności i niecodzienności. Że dostaję się do cudzych marzeń i tajemnic, które wprawdzie są wciąż „sprzedawane", ale nadal należą do autora. Jest to przecież dom, nie „namiot". Mieszka tu wciąż Róża z „Cudzoziemki" i Piotr Krzysztofowicz z „Leśnika", i brat, i mąż, i wszyscy bliscy.

„Kuncewiczówka" jest światem w miniaturze. Zgromadzone pamiątki mają ogromny zasięg geograficzny i przekrój historyczny. A mimo to, przede wszystkim pachnie tu Polską. Współautorka tego domu zapytana kiedyś o to, co w nim najbardziej lubi, odpowiedziała:

— *Trudno się zdecydować na coś jednego, Lubię zespół. Ale są oczywiście rzeczy, które mają w sobie ciepło jakichś rąk, których już nie ma w tej chwili. I te są mi specjalnie drogie, bo jest ich bardzo niewiele.*

Pisarka zaprasza mnie do stołu. Białe wino i sernik „domowej roboty". Chwila odpoczynku. Chwila rozmowy nie związanej z „domem". Mówimy o Łodzi, o życiu artystycznym. Autorka „Kluczy" i „Fantomów" przypomina, że była w Łodzi na początku lat siedemdziesiątych, miała kilka spotkań z czytelnikami i „*nawiązała przyjaźnie, które trwają do dziś*".

Mówimy o Adamie Hanuszkiewiczu i Zofii Kucównej. Dowiaduję się, że „Zosia" właśnie tu mieszka. Przyjechała, aby opracować scenicznie świeży materiał, wychodzący spod pióra pisarki.

Zapytana o moje plany, chęci i marzenia, łapię się na tym, że odczuwam potrzebę opowiadania o rzeczach ważnych i błahych. Wydaje mi się, że chcę wypełnić lukę i dodać coś do „literackiej ciekawości" pisarki. Maria Kuncewiczowa słucha z zainteresowaniem, pyta lub coś dopowiada.

— *Nie ma gotowej recepty na życie* — mówi — *każdy musi sam nabrać doświadczenia.*

Rozmawiamy o zamku w Łańcucie, o festiwalach. O wspaniałym wystawieniu „Requiem" Verdiego na wolnym powietrzu. Pisarka przypomina, że była wtedy w Łańcucie i słuchała koncertu z wielkim zainteresowaniem.

— *Słuchając muzyki klasycznej i romantycznej* — przypomina mi się fragment „Natury" — *brodzę po cmentarzu — każda z tych melodii czy kompozycji była kiedyś dla mnie przyczyną zachwytu do łez i jakiejś szalonej nadziei. Na co? Na spełnienie. Czego? Jakiegoś marzenia. O czym? O miłości. Ale do kogo, do czego — nigdy nie było wiadome. Moje marzenia były zawsze bezprzedmiotowe. Słuchać teraz muzykę, która kiedyś zapowiadała życie — jest smutno*".

Siedzimy wciąż przy stole. Chwila ciszy. Promień zachodzącego słońca wpadł do pokoju i zatrzymał się na pąku czerwonej róży. W powietrzu unosi się zapach kwiatów, wina, słońca i starego drewna. Nieubłagany zegar wybił następną minutę. Wydawało mi się przez moment, że to „*dwa księżyce — srebrną sanną spłynęły po niebie, uderzyły z brzękiem o szybę, do pokoju wpadły zimne i błyszczące*". Coś magicznego jest w tym domu. Jestem nie tylko „tu", ale i „wszędzie" nie tylko „teraz", ale i „kiedyś". A autorka tych „czarów" wydaje mi się kimś naprawdę bliskim, kimś z rodziny, o którym się mówi: dobrze że jest. Dzielę się swoim spostrzeżeniem i podaję książkę do podpisu. Słychać skrzypienie pióra.

„*Na pamiątkę jeszcze jednej rozmowy tym razem kazimierskiej. Maria Kuncewiczowa. Dom pod Wiewiórką 1986*".

Kazimierz, willa Kuncewiczów w wąwozie Małachowskiego — *Foto: Jerzy Żurawski*

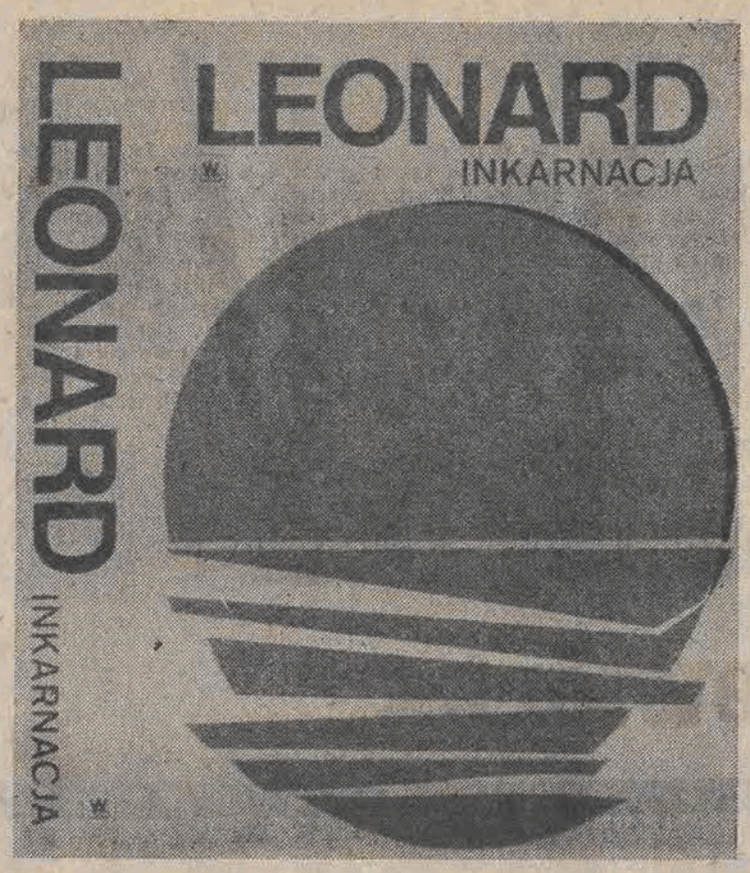

Gdzie narodził się pomysł „Inkarnacji"? Czy Leonard lubi wydawców i krytyków? O czym będzie nowa powieść?

Ważne są ludzkie dramaty, reszta jest tłem

Rozmowa z LEONARDEM — autorem powieści „Inkarnacja" i „Upiór".

Obie książki ukazały się prawie jednocześnie i natychmiast zniknęły z półek księgarskich. Obecnie przygotowuje się drugie ich wydanie. Niektórzy traktują je jako debiut literacki. A pan?

— Nie są debiutem! Pisałem całe swoje dojrzałe życie, zdając sobie sprawę z faktu, że w warunkach, jakie istniały, nie ujrzą światła w kraju. Obie książki pochłonęły mi masę czasu i nieziemsko długo były przygotowywane do druku. Ale przepraszam — nie obie, gdyż Wydawnictwo MON nadało wydaniu „Inkarnacji" tempo myśliwca ponaddźwiękowego.

— Jak długo trwała praca nad „Upiorem"?

— Powieść tę pisałem ponad dziesięć lat, a na wydanie czekałem kolejnych siedem. Pierwsza wersja „Upiora" liczyła 920 stron maszynopisu. Wydawcy domagali się skreśleń, przeróbek, dopisywania. O upodobaniach ich autorzy mają swoją opinię, chcąc jednak książkę wydać, muszą chować ją głęboko w sercu. „Upiora" pomyślałem jako fresk obyczajowo-polityczny, którego akcja rozgrywa się po obu stronach Atlantyku.

— Czytelnicy — z takimi opiniami przynajmniej się spotkałem — bardziej są zainteresowani „Inkarnacją". Ta powieść lepiej się podobała. Pan — jak sądzę — jest silniej przywiązany do „Upiora"?

— Nie do mnie należy podsuwanie Czytelnikom wyboru. Obie książki są moje. Obie cenię jednakowo. Każda jest inna. „Upiór" ma konstrukcję piramidy złożonej z wielu brył, wymaga uważniejszego czytania, a to nie każdemu odpowiada. Z obserwacji rynku czytelniczego odnoszę wrażenie, że powoli bierze górę nad „Inkarnacją". Ale to jest dla mnie bez znaczenia.

— Odpowiedź na pytanie o pański debiut była enigmatyczna. Jak to rozumieć?

— Poza beletrystyką paralem się innymi dziedzinami sztuki. Odnosiłem sukcesy, w każdym razie materialne. W pracy twórczej nie jestem debiutantem, nie są to moje pierwsze książki.

— Wyniki swojej pracy twórczej w innych dziedzinach artystycznych też pan sygnował pseudonimem?

— Pseudonimami. Liczba mnoga. Jakimi? — moja tajemnica.

— Niełatwo uzyskać pana zgodę na udzielenie wywiadu.

— Nie lubię występować publicznie. Tyle u nas ględzenia o niczym.

— A jednak udzielił pan kilku wywiadów!

— Istotnie. Przez ponad pół roku odmawiałem podjęcia jakichkolwiek kontaktów z prasą, a propozycji było wiele. Ale w życiu nie można kierować się lubieniem. Zaletą kręgosłupów twardych jest ich nieelastyczność, wadą — łamliwość. Oprócz lubienia istnieje myślenie. Ono nakazało mi iść na kompromis. Myślenie i namowa moich wydawców. Przekonali mnie, że pisarz, choćby najlepszy, o którym w prasie cicho, to żywy umarły. Polska wojewódzka jest mi życzliwa. Więc sto za sto. Pierwszego wywiadu udzieliłem Kazimierzowi Kołodziejowi z gdańskiego „Głosu Wybrzeża" — bo to moje ulubione pismo, drugiego Zbigniewowi Kozakiewiczowi z „Żołnierza Polskiego" — bo to prasowe ramię wydawcy „Inkarnacji" MON-u, trzeciego Grażynie Bral z tygodnika „Wybrzeże", bo... to urocza pani i tygodnik wart czytania. Teraz rozmawiam z panem, bo...

W tym, co powiem, nie ma gadania pod wios: pańskie pismo jest redagowane z dziennikarskim nerwem, niczym nie przypomina popularnego u nas strusia, ma swój ciężar gatunkowy, reprezentuje milionową aglomerację miejską. Jest ona liczącym się w kraju, prawnym ośrodkiem kulturowym. Same fakty.

Moja próżność została tym samym nasycona. Nieprędko dowie się pan o moim kolejnym wywiadzie prasowym.

— Wiem, że o wywiad zwracała się do pana telewizja, ale jak do tej pory — na małym ekranie pana nie widziano.

— Redaktorzy z telewizji, którzy się o to zwracali za pośrednictwem moich wydawców, zrobili to w pięknej, kulturalnej formie. Zaskakującej dla mnie, a to zobowiązuje. Nie uważam jednak, abym już zasłużył na marnowanie ich czasu. Jeszcze nie. Ale jestem dobrej myśli. Czas, dobrze wykorzystany, pracuje dla cierpliwych. I jeszcze jedno: dwie osoby, a mianowicie red. Wiesław Naumowski z Telewizyjnego Informatora Wydawniczego oraz red. Kazimierz Koźniewski z „Polityki", nie czekając na reakcję krytyków wypowiedzieli się oficjalnie więcej niż pozytywnie o moim pisarstwie, nadali mu właściwie rozgłosu. Pierwszym był jednak red. Naumowski, a więc Telewizja, i jej winien jestem wdzięczność. Wysoka ocena mojej twórczości ze strony tych panów jest dla mnie zobowiązaniem do jeszcze lepszej pracy.

— Aż dwa wywiady były publikowane w prasie gdańskiej, tam też drukowano obszerne fragmenty „Inkarnacji" i „Upiora". Czyżby pan był mieszkańcem Wybrzeża?

— Jestem mieszkańcem dumy polskiego Wybrzeża: GDYNI.

— Akcja obu pana powieści rozgrywa się w czasie drugiej wojny światowej, ale nie zaliczyłbym ich do literatury wojennej, uprawianej przez niektórych pisarzy. Batalistyki w nich — poza gigantycznym atakiem lotnictwa alianckiego na Berlin w dniu urodzin Hitlera — nie ma. Dlaczego?

— Batalistyka w literaturze się przeżyła. Krew, trupy, ruiny wdarły się dzięki telewizji do naszych domów, straciły moc przerażenia, stały się więc nieciekawe. Wojna dla mnie jest tylko tłem, na którym rozgrywają się losy moich bohaterów, jest jak w teatrze — sceną dla aktorów sztuki. Od zarania dziejów człowiek lubił podglądać innego człowieka, opis tych zachowań stał się tworzywem dla ludzi pióra. Sale kinowe wyświetlające filmy z drugiej wojny światowej świecą pustką, są z kolei pełne na ckliwych melodramatach czy głupawych komediach. Przesyt wojną jako taką w całej pełni.

— Wiem, że był pan naukowcem w jednym z instytutów Trójmiasta, przebywał w świecie. Akcja „Inkarnacji" rozgrywa się w Australii, na Pacyfiku, w Azji Południowo-Wschodniej, gdzie podczas drugiej wojny światowej Niemcy mieli dobrze zamaskowaną przed wywiadem aliantów bazę okrętów podwodnych. W rozmowie z „Głosem Wybrzeża" stwierdził pan, że bez pana tam bytności „Inkarnacja" nie byłaby tym, czym jest. Gdzie narodził się pomysł tej powieści?

— W czytelni Archiwum Admiralicji Brytyjskiej w Londynie. Tam, w annałach wojny na morzu znalazłem dokumenty opisujące wymordowanie na Atlantyku rozbitków z zatopionego greckiego frachtowca przez niemiecki okręt podwodny U-852. Lektura tych dokumentów zrodziła nie tyle koncepcję, ile wewnętrzny przymus napisania tej powieści.

— Drukowaliśmy fragmenty „Upiora", będziemy drukowali fragmenty „Inkarnacji". Ukaże się w księgarniach jej drugie wydanie. Czytelnicy będą mogli sami ocenić jej walory. Zapewne i krytyka ponownie wypowie się o pana książkach. Pan, zdaje się, krytyki zbytnio nie ceni?

— Czyżby pan chciał mnie wrobić w wojnę z tymi panami?

— Nic podobnego. Źle panu nie życzę. Przeciwnie.

— I to jest to, co się liczy. Dziękuję. Ceniąc pracę w ogóle nie mogę nie szanować żmudnego wysiłku krytyków, ale handlowe, że tak powiem, znaczenie ich opinii bywa różne. Ja nie zgłaszam pretensji do krytyków. Dżentelmeńskie milczenie wokół moich powieści, niektórych z nich nie wpłynęło negatywnie na powodzenie moich książek u Czytelników, jeszcze raz okazało się złotem. Take it easy — mawiają doświadczeni w braniu cięgów, na końcu walki i tak zawsze zwyciężą Anglicy. A mnie na cierpliwości nie zbywa.

— Ale pana książki są faktami publicznymi, nad którymi można też dyskutować, publicznie wyrażać opinie o nich.

— Nikomu nie wzbraniam dyskutować nad moimi powieściami. Czy jednak muszę wszystkie te opinie znać, brać je pod uwagę, zgadzać się z nimi?

— Nie. Jest w nich wyrażana jednak społeczna ocena pana pracy.

— Nie społeczna a jednostkowa. Krytyk nie jest społeczeństwem, jest człowiekiem przystosowanym zawodowo do wyrażania takiej opinii. Jak z tego uprawnienia korzysta, to inna sprawa. Jako naukowiec aż nadto dobrze poznałem motywację o takim czy innym ukierunkowaniu opinii recenzentów prac naukowo-badawczych odnoszących się do inwestycji o ogromnej wartości materialnej. Myślenia o tym psuje mi nastrój.

— Jaka jest pana koncepcja literatury?

— Nie czuję się kompetentny do wypowiadania się na ten temat.

— Ale pytano pana już o to.

— Niestety.

— I co pan odpowiedział?

— „Literatura, aspiracje narodowe, historia, kultura — wielkie słowa; boję się ich, wolę na nie nie odpowiadać. Z wszystkiego, co na temat literatury przychodzi mi do głowy, to to, że nie powinna kłamać, nie powinna dzielić narodu i narodów". A także: „Pisarstwo to przede wszystkim wyobraźnia, umiejętność namalowania krzewu róży z jednego jej listka".

— Nie wyczerpuje to jednak pytania. Na odwrocie okładki „Upiora", którego wydawcą jest Czytelnik, stwierdzono, że powieść ta „napisana została językiem wziętym jakby spoza tradycji stylistycznej polskiej literatury faktu, językiem ostrej, męskiej narracji, wyrazistego konkretu". Można to potraktować jako reklamę książki, ale po jej lekturze trudno nie zgodzić się z opinią wydawcy, co jest też wyrazem uznania dla jej autora.

— Najwyższą satysfakcją dla autora jest jego własna świadomość wykonania dobrej pracy potwierdzona uznaniem Czytelników. Nie ma nic cudowniejszego, zapewniam pana. Zresztą pan sam jest autorem książek i wie o tym najlepiej. Uznanie z zewnątrz bez własnego przekonania, że zrobiło się coś dobrego, nie daje pełni szczęścia.

Pozytywność moich książek, a przede wszystkim fakt ich ukazania się po latach wyczekiwania, mówi o moim punkcie widzenia na literaturę, o jej jakości. Pan chce jednak koniecznie, abym powiedział coś więcej. Zgoda.

Literatura surowych ma sędziów. Ba, gdyby tylko to! Stereotypy myślowe nie ustępują pola same. Życie nasze zostało tak upolitycznione, że chcąc pisać o ludziach z krwi i kości — nie o makulaturowych marionetkach, nie sposób uciec od polityki. Atmosfera w kraju dla ludzi pióra była przez dziesiątki lat „syropowa". Moje pisarstwo potrzebowało powietrza. Więcej tlenu, więcej słońca na polskim niebie, więcej ufności w człowieka. Ukazanie się moich powieści wolnych od politycznego szowinizmu i tendencyjnych uproszczeń powinno mieć dla wszystkich jednoznaczną wymowę.

— Ale — jak sam pan powiedział — stereotypy tak łatwo nie ustępują. Na miejsce jednych przychodzą drugie. Pańska anonimowość na przykład też sprzyja tworzeniu się mitu. Ludzie szukają rodowodu, chcą wiedzieć, kto skąd pochodzi. Rzeczy nowe, poznawane starają się porównywać z już istniejącymi. Wie pan zapewne, że zastanawiano się, jaki to uznany pisarz czy dziennikarz ukrywa się pod pseudonimem Leonard. Ale nic z tego. Pan jest człowiekiem z krwi i kości, który zdobył sobie popularność, ale programowo od niej stroni. Dlaczego?

— Ma pan mi to za złe?

— Nie. Ma pan do tego prawo. Ale wielu na pana miejscu szalałoby z radości, że świat się nimi interesuje. A pan chowa się w cieniu.

— Bo zaznałem smaku jadów gotowanych w tzw. polskim kotle dla każdego, kto odważył się wychylić ponad przeciętność. To straszne przestępstwo w tym kraju, panu nie muszę chyba o tym mówić. A poza tym... Nie jestem człowiekiem pierwszej linii. Autorów piszących pod pseudonimem jest wielu. Motywacje tego mogą być różne. Uszanujmy je. Powie pan zapewne, że twórca jest własnością publiczną — jest wielu wyznawców tej tezy, na czele z szanowanym przeze mnie Kazimierzem Koźniewskim. Uwielbiam jego publicystykę, boczę się na tę tezę. Nie zgadzam się z nią. Pojęcie: „własność publiczna" nie brzmi najszczęśliwiej. Twórca nie jest rzeczą. Każdy człowiek ma prawo do intymności, do błędów, do potknięć, do wad wreszcie. Nie ma świętych na tym padole. Czyżby wysiłek twórczy miał być ustawowo karany pozbawieniem twórcy prawa do osobistej wolności, którą zapewnia anonimowość? A poza tym ludzie są różni. Jeden czuje się dobrze w tłumie, drugi w samotności.

— Pan woli samotność?

— Tak. Nie należę do typów stadnych. Lubię las, wodę, ciszę wokół siebie. Moi rodacy często gustują w opowiadaniu własnych życiorysów, w chwaleniu się własnymi dokonaniami. Swoisty kompleks niższości zagłuszany grzmotem trąb. Nad wysłuchiwanie tych bredni stanowczo przedkładam śpiew słowików.

— Przyzna pan jednak, że jak na pisarza dość to ryzykowna filozofia życia. Przecież pisarz musi stale gromadzić doświadczenia, poznać ludzi, tkwić po uszy w rzeczywistości. Bez tego nie ma twórczości.

— A nie uwzględnia pan możliwości robienia tego w czapce niewidce na głowie? Moje życie nie płynęło sobie leniwym strumyczkiem pośród sielskich łąk, oj nie! Dość materiału poznawczego zmagazynowałem w sobie. Do pisania potrzeba mi teraz samotności, warunków do skupienia się, do pohasania w chmurkach. Tam znajduję gotowe strony, już napisane — na ziemi dokonuję tylko korekty.

— Nad czym więc pan teraz pracuje?

— Właśnie ukończyłem „MATNIĘ". Fragmenty tej powieści, liczącej ponad czterysta stron, drukował „Głos Wybrzeża".

— A nie sądzi pan, że również „Odgłosy" mogłyby wydrukować jej fragmenty i to obszerne, jeśli nie całą? Naszą niejako specjalnością stało się drukowanie interesujących, bulwersujących powieści.

— Specjalność dobra, kupowanie kota w worku — niebezpieczne. A nuż cała reszta okaże się nijaka.

— Pozwoli pan nam zaryzykować?

— Uprzedzam jednak, i proszę podkreślić to, że moje powieści nie są bulwersujące czyli sensacyjne. Są opowieściami o ludzkich dramatach pisanymi w tonacji wyważonego moderato cantabile.

— Więc o czym jest ta powieść?

— Słowo „matnia" oznacza pułapkę, ślepą uliczkę, miejsce, gdzie człowiek przemienia się w ofiarę, w łup polujących na niego — o tym mówi.

— Bohater pańskiej nowej powieści znalazł się właśnie w takiej sytuacji. Gdzie dzieje się jej akcja?

— W Europie Zachodniej, Stanach Zjednoczonych, w Republice Południowej Afryki. Rzecz współczesna. Głównym bohaterem jest młody Amerykanin oddany sercem i ciałem swemu wielkiemu krajowi, o Polskę wcale nie zahacza, a dziwne, jak wiele wspólnego ma z Polakami. „Matnia" to rzecz gorąca. To przestroga dla wszystkich zapatrzonych bezkrytycznie w jasność, nie przyjmujących do wiadomości istnienia ciemnej strony Księżyca. Ale uprzedzam i chcę, aby nie było tu żadnych wątpliwości, ponieważ bohaterem jest były pracownik CIA, żądni czarno-białego widzenia rzeczy, których nigdzie nie brakuje, zwietrzą w tej powieści strawę dla siebie. Tak nie jest. Jest to dramat Amerykanina obarczonego dziedzictwem myślenia idealistycznego, tak niestety typowego dla Polaków.

— Czy, jeśli po jej lekturze dojdziemy do wniosku, że chcemy ją drukować lub jej fragmenty, wyrazi pan na to zgodę?

— Porozmawiamy. Najpierw niech pan ją przeczyta. Ponieważ jestem wrażliwy na ludzi z męskim nerwem, wrócimy do tego tematu. Z mojej strony — z przyjemnością.

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

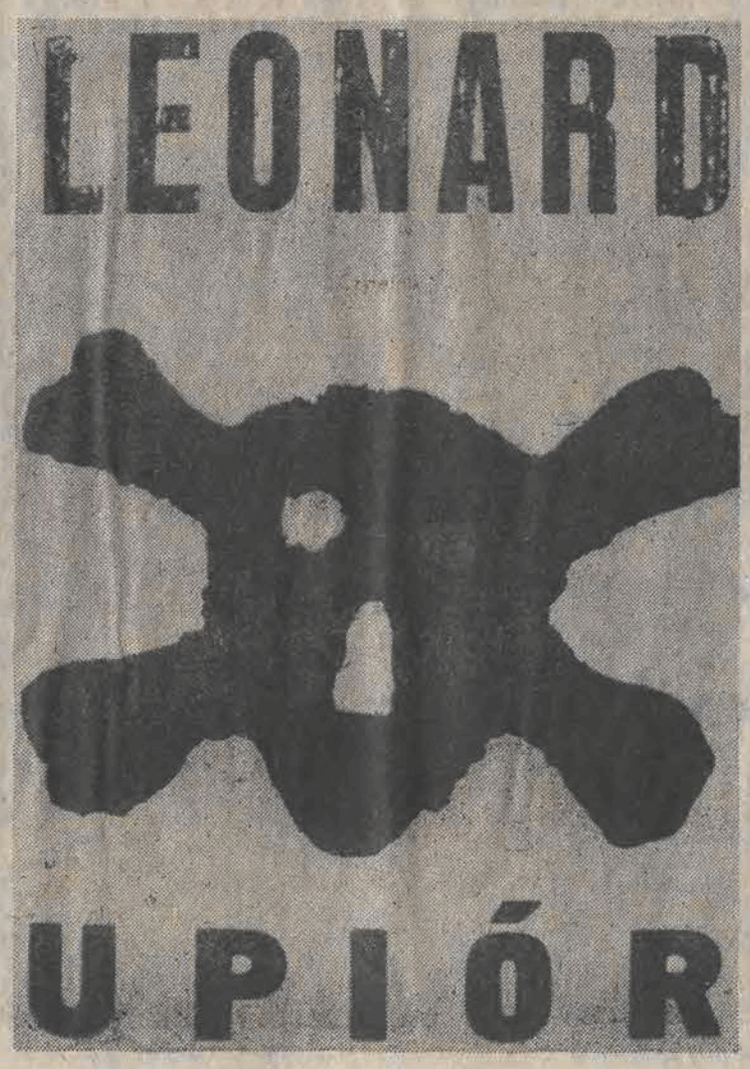

PS. Uzyskaliśmy zgodę Leonarda na druk fragmentu „Matni" obok niniejszego wywiadu. Powieść nam się podobała. Czynimy starania o zgodę na druk całej.

L.W.

Leonard: „Matnia" (fragment)

Przedruk w całości lub we fragmentach — zastrzeżony.

Ruletka

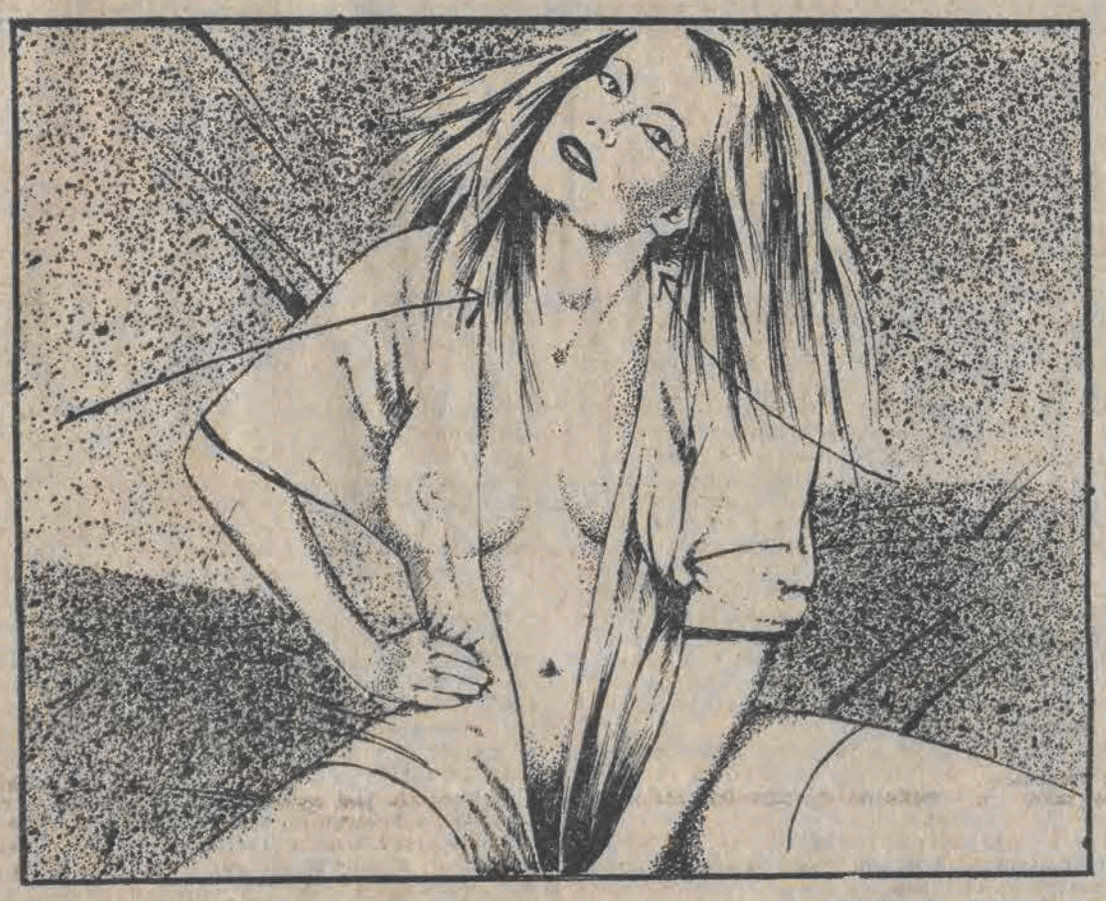

Rys. Janusz Szymański-Glanc

W drodze powrotnej z WC robię rundę zapoznawczą po gwarnych salach hotelu. Mój czas stanął w miejscu. Czarterowy jumbo pozostawił za sobą Zatokę Świętego Wawrzyńca w Kanadzie, w tej chwili zbliża się do Nowego Jorku, stewardesy serwują cienkie czarterowe śniadanie, mój skarb, niewiniątko, śpi w komorze bagażowej tego słonia przestworzy. Dopóki nie otrzymam go z powrotem, wskazówki mego zegara będą stać w miejscu na przeciwległych biegunach. Nie wiem tylko, którą jestem ja: dużą czy małą? Dylemat chwili. Jestem nożycami rozwartymi w próżni. Hotel Kalastajatorppa. Trzy mile od centrum miasta, dwanaście od portu lotniczego, las, skały, mech, granat morza. Widywałem lepsze hotele. Do jakiej sali by się nie weszło, a jest ich: Czerwona, Okrągła, Balkonowa, Kolonialna, Morska, Żółta — nie licząc gabinetów na prywatki — nie można nie podziwiać. Dobrze mnie pan dyrektor Kauko Uusitalo ulokował. Jest tu kasyno gry!

Obstawiłem cztery razy pod rząd nieparzyste, czerwone numery transversale simple, cztery razy pod rząd przegrałem. Wygrywają czarne carré, czerwone douze — na przemian, wiecznie wygrywać nie będą! W ruletce obowiązują trzy zasady: wydzielić sobie z góry określoną kwotę na przegranie, grać nisko, być wierny polom. Zasady pierwszej łamać nie wolno nigdy, druga cechuje hazardzistów niedzielnych, do trzeciej należy podchodzić jak do kobiety, której nie chce się stracić: raz tak, raz inaczej. Ile jest cztery razy cztery, razy cztery? Jest sześćdziesiąt cztery Suomen Markkaa, czyli około sześnaście dolarów, mogę grać dalej. Są jeszcze zasady osobiste, ściśle tajne, wydumane w oparach nie przespanych nocy, nie zdradzane nikomu, zasady — szósty zmysł Napoleona spod Austerlitz; jest zasada roszady zasad nie przewidziana przez regularnego przeciwnika, przynosząca w ostatniej chwili druzgocące zwycięstwo, zastrzeżone jednak wyłącznie dla Napoleona; geniusze mniejszego pokroju, od których przy stole gry się roi, stosując ją, wychodzą na tym jak Napoleon, ale ten spod Waterloo. Perkele! — podoba mi się to przekleństwo. Cały świat klnie po angielsku, bez polotu, warto było przyjechać do Finlandii.

Perkele, znowu przegrałem, ale to żaden dramat, bo gram nisko, żetony z poczwórną stawką trzymam w odwodzie na czas ofensywy. Rekonesans prowadzi się małymi siłami. Sztuka hazardu. Zdaniem Davida wszystko w życiu jest hazardem, rzecz w tym, że nie każdy zdaje sobie z tego sprawę. Jest w tym trochę racji. Tak się złożyło, że lata gimnazjalne spędziłem w małym miasteczku w stanie Kalifornia. Nazywało się Sleeping Valley i tak jak się nazywało, takim było. Dla kogoś przyzwyczajonego do drapaczy chmur Wschodniego Wybrzeża było podwórkiem więziennym. W Śpiącej Dolinie były kina, kościoły, drugstore'y, discobudy, hoteliki, lecz dokąd by się nie poszło, widywało się te same twarze; znienawidziłem prowincję. Rozrywką dla chłopaków żądnych silniejszych wrażeń było wypuszczanie się na highway gratem z demobilu kupionym za parę dolarów i „przyklejanie się" do markowych limuzyn prowadzonych przez ładne dziewczyny. Zabawa ta zamieniała często myśliwych w zwierzynę, bo obiekty pogoni same zjeżdżały na pobocza i szukały szczęścia, ale wówczas było to jeszcze odkrywaniem świata. Kończyło się różnie, dla mnie wychowanego krótką w tych sprawach ręką, majakami nocnymi, gdyż w sytuacjach podbramkowych, kiedy biała flaga windowała się na maszt, brakowało mi odwagi. Proste to, a jak pokrzywione, gdyby na przykład nie przedsiębiorczość Gundborg, noc wśród starej porcelany miałaby może inny przebieg. Pasywność. Pociąg, na który zawsze zdążę. Nie lubię w tych sprawach pośpiechu, a już w ogóle wskakiwania w biegu. Na eskapadach tych dokonałem ważnego odkrycia: one, te nieosiągalne w wyobraźni chłopaków królewny z bajki chcą tego bardziej od nas, tylko nie mają odwagi! I jeszcze jednego: marzenia senne à la Jane Fonda kapitulowały najszybciej, natomiast kury domowego chowu z małych dziur, jeżeli nie naciskały z piskiem na gaz, chciały wpierw powzdychać przy księżycu, gdy rzecz leżała w czymś tak prozaicznym. Szczęście, jak powiada David, lubi odważnych, ale z mojego doświadczenia wiem, że zmęczone wyczekiwaniem na chętnego na siebie staje się uleglejsze. Nieco doświadczenia, a jaki zysk!

Douze płaci dwa za jeden, transversale simple — cztery, carré — siedem, cheval — siedemnaście, plein — trzydzieści pięć. Trzydzieści pięć razy iks równa się milion.

Taktyka ostrożnego rekonesansu skończyła się, teraz trzeba sprintem. Przeliczając na oko stosy żetonów, spiętrzone przy mnie, wygr... nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz. I nie szukaj podpórki w darmowym alkoholu serwowanym w kasynach, oni wiedzą, co robią! Nie, dziękuję, mówię kelnerowi. Stojąca obok mnie wieczorowa suknia pyta grzecznie po niemiecku, czy nie będę miał nic przeciwko obstawianiu przez nią moich numerów? Jestem pochłonięty zimnym rachunkiem. Komputerem bankowym jestem, nie człowiekiem. — Nie będzie pan miał nic przeciwko temu? — ponawia wieczorowa suknia, tym razem po angielsku.

Proszę znaleźć mi mężczyznę, który mając szczęście w grze nie byłby wielkoduszny wobec piękności w wieczorowej kreacji. Robię jej więcej miejsca. — Ależ proszę, szanowna pani, sprawi mi to zaszczyt — odpowiadam przekornie, tym razem po niemiecku z moim zurichskim akcentem, przez który Niemcy biorą mnie często za Bawarczyka.

Wieczorowe suknie przeplatane z czarnymi smokingami śledzą mnie i z podziwem, i z zazdrością. Nie mam nic przeciwko temu. Pochlania mnie gra. Nie podnoszę oczu znad pola bitwy, nie interesuje mnie, jak ta wydekoltowana kreacja wygląda, zajęty jestem problemami strategiczno-taktycznymi: zatrzymać się przed Rubikonem, po raz trzeci z rzędu zaatakować nieparzyste bastiony cheval i plein czy rzucić wszystkie siły przeciwko dobywanemu dotychczas na próżno przez innych bunkrowi Zera? Jak postąpiłby David? — pytam siebie wiedząc, że i on, i Cullinan poszliby na pełny gaz. — Mesdames et messieurs... Mesdames et messieurs... — nawołuje krupier. Noc jest piękna, woda w zatoce jeszcze dobra do kąpieli. Tak, oni zarzuciliby na duże ryby. Na głębokie by poszli. Więc C'est la vie! — śmieję się i obstawiam koronę stołu. Śladem moim, niczym wierny pies sunie po zielonym suknie nagie ramię kobiety wykąpane w jeziorach Chanela, Le de Givenchy, Yves Saint Laurenta, Niny Ricci — nie wiem, w którym, nie znam się na perfumach. Alabastrowa szyja łabędzia. Wdzięk wymodelowany w górną kończynę tego królewskiego ptaka podąża moim śladem, nieprzytomnie poddany, przyklejony do mego ramienia, gdybym był mężem ptaka, do którego należy, nie czułbym się pewny siebie. — Nichts geht mehr! — oznajmia krupier. —The end! — Furkot kuli głuchnie w oszalałym wodospadzie rocka wlewającym się do kasyna z sali dancingowej. Roulette — piękny jest francuski język. Je t'aime, mademoiselle Roulette! Nie interesuje mnie marszruta kuli na obrotowej tarczy, czy w ogóle stanie i gdzie, czy też poszybuje od razu na księżyc. Jestem po drugiej stronie wieczorowej kreacji nie ustępuje. Odwołuje się do swego partnera. — Nie puścimy pana, prawda Liebling?

— Jestem doktor Oskar Norderstedt, z Hamburga — przedstawia się Liebling — a to moja małżonka, Gaby Sprawi pan nam wielką przyjemność swoim towarzystwem. Naprawdę!

Sympatyczna para. Przy stole pani Gaby Norderstedt przygląda mi się badawczo. — Zastanawia mnie — koniuszkiem języka wilży dolną wargę — pański uśmieszek. Tajemniczy. Czy wolno spytać, z czego?

Pociągnąłem łyk szampana. Z czego zdobywca Kalastajatorppy może się śmiać? Z wygrania prawie trzech tysięcy dolarów? Z miłego towarzystwa? Z własnego komedianctwa — z tego! Czas przerwać tę grę, mój niemiecki nie jest aż tak bezbłędny, a w ogóle po co ją kontynuować?

Wymazuję z twarzy głupawy uśmieszek.

— Jestem winien państwu przeproszenie — mówię poważnie. — Państwo wzięli mnie za Niemca, domyślam się dlaczego, ale tak nie jest. Jestem Amerykaninem. Proszę o wybaczenie tego małego nieporozumienia.

— Aber nein! — protestuje gorąco pani Gaby Norderstedt. — Pan? — Oblatuje mnie błyskawicznie oczami, przegląd wypada po jej myśli. — Wykluczone! — orzeka arbitralnie. — Jest pan stuprocentowym Niemcem, rodem z.... Bawarii, tak sądzę.

Nie wiem, czym się te procenty oblicza. Normalnie branie mnie z góry za Niemca wyzwala we mnie cichy protest. Nie żebym się tym czuł dotknięty, kopie mnie podtekst — szukanie brodu w rzece? kładki nad przepaścią? — nadawany temu przez Niemców ze starszego pokolenia. Czy dlatego, że jestem rosły? A gdybym był niski, nijaki i garbaty? Albo zdradził się ze znajomości innego języka — a znam jeszcze jeden — czy musiałby to być mój język ojczysty? Jestem Amerykaninem. Z urodzenia, z wszystkiego, co w mojej duszy i sercu Amerykaninem. Dumnym z tego!

Przywracam twarzy uśmiech, ale już nie zagadkowy.

— Żałuję, szanowna pani.

Tańcząc ze mną Gaby powróciła do tego tematu. Jest we mnie coś — szperała w swej ładnej główce za właściwym słowem — fizycznie i kulturowo niemieckiego. Z Amerykanina, zgodziła się, oczywiście też, ale raczej z Niemca. Dobrze urodzonego. A w ogóle to jestem niezwykle sympatyczny i poznanie mnie jest dla niej wydarzeniem.

Wydarzeniem?

Tak, bo prowadzi bardzo samotny tryb życia. Oskar jest meteorologiem z zawodu, pracującym na ogół z dala od domu. Helsinki są miejscem ich okazyjnego rendez-vous; w ramach Światowego Roku Meteorologii, impreza Organizacji Narodów Zjednoczonych, Oskar przebywa z ekipą niemieckich naukowców na Spitsbergenie; obecnie, gdyż ubiegły rok spędził nieomal cały na Antarktydzie. Smutne jest życie żony naukowca w tej dziedzinie: wiecznie sama. Meteorologia u Oskara to dziedziczne obciążenie. Jego ojciec, też meteorolog — ach, niezwykła historia! — został podczas wojny wysadzony potajemnie na Spitsbergenie przez Uboot celem wybadania warunków pogodowych odpowiednich do przesmyknięcia się przez kanał La Manche niemieckiej floty z Dakaru do Europy. Interesujące, prawda?

Grano coś syropowo sentymentalnego. Głowa Gaby na mojej piersi, perfumy idealnie zgrane z osobowością właścicielki, układ figur — ciało przy ciele. Przytaknąłem. Parada niemieckich pancerników pod nosem zaspanych jak zwykle brytyjskich admirałów, rzeczywiście bomba. Co na to Doug? Sekretarz Generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych składa uroczej pani Gaby Norderstedt swoje gorące podziękowanie za odtańczenie ze mną „Tanga Pancerników". Ale wolałbym, aby zmieniła temat.

Obliczając w duchu ciśnienie baryczne, siłę i kierunek wiatru na sali Oskar oklaskiwał nasze manewry na parkiecie, ja potrzebowałem na gwałt zapałek do podtrzymania opadających mi powiek, Gaby odrabiała bezlitośnie miesiące bezruchu. Szampańska — wypiliśmy morze tego trunku — noc. Wyrównałem niedostatki picia za wszystkie lata. Poza kolejkami na bruderszaft, na naszą wzajemną pomyślność, na słońce latem, a śnieg zimą, opiłem powodzenie Kalastajatorppy — dobry hotel, nieźle pan dyrektor Kauko Uusitalo mnie ulokował, osobną butelką uczciłem kulę ruletki, która intuicyjnie wyczuwała moje posunięcia, nie zapomniałem o zdrowiu Douga Wilsona, o Gundborg śpiącej nago w jednym łóżku z niebieskimi kieszonkami, o chłopakach z Mogadiszu i ich kanclerzu — aber doch, Herr Bundeskanzler, Ordnung muss sein! — teraz chciałbym do poduszki. Ale świat jest systemem naczyń połączonych, cholernym systemem! Ja chciałem na górę, świat chciał jeszcze i jeszcze na parkiet, wszak taka noc zdarza się tylko raz. Tylko raz... tylko raz... tylko raz... tylko raz.... — zacięła mi się płyta; Chanel... Le de... Le de... Jakaś nadludzka istota ulitowała się nade mną i rozbierając mnie z marynarki i butów, z rozluźnionym na szyi krawatem rzuciła mnie jak wyżętą szmatę do łóżka.

Szczegółów o szpicbergeńsko-pancernikowskiej epopei dowiedziałem się przy śniadaniu zjedzonym w porze późnego lunchu od małżonka Gaby osobiście. Meteorologów i ich żony rekrutują spośród maratończyków! Oskar wyglądał wypoczęty jak gdyby od miesiąca nie wychodził z łóżka, Gaby promieniała świeżością majowego poranku, wyjątkowo dobrana para. Więc ta historia.

Wielki Panie, jak mało mnie te starocie interesują! Mam wyrozumienie dla Europejczyków ze starszego pokolenia, którym te rzeczy przyszło przeżywać; ci mają zawsze na składzie coś niezwykłego do opowiedzenia człowiekowi nowo poznanemu, a szczególnie takim głupkom w wojennym fachu jak Amerykanie. Dla nich pozostaniemy do końca życia bohaterami „Chaty Wuja Toma", szlachetnymi szeryfami, no i turystami naładowanymi forsą. Gdyby oni wiedzieli, jak bardzo są ofiarami naszej literatury, naszych filmów, jak mało identyfikujemy się z tymi postaciami. Przed wojną cierpieliśmy na kompleks niższości wobec Europy, teraz to się odwróciło — myślę cały czas o Europejczykach ze starszego pokolenia, przede wszystkim o Niemcach, gdyż młodzi, obojętnie jakiej narodowości, patrzą na nas bykiem. Na szczęście nie wszyscy.

Voileipäpöytä. Czas serwowania od jedenastej do czternastej. Z odczytywaniem liczb nie mam kłopotu, reszta jest dla mnie czarną magią, są, chwała Bogu, w obiegu w tym kraju dwa inne języki, które przekładają to słowo na stół zakąsek — lunch à la fourchette, z mnóstwem zimnych i gorących dań, do koloru i własnoręcznego wyboru, co i ile dusza zapragnie, cena rezydentów Kalastajatorppy nie interesuje. Cena — brzydzę się pospolitościami! Po lunchu napoje. Jeden lubi kawę, drugi herbatę, trzeci blondynki, ja przepadam za spokojem, po to tu przyjechałem, gdy tymczasem życzliwi ludzie rozerwą mnie na strzępy. Niedobrze. W obawie przed nadzianiem się w hallu na Douga Wilsona, z pokoju przemknąłem się na dół jak tropiony szczur, tu, posługując się pierwszym z brzegu pretekstem wyłgałem się od stolika zarezerwowanego przez państwo Norderstedt w centralnym punkcie restauracji na rzecz ubocznego kąta, po drodze słynny rozbijacz banku oddał ukłony tabunowi zupełnie obcych mu ludzi, maître d'hotel osobiście dyryguje szwadronem obsługujących nas kelnerów, o szóstej przyjeżdża po mnie pan dyrektor Kauko Uusitalo. Jutro weekend, wieczór zaczniemy od sauny, obecni będą jego dwaj najbliżsi współpracownicy z żonami oraz pewien niemiecki przemysłowiec, dzisiejszy dancing w hotelu uświetnią występy szwedzkiego zespołu taneczno-wokalnego, światowa sława, stolik na trzy osoby Gaby już zarezerwowała. Czyż nie wspaniale?

Nowò-mowa, dwój-mowa, thank you, mister Orwell za ten wynalazek. Wyjeżdżam. Otrzymałem wiadomość z Londynu, sprawa nie cierpiąca zwłoki, sorry — powiem i cichcem wyprowadzę się do Turku, do Tampere, do Hanko, do jednego z tych miast dość odległych od Helsinek, aby nikt z tych ludzi nie wybrał się tam samochodem, zniknę na tydzień, dopóki obecny komplet gości nie opuści hotelu. Kłamstwo nie krzywdzące nikogo, nie przynoszące korzyści nie jest kłamstwem, jest konwencją, bez istnienia której współżycie ludzi byłoby piekłem, jest heblarką ostrych kantów we wspólnym łóżku. Potrzeba mi lasu, jeziora lub rzeczki, nie wirującego parkietu — żelbetonowego gruntu pod nogami mi potrzeba, żadnych życzliwych ludzi, z kobietami włącznie. Zachłanne istoty, jeśli już, to wolę towarzystwo psa lub kota. Perkelę, co zrobić?

Boy hotelowy obchodził stoliki i pytał o gościa o nazwisku napisanym mazakiem na tablicy, którą nosił przed sobą.

— On szuka ciebie! — podsłyszała spostrzegawcza Gaby. — Ma coś do ciebie!

Przywołała go do stolika.

Specjalny wysłannik lotniska wręczył mi w recepcji kopertę z teleksem Nowy Jork donosił: „Z powodu technicznych komplikacji przybyły omyłkowo bagaż odeślemy do Helsinek via Sztokholm dopiero następnym samolotem. Sorry".

Techniczne komplikacje?

Podpięta zszywką druga kartka informowała uprzejmie, że nie nastąpi to wcześniej jak pojutrze w południe. Linie Finnair/SAS bardzo mnie za to przepraszały, oddane pozostawały do moich usług.

Wcisnąłem kopertę do kieszeni.

— Znaleźli już pańską zgubę? — rzucił zza kontuaru recepcjonista. Cały hotel, wszyscy goście wiedzą o perypetiach z moim bagażem. Otacza mnie stan współczującego oblężenia. Jestem prima personą Kalastajatorppy Primadonna. Primabalerina. Patałachem jestem!

— Nie, wszystko w porządku, dziękuję — zdobyłem się na zwykły ton.

Wiking

(Fragment powieści)

GEORGI GULIA

IV

Jeżeli spojrzeć na góry, prawie zawsze pokryte śniegiem, i płynąć w głąb fiordu, to po prawej ręce będą zabudowania rodziców Gudrid, a jeszcze wyżej, ale po lewej ręce, mieszkał pewien skald, nazywał się Teit, był synem Skarpchedina. Minęło mu pięćdziesiąt zim. Brodę nosił długą, a włosy bardzo gęste były nieco ciemniejsze od brody. Spod kosmatych brwi spoglądało dwoje oczu ostrych jak szydła. Zdawało się, że gdyby tak napotkały kogoś na swej drodze — to by przebiły na wylot.

Skald mieszkał sam. Mało kto wiedział coś o nim naprawdę. O sobie nie lubił mówić. Podobno żył samotnie cały czas. Czy kiedykolwiek kochał jakąś kobietę? Nikt tego nie wiedział. Gdzie są jego rodzice, skąd pochodził? I tego też nikt nie wiedział.

Pożywienie zdobywał sobie sam — łapał ryby, albo polował na dzikie zwierzęta. Żywił się też leśnymi jagodami. Zboża nie siał. Krów także nie trzymał, ani innego bydła. Dom, który zbudował parę kroków od wody, utrzymywał w czystości, w porę zmieniał strzechę, albo słup przegniły. Izbę miał jedną, porządną i dość dużą — a także obok dwa mniejsze gospodarcze pomieszczenia. W jednym posłanie miał z pościelą zgrzebną, jak w szałasie w górach u myśliwych.

Teit był wielkim specjalistą w dziedzinie wydobycia samorodnego żelaza z bagien i wyrobu z niego różnych przyrządów. Zajęcie to nie należało do łatwych i musiała być jakaś poważna przyczyna, aby Teit zmusił się do wydobywania żelaza i przekuwania go. Zresztą wszystkie narzędzia kowalskie były u niego zawsze w należytym porządku.

Teit wiele wiedział, a patrzeć też potrafił. Poprzez wodę, przez kamienie i drzewo widzieć umiał. Na to zmysł miał odpowiedni, wiedzę i wielką siłę tajemną w sercu.

W tej sadze jeszcze wiele będzie o nim się mówiło.

V

Może nawet sam wielki Odyn, królujący w niebiosach, podsłuchał dawną rozmowę na podwórzu u Skegga. Albowiem postanowił tak: niech starszy syn Lutinga, syna Eivinda, noszący imię Ulv, na przeprawie przez strumień, który wpływa do fiordu ze wschodu, napotka Frody'ego.

Ulv jechał konno na polowanie, a może już z polowania wracał. Teraz to już nie jest takie ważne, bowiem to co się wydarzyło ma wielkie znaczenie dla naszej opowieści.

Był to młodzieniec w rozkwicie lat i sił, piękny na twarzy i na ciele. Miał tylko jedną wadę: trochę się zacinał. Ale z tym jąkaniem było mu nawet do twarzy, dodawało jego wypowiedzi nieco młodzieńczej świeżości — a może nawet czyniło ją bardziej bezpośrednią i dobroduszną. W rzeczywistości niczego z dobroduszności w nim nie było od dawna. Ulv był okrutny, jak głodny wilk poszukujący pożywienia.

Frody w tym czasie łapał pstrągi w bystrym i płytkim miejscu strumienia, który zwano Pstrągowym. Na pierwszy rzut oka Frody nie był przystojny. Jego przygarbiona sylwetka wzbudzała podejrzenie, że jakaś choroba toczy go od środka. Ale tak mogło się zdawać tylko na pozór. Przyjrzawszy mu się zwłaszcza w momencie, gdy zabija wielkie pstrągi, doświadczony człowiek mógłby natychmiast orzec: „Wybaw mnie, wielki Odynie, od nagłego spotkania z tym człowiekiem w ciemnym borze!".

Podjechawszy do brodu Ulv zobaczył właśnie Frody'ego. I naczynie ze świeżo złapanymi rybami też zobaczył. Powiedział:

— Witaj!

Frody tym samym mu odpowiedział. Ulv siedział na koniu i spoglądał z góry. Długo tak w milczeniu patrzył. Nie spodobało się to rybakowi. Godzi się tu dodać, że byli oni rówieśnikami, niebawem mieli przekroczyć próg dwudziestej pierwszej zimy

— Czego tak na mnie się gapisz?

Ulv milczał.

— Głuchy jesteś? — zapytał Frody.

— Tak, głuchy — odparł Ulv. — Do tego stopnia, że chciałbym znaleźć się bliżej ciebie, aby dokładnie cię usłyszeć.

— No to podejdź.

Ulv rzekł:

— Nie zrozumiałeś mnie, Ulv, synu Lutinga, syna sławnego Eivinda, chcę abyś ty podszedł do mnie.

Nie można powiedzieć, aby tak rozmawiały między sobą dzieci. A jednak dziwną mogła się wydać ta rozmowa dla człowieka dobrze wychowanego i statecznego. Bowiem to przekomarzanie się było bardziej podobne do dziecięcej złośliwości.

— Może chcesz zmierzyć się ze mną? — spytał Ulv.

— Nareszcie odgadłeś.

Oczy Ulva stały się czerwone z wściekłości. Ale to także było zrozumiałe: był on synem wojownika i sam także za takiego się uważał.

— Jak będziemy walczyć i kiedy?

Frody oświadczył, że jest mu wszystko jedno, i że to nie ma dla niego żadnego znaczenia.

— Konno czy pieszo?

— Obojętne.

Ulv zamyślił się. A gdy siedział na koniu tak w zadumie, Frody najspokojniej w świecie tłukł sobie pstrągi, jakie mu się nawinęły pod rękę. A robił to bardzo sprytnie.

Ulv wrzasnął:

— A czy ty wiesz, Frody, na czyjej ziemi łapiesz te ryby?

— Wiem.

— I co powiesz?

— Powiem, że jesteś zbyt młody na to, aby przesądzać o tym czyja to ziemia.

— To wszystko?

— Wszystko.

Frody sprawiał wrażenie spokojnego i to jeszcze bardziej złościło Ulva.

— Hej — krzyknął — przyjdź tu jutro o tej samej porze. Weź miecz i włócznię. Zobaczymy czy będziesz miał tyle samo szczęścia, jak przy zabijaniu ryb.

Frody w milczeniu skinął głową i dalej zajmował się swoją robotą.

Ulv popędził konia, który wpadł do potoku i opryskał rybaka. Oczywiście było to obraźliwe i Frody przysiągł sobie, że da nauczkę Ulvowi

XII

Frody siedział na koniu niezgrabnie, jakby nigdy na nim nie jeździł. A to chyba dlatego, że na łodziach i na statkach wielowiosłowych spędził więcej czasu i czuł się na nich pewniej. Wiosło było przedłużeniem jego silnej męskiej ręki — tak posłuszne jego woli. Wprawdzie koń też nie był dla niego nowością, bo od najmłodszych lat uczył się jazdy. O tym wszystkim być może nie warto byłoby mówić, gdyby Ulv swą sylwetką nie przedstawiał czegoś przeciwnego: tworzył jedną całość z wierzchowcem, jakby łączyło ich wspólne serce, jeden system krwionośny. I miecz trzymał w ręku tak wspaniale, jak smakosz wytrawny łyżkę drewnianą. Patrząc na wszystko z boku wydawało się, że nie warto było wszczynać tego pojedynku, bo rezultat jest już przesądzony: Frody nie da rady Ulvowi.

I oto przeciwnicy już zeskoczyli ze swych koni.

Frody był blady, ale pełen determinacji. Ulv patrzył spode łba, jakby zastanawiał się czy natychmiast ciąć, czy też nieco zabawić braci swą wielką sprawnością w walce i poniżyć Frody'ego, zanim ten wyda ostatnie tchnienie...

Kariemu coraz mocniej biło serce, jakby przebiegł był długą drogę do tego miejsca, skąd w ukryciu obserwował przygotowania do pojedynku...

— Słuchajcie! — powiedział Egil, jeden z braci Frody'ego, do braci Ulva. — Cokolwiek by się stało, nikt nie ma prawa wtrącać się do walki.

— Dobrze — zgodzili się bracia Ulva.

Pierwszy ruszył z miejsca Ulv. Krzyknąwszy coś rzucił się na Frody'ego. Ten z zimną krwią odparował cios — aż iskry się posypały. Gdyby cięcie to nie było wyłapane na klingę, lecz uderzyło we Frody'ego, rozcięłoby go na pół. Kariemu wydało się jakby błyskawica przeleciała w pobliżu. Nawet oczy przymrużył. Ukradkiem spojrzał na Teita: ten nie zdradzał żadnych uczuć szczególnych, jakby w jego obecności nie walczyli mężczyźni na śmierć i życie, tylko ryby łapali — pstrągi chociażby...

— Patrz i staraj się zapamiętać — szepnął. Kariemu dreszcz przebiegł po plecach.

W tym czasie Frody i Ulv znów zwarli się, znowu skrzyżowały się ich miecze krzesząc ogień podobny do błyskawic. Ulv zaczął wypierać Frody'ego i obaj po pewnym czasie znaleźli się w środku potoku. Frody nagle uniósł miecz i uderzył. Cięcie to napotkało ripostę Ulva, lecz odbite uderzyło go płazem w głowę. Jednakże Ulv zdołał utrzymać się na nogach. Zamyślił inny manewr: cofając się wrócił na polanę. Frody też musiał wyjść z wody na trawę — niezwykle zieloną w majowy dzień. Było nad nią błękitne niebo i słońce wysyłające na ziemię swe intensywne ciepło.

— Może go zabić — z przerażeniem powiedział Kari.

— Kto? — spytał skald.

— Ten... I ten...

— Kari, widzisz to wszystko? — I Teit wskazał palcem walczących. Wściekle machających śmiercionośną bronią.

— Widzę.

— Wiedz zatem, że tak wygląda całe nasze życie.

Teit mówił niezbyt jasno, niezrozumiale, a więc czy dobre jest to nasze życie czy nie i jakim ono powinno być?

Teraz walczący zwarli się i zdawało się, że splotły się ich ręce, a oba miecze znajdując się tuż przy sobie, wzniosły się do nieba. I tak zastygły...

Potem, z całej siły odepchnąwszy się od siebie, rozeszły się.

Ulv krzyknął:

— Nie jesteś w formie! Może masz dość?

— Mam dość! — zawył Frody ze złością.

Tym razem zetknęli się bokami jak łodzie. I Ulv zamachnąwszy się mieczem zranił Frody'ego w ramię. Trysnęła krew, ale rana widocznie nie była groźna. Frody nie zwrócił na nią uwagi.

Minęło sporo czasu, a przewagi nie było ani po stronie Ulva, ani po stronie Frody'ego. Pojedynek wstrzymano według umowy i za obopólną zgodą wkrótce wznowiono. Ale teraz zamiast mieczy każdy z nich miał w ręku topór...

— Prawo życia? — spytał Kari mądrego skalda.

Ten tylko skinął głową.

XIII

Frody zapędził Ulva na środek potoku. Nie spodobało się to jego braciom. Jeden z nich krzyknął:

— Naprzód, Ulv, atakuj!

— O, nie! — krzyknęli w wielkim gniewie bracia Frody'ego. — Cóż to, macie zamiar walczyć razem z tym łajdakiem?!

Jeden z braci Ulva, An, ruszył w stronę braci Frody'ego. Trudno powiedzieć co chciał zrobić...

Bracia Frody'ego uznali, że ten nieoczekiwany ruch w ich stronę — to wyraźne wyzwanie i długo nie namyślając się rzucili swe włócznie w Ana. Jedna z nich przebiła mu szyję w okolicy grdyki.

An padł do strumienia. Wraz z wodą popłynęła purpurowa krew, która mieszając się z wodą stała się bladoróżowa.

Brat jego — Gudmund, obserwujący całe to wydarzenie z przeciwległego brzegu, bluzgając przekleństwami rzucił się na braci Frody'ego. A miecz miał długi i ciężki — miecz swego dziada, który nim przepołowił od szyi do samego krocza niejednego wroga.

Bracia Frody'ego — Egil i Odd — zdążyli już obnażyć miecze

— Do mnie! — krzyknął Ulv do swego brata Gudmunda. — Słyszysz Gudmund? Do mnie!

Gudmund szybko się odwrócił, przeskoczył przez leżącego w strumieniu brata i stanął obok Ulva.

Zdawało się, że leżącego we krwi Ana zupełnie zapomniano. Ale bracia nie mieli czasu spieszyć mu na pomoc: postanowili zemścić się za niego, przeciwnikom zaś nic innego nie pozostało jak tylko bronić się lub atakować. Zresztą Anowi nic już w tym momencie nie mogło pomóc. Był teraz bledszy od śniegu — ani kropli krwi nie miał w twarzy...

Nagle Ulv wydał okrzyk zwycięstwa: tak ryczy jeleń-samiec, gdy rozdepcze swego rywala. Jego topór odrąbał prawie ramię Odda i jego miecz runął do potoku...

— To straszne — wyszeptał Kari. Nigdy dotąd nie widział, żeby tak ludzie się zabijali — jak zwierzę — drugie zwierzę. I za co? Za parę pstrągów?

Spytał skalda:

— Za pstrągi?... To wszystko za... ryby?

Skald pokiwał głową nie spuszczając wzroku z brodu, przy którym zabijało się paru młodzieńców, wychowanych przez swe matki w długie zimowe wieczory, w upał i w mróz.

— No tak... — rzekł Teit. — Patrz, zbili się w ciasną grupę... I jeszcze jeden upadł do wody. I jeszcze jeden...

Rzeczywiście, walczący stojąc po kolana w wodzie, bili się zawzięcie. Ten, któremu odrąbano rękę, chwiejąc się wlókł się w stronę brzegu. Dobrnął, usiadł na trawie. Coś próbował zrobić z kikutem krwawiącym obficie, niczym bijące źródło. A teraz jeszcze jeden wyszedł na brzeg, nie na ten sam, ale na przeciwny. Przycisnął rękę do lewego biodra. W końcu padł.

— Może krzyknąć do nich, aby się opamiętali! — rzekł Kari drżąc cały z przejęcia.

— Nawet nie myśl o tym! Wtedy pospołu ruszą przeciwko tobie. Tak, tak! Znam ja ich zbyt dobrze! — Po tej wypowiedzi widać było, że ma do kogoś wielką pretensję, a nawet złość w podobnej sprawie. — Wszyscy oni są tacy sami! A więc nie należy im przeszkadzać, niech się pozabijają — lżej wówczas będzie innym żyć. Wierz mi!

Słońce już zachodziło. A ci nad wodą zmęczyli się, zmordowali i jak z tego wynikało, byli ranni — jedni lżej, inni ciężej. Jeśli ktoś jako tako trzymał się na nogach, próbował wyjść na brzeg. Jęków nie było słychać, ale oddychali wszyscy jak przed śmiercią. Konie spokojnie piły wodę i szczypały trawę. One nie miały do siebie żadnych pretensji...

— Chodźmy już — rzekł Teit. — Wynieśmy się niepostrzeżenie. Uciekajmy. Słyszysz, Kari? Cicho jak koty. W przeciwnym wypadku — koniec z nami!

Teit nawet nie myślał, aby okazać jakąkolwiek pomoc rannym. Siłą odciągnął Kariego od drzewa i razem odeszli w głąb lasu. Jak najdalej od tego miejsca...

XV

Zagłębili się w gęstwinę gdzie, jak się wydawało, nigdy nie stanęła ludzka stopa. Wszystko tu było raczej podobne do baśni niż do rzeczywistości: wysokie nie do przebycia krzewy potężne pnie drzew, nagle wyrastające jak spod ziemi omszałe skały. Kari wciąż się oglądał, aby zapamiętać to miejsce, przez które chyba będą musieli wracać. A Teit szedł bardzo pewnie, jakby widział na ziemi niewidoczne dla nich znaki, dzięki którym znajdował swoją drogę.

W lesie panował mrok, słońce z trudnością docierało i wilgoć tu była, którą się wyraźnie odczuwało. Nie była to wilgoć morska, ale szczególnego rodzaju ze swym specyficznym zapachem. Niczym z baśni, jakie opowiada się zimą przy ognisku.

— Niezbyt przyjemny to las — rzekł Kari.

— Poczekaj — powiedział Teit — jeszcze trochę. I tutaj też należy być cierpliwym jak w każdej sprawie.

I oto wyszli na łąkę — tak zieloną, jaką ona może być tylko w maju. Zamiast ogniska — pośrodku śpiewało swą cichutką pieśń przezroczyste źródło. Cieniutki strumyczek płynął gdzieś w lewo, w zarośla. Zamiast ścian ciasnym szeregiem stały tu ogromne drzewa, a dachem było tu niebieskie niebo. I ciepło tu było i jasno, a wilgoci nie czuło się ani trochę.

Kari aż usta otworzył ze zdumienia. W mgnieniu oka znalazł się w królestwie światła i ciepła, w państwie życia — jasnym, wabiącym, czarującym. Przy źródle — tam gdzie wytrysnęło z ziemi, bulgocąc i bawiąc się bąbelkami powietrza i piaskiem — ktoś położył wielki kamień. Jakby w pewnym konkretnym celu. Można było na nim posiedzieć, a nawet poleżeć. Ciekawe kto mógł tutaj przynieść tę skałę? Jak wielkiej siły do tego potrzebował?

Skald doskonale rozumiał samopoczucie Kariego: nie było łatwo przejść tak ostrą zmianę nastroju: z ponurego życia pełnego krwi i śmierci — do baśniowego świata, od mroku i wilgoci — do światła i ciepła.

Teit usiadł na kamieniu i kazał usiąść obok siebie Kariemu. Powiedział do niego:

— Oto małe niebieskie oko. — I wskazał źródło.

Kari machinalnie popatrzył na niebo, potem na źródło i porównał je: rzeczywiście, były tego samego koloru.

— Oto prawdziwe życie — rzekł Teit. — Tu rodzi się piękno — początek wszelkiego istnienia. Z głębi ziemi wyzwala się życiodajny strumień i nie ma siły, która by go zmąciła.

— A oni? — Kari skinieniem głowy wskazał las, tę stronę skąd przed chwilą przyszli, stronę, gdzie niedawno walczono na śmierć i życie: Frody, Ulv oraz ich bracia.

— Tak — w zamyśleniu powiedział Teit — oni są zdolni do wszystkiego. Ale powinieneś pamiętać: to źródło jest jednak od nich silniejsze. Potężniejsze od nich, ponieważ jest nieśmiertelne. — I złoszcząc się coraz bardziej: — Czy widziałeś jak zdychał ten zarozumiały zawadiaka w potoku? Przecież on przedtem topił innych w taki sam sposób. A teraz — jego kolej. Nic mi go nie żal, także jego braci i Frody'ego! Zupełnie! Oni potrafią przebić pierś słabszemu od siebie, ale na szczęście nie umieją wstrzymać tego strumienia.

Skald zaczerpnął dłonią wody i podniósł ją do ust.

— Smaczna? — spytał Kari.

— Jak miód! — odparł zachwycony skald.

Wtedy Kari także napił się wody i mało się nie zakrztusił: tak strasznie była zimna. Odczekawszy nieco, jak po oparzeniu, poczuł prawdziwy jej smak: tak była smaczna jak prawdziwy miód!

Teit powiedział:

— Zaśpiewałbym jedną ze swych pieśni, gdyby ona była godna tego piękna tej polany, tych zielonych strażników, tego nieba i tego błękitnego oka. Nie chcę mącić harmonii, która panuje dokoła nas, a która jest symbolem życia. Odbicie zawsze jest mniej warte od oryginału. Źródło to ten początek wszystkiego, a reszta — to jedynie odbicie.

— Mówisz o pokoju? — spytał Kari.

— Mówię o życiu.

I Teit znowu zaczerpnął nieco wody. Dłoń miał potężną i tym jaśniej skrzyła się w niej woda niczym rtęć.

— Nie wiedziałem, że w tym strasznym lesie może być tak cudowna polana, takie wspaniałe źródełko — tak mówił Kari.

— Specjalnie ciebie tu przyprowadziłem. Powinieneś nauczyć się jednej rzeczy: kiedy jest ci źle, gdy coś duszę przygniata jak kamień — przychodź na tę polanę, nabierz stąd jasnych myśli i będzie ci lżej. Zapamiętaj to sobie. Taka jest moja rada.

— Zapamiętam — obiecał Kari.

— A drogę tu znajdziesz łatwo. Idź od tego brodu prosto na północ. A nie ominiesz tego źródła. Kiedy pokochasz dziewczynę, a wierzę, że tak się stanie — przyprowadź ją tutaj i oboje przysięgniecie sobie miłość przy tym niebieskim oku.

— Już teraz jestem zakochany — wyznał Kari.

Teit milczał. Nie wiedział co młodzieniec chciał przez to powiedzieć.

Ryc. Janusz Szymański-Glanc

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

Krytyka słów

KAREL ČAPEK

Karel Čapek (1890—1938) znany jest w Polsce jako powieściopisarz i dramaturg, autor opowiadań, humoresek i apokryfów, twórca uroczych opowiastek dla dzieci, pisarz interesujący się gatunkami literatury trywialnej i usiłujący gatunki owe włączyć do literatury wysokoartystycznej (wspomnijmy niedawno wydany w Polsce zbiór jego uwag na ten temat, zatytułowany **Marsjasz**. Mniej już znany Čapka — autora „Listów z podróży", pisanych z czarującym humorem, ale i wielką spostrzegawczością, wnikliwością, a zwłaszcza z umiejętnością uchwycenia szczegółu, w którym fotograficzna dokumentalność łączy się z uogólnieniem, syntezą, metaforą.

Tę umiejętność czeski pisarz zaprezentował również w dziedzinie nie znanej dotąd polskiemu czytelnikowi — w czeskim gatunku dziennikarskim, noszącym nazwę „sloupek" (słupek, szpalta, łam, kolumienka). W gatunku tym, tematycznie związanym z bieżącymi sprawami życia codziennego i wskutek tego odznaczającym się wielką różnorodnością podejmowanych problemów, Čapek umiał zmieścić w kilkunastu linijkach wspomnienie pośmiertne i dytyramb, polemikę, oskarżenie i mowę obrończą, refleksję liryczną, anegdotę i „minigawędę". Pisał o nim: „sloupek to coś krótszego niż felieton, lecz dłuższego niż glossa, coś, co nie jest zbyt długie, by znudzić, ani dość nudne, by uchodzić za artykuł". Pomysłowość obróbki tematu jest ważną cechą owego gatunku, bowiem według słów Čapka, „każdy sloupek powinien być inny od stóp do głów". I dodawał: „Z rzemieślniczym zamiłowaniem dawnych kamieniarzy wykuwamy wciąż nowe motywy w tym powabnym drobiazgu. Jak rzemieślnicy romańscy staramy się obrabiać każdy sloupek inaczej wkładając weń tę odrobinę inwencji twórczej, która była radością dawnego rzemiosła".

„Sloupek" stał się dla Čapka gatunkiem, przy pomocy którego najczęściej w swej dziennikarskiej karierze reagował na najrozmaitsze przejawy rzeczywistości. Dążył w nim do nawiązania porozumienia z czytelnikiem, nie po to jednak, by schlebiać trywialnym, stereotypowym gustom, lecz by wzbudzić w odbiorcy pragnienie pozytywnej aktywności, wywołać w nim poczucie odpowiedzialności obywatelskiej. Wprowadzając do „sloupka" technikę „podwójnego" widzenia rzeczywistości dowcipnie obalał utarte, potocznie przyjęte prawdy, zwracał uwagę czytelnika na ambiwalencję słów, rzeczy, zjawisk.

Gatunek „sloupka" Čapek zaczął uprawiać na łamach pisma „Národni listy" w roku 1918 a kontynuował do końca życia w piśmie „Lidové noviny". Publikowane w „Národnich listach" drobiazgi utworzyły cykl rozważań o języku pod wspólnym tytułem **Krytyka słów**. Uzupełnione następnie do liczby 52 wyszły w wydaniu książkowym w r. 1920. Poniższy przekład kilku z nich dokonany został na podstawie książki Karel Čapek, **O umení a kultuře I**, Praha 1984 r.

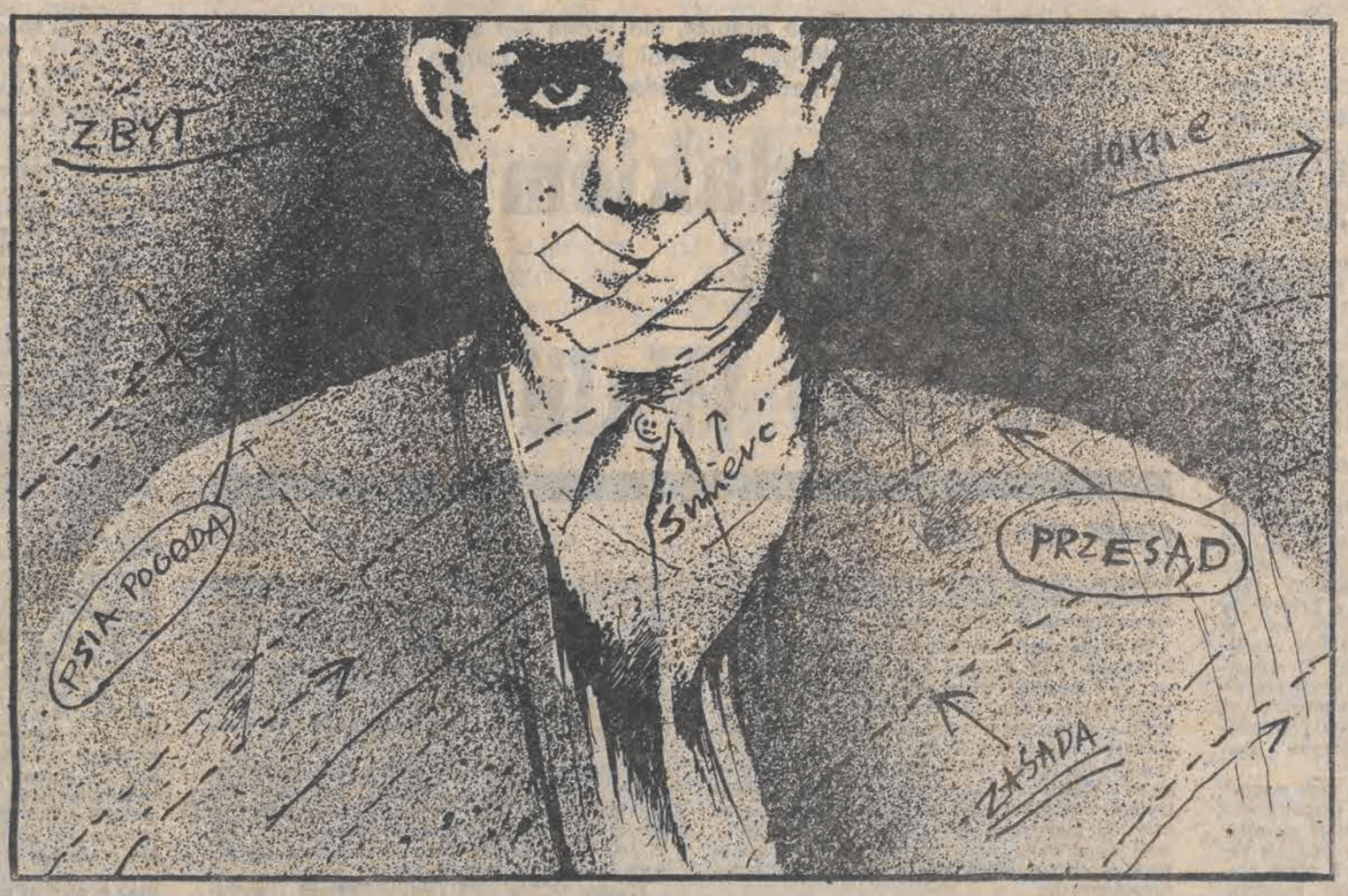

I. My contra ja

Istnieje krytyka odnosząca się do książek i niechaj Bóg rozsądzi, czy jest dobrem, czy złem; jako pewnik przyjąć można jednak fakt, że krytyka bardzo często boli, i że doprawdy trzeba być człowiekiem o anielskiej cierpliwości, by, kiedy ktoś cię uderzy w jedną książkę, nadstawić mu drugą.

Książkę trudno napisać, natomiast słowo łatwo z ust ulatuje; książka jest twoja, lecz słowo należy do wszystkich. Dlatego krytyka słów, choć nie będzie dobrem wyjątkowym, nikogo przecież nie zaboli.

„My" woła się w czasach burzliwych i oczywiście na całe gardło. To słowo towarzyskie, kolektywne, wzmacniające, podczas gdy „ja" jest nietowarzyskie, prywatne, egocentryczne, sobkowskie. Przynajmniej tak się wydaje. Ale słowo „my" ma swą wadę. Jest wygodne i niezobowiązujące. Łatwo na przykład powiedzieć „My, naród o gołębim sercu", ale trudniej wyrazić się: „Ja, człowiek o gołębim sercu". Każdy może powiedzieć: „W nas żyje wielkie dziedzictwo Husa" — ale kto z Państwa może rzec: „We mnie żyje wielkie dziedzictwo Husa". „My" poświęciliśmy krew i wolność za sprawę narodową, ale, za pozwoleniem, „ja" jej nie poświęcałem; podczas gdy „my" cierpieliśmy to i owo, „ja" siedziałem w domu. „My" jesteśmy do szpiku kości bohaterami, męczennikami i braćmi, „my" jesteśmy samą wielkodusznością i poświęceniem, „my" walczymy, „my" żądamy. Rzeczywiście, mogę się poszczycić bardzo pięknym „my", bardzo dzielnym, sławnym i zasłużonym, ale biada, jeśli „ja" nie zawiera niczego z tych „naszych" zalet! Najdoskonalsze „my" nie przyda mi ani milimetra na wielkości, ani o gram nie zwiększy wagi mych zasług; żadne „my" mnie nie zbawi, jeśli „ja" nie dałem w jałmużnie choćby kęsa chleba. „Ja" jest słowo praktyczne, zobowiązujące i czynne, jest nieskończenie bardziej skromne niż niepokojące i ciężkie „my". „Ja" jest słowem sumienia i czynu.

V. Zbyt

To ulubione słowo wyraża ludzkie niedowierzanie w obliczu zjawisk silnych, o zdecydowanym charakterze. Gdy powiemy, że jakieś sukno jest „zbyt" czarne, prawdopodobnie jest najzwyczajniej w świecie tylko czarne. Kiedy jest mniej czarne, nie jest już właściwie czarne, lecz szare. „Zbytnim" optymistą wydaje się wam ktoś, kto wierzy, że przyszłość przyniesie coś dobrego. Ale czyż Państwo sądzą, że byłby jeszcze w ogóle optymistą, gdyby z mniejszym przeświadczeniem wierzył w mniej dobrą przyszłość? „Zbyt" dokładny jest zazwyczaj ten, kto jest po prostu konsekwentny, „zbyt" poważnie patrzy na sprawy ten, kto je w ogóle bierze poważnie, a „zbyt" przegapia je ten, kto je rzeczywiście przegapia. Jeśli spotkają się Piotr z Pawłem, Piotr będzie przeświadczony, że Paweł jest zbyt skrupulatny, lękliwy, ponury a w sumie zbyt głupi, Paweł zaś będzie przekonany, że Piotr jest zbyt powierzchowny, zbyt nieostrożny, zbyt swawolny, słowem — zbyt głupi. Shakespeare jest „zbyt" nieklasyczny, Corneille „zbyt" klasyczny, to „zbyt" naukowe, owo „zbyt" poetyczne, wiersz jest „zbyt" krótki, powieść „zbyt" długa, dzień „zbyt" długi, życie „zbyt" krótkie, czyli: jest to wprawdzie odkrycie okrutne, ale wygląda na to, że tak zwany „złoty środek" prowadzi nas między same skrajności i ostateczności. Jeśli znajdziemy się w nim, wszystko na lewo będzie zbyt lewe, a wszystko na prawo zbyt prawe; straszny to, zaiste, widok. Dla Państwa Neron jest zbyt okrutny, to znaczy, że przebaczylibyście mu, gdyby był mniej okrutny. Król Zygmunt Luksemburski był „zbyt" fałszywy; gdyby był troszkę mniej fałszywy, wszystko byłoby w porządku. I tak dalej. Oto moralność „zbyt".

XI. Psia pogoda

W **słowie tym mieści się nonsensowne mniemanie, iż pogoda zbyt zła dla człowieka, a więc orkan, słota, czterdziestodniowy deszcz z gradem szczególnie odpowiada psu, że jest mu niezwykle bliska. Cóż za perwersja! Właśnie „psia pogoda" byłaby piękniejsza, niż to, co potrafią sobie Państwo wyobrazić: czerwiec trwałby przez cały rok, na podwórku z jednej strony ciepłe słoneczko, z drugiej chłodny cień; krótki, odświeżający deszcz, wiele interesujących zapachów, wilgotna, wysoka trawa, nigdy żadnej pełni księżyca, żadnych fortepianów, żadnych żebraków, żadnej nierówności, tylko masa dzieci i dostatek mięsiwa dla każdego. — Równie niesłusznie mówimy o czymś niewydarzonym, że jest „ni dla psa, ni dla kota". W rzeczywistości — z uprawnionego punktu widzenia kota — „dla kota" jest poduszka, mleczko, nieuważny wróbel, tajemne instynkty, stryszki pełne siana, przytulne łono kobiece, miękka ręka, toczący się kłębek wełny, księżycowe noce, cichy dom i ogród — a więc rzeczy na wskroś miłe, naturalne, intymne. — Przysłowia te z politowania godną jasnością uzmysławiają ludzki przesąd, iż zwierzęca skala wartości jest wynaturzona i smutna. Istnieje wiele dowodów na to, by sądzić że gdyby zwierzęta otrzymały moc zreformowania czy nawet stworzenia świata według własnego gustu, byłby to świat — mimo wielu okrucieństw i niekonsekwencji — nie najnieszczęśliwszy ze wszystkich światów. A człowiek byłby w tym świecie zwierzęciem nieskończenie dobrym, nastrojonym pokojowo, świętym jak lama i łaskawym jak Dionizos.**

XIII. Przesąd

Chciałbym już pisać o innym słowie, ale kiedy napisałem kolejny numer trzynaście, przyszło mi do głowy nieszczęsne obraźliwe słowo „przesąd". Tak, tak, mamy już z głowy wiek przesądów. Jeśli jadę do redakcji trzynastką, nie myślę już o strasznych, fatalnych skutkach, które numer ten może przyciągnąć, a nikt z przechodniów nie weźmie mej decyzji, by jechać akurat trzynastką, za jakiś akt specjalnej odwagi. Nie ma dwóch zdań: żyjemy wygodniej, gdy odeszły w przeszłość feralne trzynastki, ptaki przynoszące nieszczęście, losem oznaczone miejsce i tysiączne przeczucia. Ale wątpić wypada, czy dzięki temu życie stało się choć odrobinę bogatsze i bardziej interesujące. Doprawdy nie wiem, czy lepiej jest, by pajączek na ścianie był znakiem przyszłości, czy też tylko sygnałem tego, że nie omieciono kątów. Nie wiem, czy przy nieoczekiwanym zatrzymaniu się zegara rzeczą ważniejszą jest wspomnieć z niepokojem miłości o oddalonych od nas krewnych, czy bez takiego niepokoju pomyśleć o najbliższym zegarmistrzu. Zysk z wygody i pewności siebie jest względny; tracimy przy nim coś, co niełatwo zastąpić czym innym. „Przesądy" przydawały rzeczom głębszego znaczenia, większej różnorodności. Przez odrzucenie przesądu zdobyliśmy dla siebie obojętność wobec rzeczy. Wydaje się, że rzeczy mszczą się za to idealną obojętnością wobec nas. Pajączek przebiegnie po ścianie nie myśląc o naszej przyszłości, lecz o obfitym nieporządku jakiegoś kąta; pchła skoczy wam na rękę, lecz nie przywoła tym posłańca z listem, na który czekacie; niebo nie wysyła nam znaków w postaci komet, tęczy pokoju czy krwawych mieczów ognistych, jak czyniło to w czasach dawnych wojen; zegar zatrzymuje się głupio i uparcie, a jeśli dzwoni nam w uchu, to z pewnością nikt o nas nie myśli, tak jak i my nie myślimy o nikim. Stosunek rzeczy do człowieka jest dokładnie taki sam, jak stosunek człowieka do rzeczy.

XV. Zadanie

W dzisiejszych poważnych i nastawionych krytycznie czasach przed naszymi sumiennymi oczyma staje raz lub dwa razy dziennie jakieś „zadanie". Jaki taki ciemny kąt w gazetach czy periodykach rozjaśnia się nagle nowym „zadaniem", ukazującym nam drogę ku świetlanej przyszłości. Już nawet sam nie wiem, czy istnieje coś, co by nie było zadaniem narodowym: mieć zdrowe dzieci, być członkiem Przyjaciół Muzeum, kupić sobie złotą księgę poświęconą niezbyt znanemu pisarzowi, wstąpić do jakiejś partii, być zwolennikiem eugeniki, pamiętać o głodujących, popierać stare cele, budować nowy teatr, zakładać szkoły i tak dalej. Nie sprzeciwiam się, na boga, rzeczom dobrym i użytecznym, które stają przed nami jako Zadania, protestuję jedynie — i to bardzo nieśmiało — przeciw temu, by robić z nich wyłącznie zadania. Mogą być przecież i czym innym: upodobaniem, radością, zabawą, dumą, odpoczynkiem, miłością, szaleństwem. Pytam się, czy nie byłoby w Czechach weselej, gdyby dla kogoś było rozkoszą, a nie zadaniem, stanie się członkiem Przyjaciół Muzeum; gdyby budowanie nowych, pięknych szkół stało się narodową rozrywką, nie zaś narodowym zadaniem; gdybyśmy wspomagali potrzebujących dlatego, że sprawia nam to niezmierną radość, a nie dlatego, że widzimy w tym zadanie; gdyby nasze mieszki otwierały się na skutek niepohamowanego temperamentu dobroczynnego, gdybyśmy robili „wszystko dla dziecka" dlatego, że kochamy dzieci, a wszystko dla dorosłego, wszystko dla nauki, wszystko dla sztuki, wszystko dla przyszłości — wyłącznie z żywych, pełnych osobistego zaangażowania pobudek. „Zadania" przyświecają życiu, naprawiają je, podczas gdy pobudki osobiste pozwalają to życie żyć. Z „zadań" mamy humanizm, ale z serca możemy go przeżywać. Słowo „zadanie" jest przeciwieństwem słowa „naturalność". Nie wiem dokładnie, w czym naturalność narodowa spoczywa, ale chciałbym, aby mieściła w sobie przynajmniej większą część tych treści, które dziś określamy jako „zadania narodowe".

XVI. Śmierć

Nie mam zastrzeżeń wobec śmierci samej, lecz wobec jej nadużywania. Oczywiście nie czynem (każdy umiera tylko raz, ciężko i z boleścią), ale nadużywania w słowie i piśmie. To zdumiewające, jak łatwo i chętnie umiera się w literaturze. Gdyby ktoś prowadził statystykę umieralności w beletrystyce, byłyby to liczby zastraszające. Tu serce pęka z bólu z dokładnością i precyzją machiny piekielnej, każde samobójstwo się poszczęści, każda choroba prowadzi zwycięsko i przedwcześnie do celu. Umiera się jednym pociągnięciem pióra dla rozwiązania akcji, dla osiągnięcia efektownego zakończenia. Człowiek strzela sobie w łeb wiedziony fatalistycznym przeświadczeniem, że skończyła się powierzona mu w powieści rola; wiesza się zniewolony przekonaniem, że opowiadanie musi mieć swój finał; umiera w samą porę, by uratować plan fabuły. I na to właśnie nie potrafię się zgodzić, że tok dramatyczny jest dostatecznym motywem, by autor uśmiercił bohatera. Protestuję przeciw nieograniczonemu prawu autorów do szafowania ludzką śmiercią. Przeważnie pisarz zabija bohatera, by ukryć słabości i niedostatki własnej koncepcji. Przypuśćmy, że bohaterka deklamuje coś o miłości i zawodzie, a potem zabija się. Gdyby nie odebrała sobie życia, wyszłoby ze straszliwą jasnością na jaw, że deklamacja była fałszywa. Inny bohater musi zginąć, ponieważ znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Gdyby jednak nie zginął, okazałoby się, że w istocie inne wyjście było: po prostu żyć. I życie jest gradacją, fabułą, dramatem. Większość kryzysów i momentów przełomowych zaczyna się i kończy życiem, a co więcej rozwiązuje się poprzez dalsze życie. W końcu znamieniem prawdy w literaturze nie bywa śmierć, lecz życie właśnie.

XIX. Zasada

Zasada, słowo tajemnicze i mocne. Z zasady spacerujecie przed kolacją, wasza ciotka z zasady nie chodzi do teatru. Wasz mądry kuzyn z zasady unika demonstracji, podczas gdy wasz nieboszczyk dziadek pił z zasady wyłącznie piwo grzane. Gdybyście spacerowali z nawyku lub z powodu niestrawności, gdyby wasza ciotka spędzała wieczory w domu z wygodnictwa i skąpstwa, wasz kuzyn po prostu bał się demonstracji, a nieboszczyk dziadek podgrzewał sobie piwo mając na czułym względzie swą skłonność do katarów kiszek, świat byłby z pewnością bardziej kolorowy i różnorodny, język bogatszy, ale życie straciłoby niewątpliwie na swej moralnej powadze. Kiedy spacerują Państwo z zasady, spełniają przez to, w sposób ważny i wierny, swój moralny obowiązek. Ważniejszą bowiem rzeczą jest „z zasady" się przewietrzyć, niż bez zasad odwiedzić chorego przyjaciela. Jeśli ciotka Państwa rozkłada sobie wieczorem pasjansa, ponieważ z zasady nie hołduje świeckim marnościom muzyki i sceny, jest to czcigodny akt siły moralnej. Z każdego przyzwyczajenia, z każdego lenistwa, słabości i bezwładu można uczynić sprawę zasad. Wprawdzie świat na skutek tego niczego nie zyska, ale Państwo tak: dogodzicie sami sobie i co więcej, poczujecie, że macie charakter.

Tłumaczyła:
KRYSTYNA KARDYNI-PELIKÁNOVÁ

Między Anglią a Walią nie ma granicy, ale Walia jest zupełnie innym krajem. Jak Edward I podbijał Walię i budował zamki, z których niektóre stoją do dziś. Zima nie jest dobrą porą na zwiedzanie Walii.

Podróż szlakiem Edwarda I zdobywcy Walii

MAREK BRZEZIŃSKI

„Dla Anglika wyjazd do Walii, to tak mniej więcej, jak egzotyczna wyprawa; bez wyciągania paszportu z szuflady, wymiany pieniędzy, a co najważniejsze bez konieczności opuszczania Wyspy. Walijczycy są bowiem zupełnie „odmiennym rodzajem ludzkim"; posługują się innym językiem, mają inne obyczaje i inną mentalność, a także głębokie poczucie odrębności narodowej" — napisał angielski dziennikarz w książce „This is Britain".

— *Przekonasz się sam, że on ma rację* — zapewniali mnie moi angielscy przyjaciele — *Walijczycy są niezwykle szorstcy w kontaktach międzyludzkich; potrafią być niegrzeczni, wręcz brutalni.*

Uzbrojony w takie stereotypy z drżeniem serca przekraczałem umowną granicę między północną Anglią i północną Walią. Prawie oczekiwałem, że wkroczę z cywilizowanego świata angielskiego w erę kamienia łupanego i byłem nieomalże zdziwiony, że za kierownicami Roverów i Austinów nie siedzą brodaci mężczyźni odziani w skóry niedźwiedzia.

GRANICA, KTÓREJ NIE MA

Krajobraz także nie uległ gwałtownemu przeobrażeniu. *„Witamy w Walii"* — czekało na skraju szosy, a nazwy miejscowości i informacje drogowe pojawiały się w dwóch językach — najpierw w angielskim i w walijskim, a po 50 milach w walijskim i angielskim.

Próby oddzielenia Walii od Anglii sięgają VIII wieku naszej ery. Król Offa z Merci zbudował mur kamienny, który ciągnął się wzdłuż całej granicy obydwu krajów i wyrył na nim swoje imię. W założeniach mur miał nie tyle stanowić obronę przed zaborczością Anglików lecz raczej symbolizować oddzielenie świata Celtów od anglosaskiej Korony. Od tego czasu ludzi zamieszkujących na zachód od muru zaczęto nazywać Walijczykami — co można wywodzić z anglosaskiego określenia cudzoziemca.

Droga wije się wśród pagórków i skręca gwałtownie w prawo. I wtedy zza zakrętu wyłaniają się ruiny pierwszego z napotykanych przeze mnie zamków edwardiańskich — zamku we Flint. To jeszcze bardzo „angielska" okolica. Częste odwiedziny turystów z Liverpoolu i Manchesteru wyparły wszystko to, co w charakterze nadmorskich kurortów było walijskiego. Ta część wybrzeża Zatoki Liverpoolskiej niczym specjalnie nie różni się od angielskich uzdrowisk z okrzyczanym Blackpool na czele. Tylko mury Flint i nie opodal położonego Rhuddlan przypominają o dawnych czasach.

Historia zamków w Walii każe nam sięgnąć do czasów podboju Walii przez ekspansywną Koronę. Clwyd i Gwynedd najdłużej opierały się Anglikom. Zanim zostały, jako ostatnie rejony kraju podbite przez Edwarda I, przez długie lata nie stanowiły jednolitego państwa. Walia podzielona na księstewka, dopiero pod koniec XII i na początku XIII wieku, dzięki bogatym rolniczo ziemiom wyspy Anglesey, naturalnemu bastionowi górskiej Snowdonii i dwom wybitnym osobowościom — Księciu Wielkiemu — Llywelyn ab Iorwert i jego wnukowi Księciu Ostatniemu — Llywelyn ap Gruffydd, została zjednoczona.

Llywelyn ab Iorwert, od 1200 roku udzielny książę Walii, wykorzystał konflikty jakimi rozdzierana była Anglia za panowania króla Jana bez Ziemi. Królowi złożył hołd, a prawo i rządy we własnym kraju ujął mocną ręką. Hołd władcom angielskim książęta walijscy składali już od czasów Alfreda Wielkiego — to jest od roku 878. Respektowane to jednak było przez obydwie strony z różnym skutkiem. W roku 1157 Owain Gwynedd przysiągł na wierność królowi Henrykowi II i odtąd stało się to obowiązkiem, którego dopełnienia władcy angielscy skrupulatnie przestrzegali.

JAK EDWARD I BUDOWAŁ ZAMKI I PODBIJAŁ WALIĘ

Także młody książe Llywelyn ap Gruffydd odznaczał się licznymi zaletami ducha i umysłu. Nie tylko potrafił wygrać rywalizację do tronu walijskiego ze swoimi braćmi ale także wykorzystać narastający w sąsiedniej Anglii konflikt między Henrykiem III a baronami. Sprzymierzył się z najpotężniejszym z opozycji Simonem de Montfort i dzięki jego poparciu uzyskał w Walii władzę absolutną. Królowi Henrykowi III nie pozostawało nic innego jak zawrzeć z Llywelynem przymierze, które przeszło do historii jako traktat w Montgomery. Anglia formalnie uznała Llywelyna jako księcia Walii, a cztery hrabstwa powróciły pod jego panowanie. On sam zobowiązał się składać Koronie roczną daninę. Jednak w sześć lat później umiera król Henryk III, a na tron wstępuje jego syn — Lord Edward, który przeszedł do historii jako Edward I. Między młodym władcą a jego potężnym wasalem nie ma wzajemnego zaufania. Król dużo czasu poświęca na podróże poza granicami kraju, a mimo to bacznie obserwuje poczynania Księcia Walii. Ten ostatni pomimo złożonego Edwardowi hołdu ma do króla stosunek raczej sceptyczny, aż w końcu decyduje się na wstrzymanie należnego Koronie lenna.

W 1273 roku Edward I śle z zagranicy rozkaz zakazujący Llywelynowi budowy nowego zamku w Dolforwyn. Książę odpowiada, że wprawdzie uznaje władzę zwierzchnią króla angielskiego, ale u siebie to tylko on jest panem i wolno mu robić co mu się żywnie podoba. Taką odpowiedź oczywiście nie przypada do gustu Edwardowi, który zdaje się tylko zbierać preteksty do wystąpienia przeciwko Księciu Walii. W 1274 roku, Edward I wraca do Anglii. Zajęty wykrywaniem spisku na własnym dworze Llywelyn nie może wziąć udziału w koronacji Edwarda I. To duży minus, skrzętnie zanotowany przez króla. W spisku przeciwko Llywelynowi pierwsze skrzypce gra jego rodzony, pełen niespełnionych ambicji brat, Dafydd. Spisek wykryto, a Dafydd musi uciekać z Walii. Edward przygarnia go pod opiekuńcze skrzydła, co doprowadza do gwałtownego sprzeciwu Llywelyna. Nie tylko odmawia złożenia daniny, ale także i hołdu, aż do czasu gdy Edward wyda mu buntownika. Jeszcze raz powołuje się na traktat z Montgomery, ale i on i Edward zdają sobie sprawę z tego, że skoro ludzie traktat podpisywali, to i ludzie mogą go w każdej chwili zerwać.

Teraz przychodzi kolej na ruch Edwarda. Wysyła do Llywelyna trzy zaproszenia do złożenia wizyty na dworze królewskim. Llywelyn wymawia się brakiem czasu związanym z rzekomo trudną sytuacją wewnętrzną kraju. Teraz Książę Walii informuje swego pana, że zamierza poślubić Eleonorę, córkę Simona de Montfort. Król oczywiście nie może dopuścić do związania węzłami rodzinnymi tak silnej frakcji opozycyjnej, toteż gdy baronówna znajduje się na morzu w drodze do Walii, zostaje porwana przez królewskich wysłanników i uwięziona. Trudno się dziwić wściekłości księcia daremnie wyczekującego wybranki na skalistym, walijskim wybrzeżu. Jego bunt coraz bardziej narasta, ale i król zdaje się mieć dosyć tej gry. W listopadzie 1275 roku, na zgromadzeniu magnatów i dostojników kościelnych królewskiego namiestnika uwięził. Rebelia objęła cały kraj. Postawiony przed faktem dokonanym Llywelyn długo się waha, co czynić, jednak w końcu decyduje się na przyłączenie się do brata. W ciągu dwóch dni Walijczycy opanowują zamek w Abberstwyth i wypierają Anglików z większej części południowej i północnej Walii.

Król Edward jeszcze raz stosuje wypróbowaną taktykę i blokuje Snowdonię. Zdając sobie sprawę z nadciągającego niebezpieczeństwa Llywelyn spieszy na północ, na odsiecz zagrożonemu rejonowi Gwynedd. Po drodze zdobywa jeszcze zamek w Builth i jest to jego ostatnie zwycięstwo. 11 grudnia 1282 roku Llywelyn ap Gruffydd, ostatni walijskiego pochodzenia Książę Walii, ginie w niewielkiej potyczce na moście w Irfon w pobliżu zamku w Builth. Człowiek, którego włócznia przebiła ciało Llywelyna, niejaki Stephen Frankton, nie zdaje sobie sprawy kogo zabił. Dopiero po bitwie rozpoznano ciało księcia. Wiadomość o jego śmierci szybko dociera do Edwarda I i do oddziałów walijskich. Tego pierwszego mobilizuje do jeszcze bardziej intensywnych działań; Walijczykom podcina skrzydła. Rozprawiając się bezlitośnie z napotykanymi po drodze i walczącymi już bez wiary w sukces oddziałami walijskimi Edward dopada wreszcie Dafydda. Walijczycy wydają go w ręce króla za cenę ocalenia własnej skóry.

W czerwcu 1283 roku wojna jest skończona, Walia ujarzmiona, a Dafydd osądzony jako zdrajca zostaje wkrótce ścięty na zamku w Shrewsbury. Kampania kosztowała Anglię około 100 tysięcy funtów, co jest obecnie równowartością 80 milionów funtów.

Między 1277 a 1295 rokiem Edward I wybudował na terenie Walii dziewięć potężnych zamków; przy każdym z nich znajdował się gród, wyremontował zagarnięte Llywelynowi cztery zamki walijskie, nie licząc remontu tych, które były usytuowane po angielskiej stronie granicy, wreszcie namówił kilku ze swoich możnych baronów, aby wystawili zamki... za własne pieniądze. Piękne dzieło życia jak na jednego króla. Księciu Walii Llywelynowi — Walijczycy wystawili w 1916 roku, w ratuszu miejskim w Cardiff wspaniały pomnik. Stoi na nim młody mężczyzna, z jedną dłonią opartą na głowie starca, drugą zaciśniętą w pięść unosi wysoko. Głowa zadarta jakby chciał wzrokiem sięgnąć gdzieś ponad skaliste szczyty Snowdonii.

SZLAKIEM ARMII EDWARDA I

Jadę szlakiem zwycięskiej, najeźdźczej armii Edwarda I. Droga wije się rozciągnięta na krańcach plaży. Morze, o stalowoołowianym kolorze, pieni się tuż obok, o jakieś 50 metrów. Z dawnych lasów nic tu już nie pozostało. Po drugiej stronie szosy zaczynają się zbocza stromych gór. Chociaż wysokością nie przewyższają Gór Świętokrzyskich, to jednak ich stromizna sprawia, że muszę mocno zadzierać głowę, aby ponad ich szczytami zobaczyć, poprzecinane pomarańczowosinymi wstęgami zachodzącego słońca, niebo. Góry są surowe, porośnięte rudawobrązowymi mchami, gdzieniegdzie zwiędłymi paprociami. Skaliste piargi schodzą aż do samej jezdni.

Szeroka grobla prowadzi nad Zatokę Conway, strzeżoną przez jeden z najpiękniejszych zamków edwardiańskiego szlaku.

— *Sam jesteś?* — pyta mnie przy wejściu kasjer.

— Tak — kiwam potakująco głową.

Foto: Marek Brzeziński

— *Jak sam to już pal szczś, nie płać za wejście* — macha ręką i dodaje śpiewnym walijskim-angielskim — *Pewnie jesteś Niemcem?*

— Nie. Polakiem.

— *Polakiem??* — jego zdziwienie długo jeszcze mi towarzyszy, gdy wdrapuję się po krętych schodach na zamkowe wzgórze. To, co pozostało po zamku otoczono nadzwyczaj troskliwą opieką. Toteż można się swobodnie przespacerować po murach obronnych, połazić po ciemnych, zamkowych zakamarkach albo rozejrzeć się po okolicy z jednej z licznych wież.

Edward I postawił zamek na miejscu starej fortecy Llywelyna i klasztoru cystersów. Wybudowany został tak jak i inne zamki edwardiańskie przez mistrza Jakuba od Świętego Jerzego. Król Edward musiał go spotkać w czasie swoich licznych podróży po Europie, gdy zawitał do Savoy. Mistrza Jakuba nazywa się w Walii „szwajcarskim łącznikiem", a zwiedzającego uderza podobieństwo zamków walijskich do tych w Yverdon i Savoy.

Ciemnymi, wąskimi schodami pnę się na Królewską Wieżę. Stopnie ledwo dają oparcie dla stóp. Do tego deszcz zacina przez wąskie okna i sprawia, że wędrówka po śliskich stopniach staje się niebezpieczna. Niewielki murek oddziela szczyt wieży od przepaści rozwierającej się po drugiej stronie. Okrutne wiatrzysko szarpie za kurtkę. Dzięki genialnemu zmysłowi taktycznemu Edward I sprawował z zamku kontrolę nad Zatoką Conway i piaszczystymi mierzejami, na których rozsiadła się niegdyś osada, a teraz miasto — Conway. Przy brzegu przecinki masztów; zacumowane karnie, chwieją się targane porywami wiatru. Gdzieś tam w dole, pod moimi stopami błyszczą szare łuski dachówek domków. Czerwone kominy rozczapierzonymi paluchami dymników wyciągają się ku staloworóżowemu niebu. Wyobrażam sobie ten skromny, 20-osobowy garnizon, który sprawował władzę nad całą okolicą. Musieli strzec nie tylko angielskiego ładu, ale także angielskich obywateli, którym Edward I zezwolił na osiedlanie się w grodach podzamczy. Walijczykom wolno było przebywać w obrębie murów miasta tylko od świtu do zmroku. Zamki stały się symbolem panowania obcej siły, kultury i obyczaju. Powodowało to liczne konflikty narodowościowe i chociaż z biegiem lat sytuacja polepszała się, głównie dzięki zawieraniu mieszanych związków małżeńskich, a do tego użycie prochu spowodowało, że zamki straciły na ważności, to jednak pewien rodzaj angielskowalijskiej niechęci pozostał do dnia dzisiejszego.

Droga znów biegnie wzdłuż wybrzeża; nad cieśniną Menai. Most kolejowy zbudowany tutaj przez Roberta Stevensona z trudem harmonizuje z XIII-wiecznym otoczeniem pomimo tego, że konstruktor „wzbogacił" jego architekturę o gotyckie wieże. Za mną pozostaje 805 metrów solidnych murów obronnych, 21 wież lub śladów po nich i miły kasjer, który wpuścił mnie bez biletu za przysłowiowego funta.

ZIMA NIE JEST WŁAŚCIWĄ PORĄ NA ZWIEDZANIE WALII,

toteż nie mam niestety okazji obejrzenia unikalnego Górskiego Ogrodu Zoologicznego, więc pozostają zimne mury zamczysk.

Zamek w Beaumaris; ostatni i największy, jaki wybudował Edward I. Król-globtroter, zakochany w Bizancjum, część życia spędziwszy na włóczędze po kantonach Szwajcarii i po Francji, nie tylko sprowadzał cudzoziemskie wzorce budowlane i obcych architektów, ale i ostatniemu ze swych dzieł życia nadał nazwę francuską — Beau Marais — Piękne Błota. Nigdy nie ukończony zamek jest jedynym, w którym po dziś dzień można podziwiać oryginalną fosę. Otoczony ze wszystkich stron wodą, sprawia wrażenie wyspy na wyspie. I tutaj też nie ma żywego ducha, poza znudzoną panienką przy wejściu. Stare mury świecą oczodołami bram. Nawet pieśń grającego na harfie Adama z Clitheroe, którą zachwycał się król Edward I w czasie inspekcji prac gdzieś zamarła. Musiało tu być niegdyś gwarnie, skoro przy budowie zamku pracowało prawie 2500 robotników ściągniętych do głównej bazy w Chester z całej Anglii. Tam dzielono ich na kompanie i drużyny, które miały za zadanie ugruntować kamiennymi pomnikami militarną i polityczną zależność Walii od Anglii.

Wyglądam przez jeden ze strzelniczych otworów. Wąski na szerokość łuku chronił wprawdzie łucznika, ale i ograniczał jego pole widzenia. Jednak widać, że mistrz Jakub miał głowę na karku, skoro wieżę zaprojektował w taki sposób, aby napastnika można było ostrzeliwać z kilku stron jednocześnie.

Nie ma już wprawdzie miejsca, gdzie przed 700 laty cumowały statki. Ale na starych sztychach widać żaglowce wpływające do ufortyfikowanego portu. Praktycznie zamek był nie do zdobycia. Zaczynam się gubić w plątaninie korytarzy, krętych schodów i wież. Nie ma już wprawdzie żaglowców, ale za to miasteczko skryte pod widocznymi z wież zamków parasolami czerwonych i szarych dachówek cieszy się od lat niesłabnącym powodzeniem wśród angielskich żeglarzy; toteż tak w Conway, jak i w później przeze mnie zwiedzonym Caernafarvon roi się od żaglówek.

Nie wiadomo co mnie podkusiło, żeby noclegu szukać w odległym Llanberis. Może to czar potężnego Snowdon — najwyższego szczytu Walii, który opiekuńczymi ramionami otacza miasteczko. Llanberis — to właściwie jedna główna ulica, kilka stromo biegnących ku Snowdon uliczek, i paręset domków wciśniętych między rozległy masyw góry a dwa jeziora Llyn Padarn i Llyn Peris. Wokół tego pierwszego ciągnie się trasa jednej z licznych w Walii poczciwych ciuchci. Natomiast ta pomalowana w intensywne czerwone i zielone kolory, wspina się na szczyt Snowdon.

C.D.N.

Rozmyślanie nad Jeziorem Genezaret, nad Morzem Śródziemnym i nad Morzem Czerwonym. Co Żydzi ze Starego Testamentu mają wspólnego ze współczesnymi? W Sylwestra prosiak z Nazaretu.

Nie dać się zjeść rekinowi

JACEK MACIASZEK

Nad jeziorem Genezaret (Sea of Galilee, — 210 m ppm) jest to miejsce, do którego zdążam. A stan wody tego jeziora podawany jest w każdym komunikacie radiowym. Po każdym deszczu i minionej jesieni i zimy przybyło tam około 80 cm. Jest to i tak kropla w tym największym słodkim zbiorniku w Izraelu. Ale takich deszczów nie było — mówi się — od kilkudziesięciu lat. Lało bez przerwy... I cieszyli się Żydzi z tego, bo woda to życie. A po deszczu środkiem Tel Awiwu płynęła niby to rzeka, mętna brązowa woda szybkim nurtem... I to wszystko — opady i śnieg, który spadł zimą i było go na Hermonie do 50 cm, napełniały wyschnięte zbiorniki i ziemię. I widziałem w telewizji jak żołnierze brnęli przez śnieg, i mówili, że się obawiają odcięcia od świata.

JEZUS — WIEJSKI KAZNODZIEJA

Nad tym jeziorem, dawno temu, błąkała się grupa ludzi, na czele z kaznodzieją, niejakim Jezusem. Miał on wtedy około 30 lat — a wokół jeziora ziemia była żyzna i mnóstwo ryb w jeziorze Kinneret (bo tak się współcześnie nazywa ten zbiornik), a rybacy porzucali swój „job" i przyłączali się do Jezusa. Tak jest w Ewangelii według Świętego Panasa. Według tego apokryfu, bo tak sam autor nazywa swe dzieło, Judasz przyłączył się do wędrującej czeladzi z powodów czysto osobistych i po pewnym czasie stał się jednym z *„cichych przywódców i prawą ręką Jezusa"*. Był stoikiem, a może już agnostykiem i bez egzaltacji podchodził do spraw wiary, nawet wtedy, gdy skłonny był uwierzyć. Lecz Jezus — jeszcze nie Chrystus, tylko wiejski nauczyciel- zaufał młodemu Judaszowi, nie tylko zresztą jego talentom organizacyjnym, lecz także jego otwartemu umysłowi i jemu właśnie powierzył bieg spraw. Koncepcja Henryka Panasa nie jest zbyt rewolucyjna, pokazuje tylko jedną z możliwości, jeden z wariantów zdarzeń, które zakładamy — w ogóle zaszły. Pomimo wielu celnych spostrzeżeń, tej całej erudycji, którą autor popisuje się przy okazji opisu biblijnych wypadków, postać Judasza wydaje się być nieinteresująca i „mdła" Gdzie mu tam do tych wszystkich Judaszów, którymi może się pochwalić literatura światowa.

Tak więc Judasz Henryka Panasa usuwa się w cień, żeby obserwować rozwój wypadków, które nim nawet nie wstrząsnęły, bo czym można poruszyć takiego sceptyka. Wszystko to, pomimo ciekawej konstrukcji, stylizowanej na ewangelię, pozbawione jest większego sensu.

Tak sobie myślę, patrząc na senne wody tego niby-morza, wody słodkiej i wyjątkowo czystej. Specjalnymi wodociągami płynie ona do izraelskich domów — wprost do kranów albo do specjalnych zbiorników zainstalowanych na dachach domów. Tam, wykorzystując energię słoneczną, woda jest podgrzewana i można mieć ją przez większą część roku — bezpłatnie ciepłą.

Trudno uwierzyć Henrykowi Panasowi, choć rozświetla ciemności prowadząc nas w tej intelektualnej podróży. Może nie przez przypadek Panas — to po hebrajsku... latarnia.

STARY TESTAMENT I WSPÓŁCZESNOŚĆ

Dla wielu wierzących katolików, szokiem było, gdy uświadomili sobie że Jezus był Żydem. Pinsker, jeden z wybitniejszych działaczy ruchu syjonistycznego, (obok Herzla) podaje takie przyczyny antysemityzmu:

„Antysemityzm jest psychozą, która w przeciągu dwutysięcznej diaspory zmieniła się w nieuleczalną chorobę. Asymilacja Żydów wśród innych narodów jest niemożliwa, gdyż Żydzi tworzą odrębny heterogeniczny element wśród narodów". Autor wyróżnia trzy typy przyczyn antysemityzmu: psychologiczne, polityczne i ekonomiczne.

Koncepcje te zostały sformułowane w końcu XIX wieku, kiedy krystalizował się program Syjonistów, ale czy dzisiaj, pomimo tego, że Żydzi mają własne państwo, nie są aktualne? Czy pamiętamy jeszcze rodzimą literaturę, która propagowała antysemickie treści? Zapewne gdy nad tym zastanowimy się, pojawi się nazwisko dobrego publicysty przedwojennego Adolfa Nowaczyńskiego. Inny publicysta tego okresu A. Pieńkowski ostrzegał przed „plagą" żydowską, która zagraża Polsce, używając najczęściej określeń — żydokomuna, rabinomasoneria.. Ale — co jest pewnym kuriosum — we wstępie do wyboru swoich felietonów „W ogniu walki" uprzedził lojalnie czytelników, że jego teksty są przeznaczone dla odbiorców o niższym poziomie umysłowym. Należy chyba cenić taką szczerość.

Ale co wspólnego mają współcześni Żydzi z plemionami semickimi żyjącymi w czasach biblijnych na terenach Palestyny i Galilei? Wielu naukowców uważa, że nie istnieje konkretna kategoria antropologiczna odnosząca się do Żydów, ale Żydzi są narodem i mają swoje kultury.

Przez długie lata podbudową wszystkich antyżydowskich koncepcji był frazes: *„Żydzi zabili Jezusa"*. Opierając się na ewangeliach i traktując je nie tylko jako dzieło literackie, ale niosące prawdę historyczną, okaże się, że faktycznie, Judasz (Żyd) zdradził Jezusa — choć nie jest to w każdej ewangelii tak jednoznaczne. To Żydzi prowadzili Jezusa na stracenie wyzywając go: — *„Ty żydowski królu"!* Lecz wyrok wydał Piłat—Rzymianin z krwi i kości. Więc co? Żydzi zabili Żyda.

Jest to problem dawno przebrzmiały, a do tego lokalny. To tak jakbyśmy mieli pretensję do Rzymian, że zabili Cezara, albo do Czechów za spalenie na stosie Jana Husa. Ale skoro nie jest to incydent lokalny, jak to się stało, że drobna sprawa (ukrzyżowanie wiejskiego kaznodziei) przed 2.000 lat stała się nagle tak bardzo istotna? Nauki Jezusa, w sumie — jak udowodniono — nie tak oryginalne, powstałe z kompilacji popularnych wtedy koncepcji, kładły nacisk na humanitaryzm i miłość bliźniego. Czyżby tylko to novum było w stanie porwać miliony ludzi, obrócić w proch stare imperia i w miejsce tego stworzyć jedno wielkie imperium, jakim jest Kościół?

Gdy Jezus, siedząc u brzegu Genezaret, nauczał, że trzeba miłować bliźniego — gdzie ja teraz sobie siedzę paląc izraelskiego papierosa marki Brodway — schodziliśmy właśnie z drzew i wznosiliśmy w górę cztery twarze Światowida. A cała słowiańszczyzna — jak czytam w „New Larousse Encyclopedia Of Mythology" ze wstępem Roberta Gravesa — była na etapie Ovinnika, Kikimory i Polevika — to nasz Chochoł. Co z tego, co z tej religii pozostało? Noc Świętego Jana, kwiat paproci — Festival of Kupala.

NA TROPIE LEGENDY.

— *Chrystus, Chrystus,* — powiadają ludzie, którzy pamiętają. Trzeba sceptycznie podchodzić do ich wspomnień, bo czas i legenda robi swoje. Więc powiadają, że Marek Hłasko czuł się tutaj często jak Chrystus. Najczęściej jak był pijany. Powiadają, że życie Marka Hłaski było w Izraelu bardzo ciężkie. I sam kraj trochę inny, niezmitologizowany, nie przypominający Dzikiego Zachodu, z prerią i ostatnimi cowbojami, raczej dziki Bliski Wschód.

W izraelskich powieściach Marka Hłaski mamy spaloną słońcem ziemię, spodlonych mężczyzn, upadłe kobiety i brudne czyny. I samotny bohater, któremu Marek Hłasko użycza swojego nazwiska, do końca odsłaniający otchłań swojej duszy. Wyjątkowo czarny charakter. Nawet nawrócony w Jaffie pozostaje antychrystem. I choć konstrukcja bohatera wynika z egzystencjalnych doświadczeń, daleko mu... do Lafcadia czy Raskolnikowa. Lafcadio traktuje swoją zbrodnię jako eksperyment filozoficzny, Raskolnikow poprzez zbrodnię dochodzi do prawdy o sobie, Hłasko narrator zabija ślepo i do tego interesownie. Przed tym aktem i po jest taki sam. Raczej recydywista niż eksperymentator.

Jeżeli przyjechałeś do tego kraju i chciałbyś, czy to z dziennikarskiego obowiązku, czy to z bezinteresownej ciekawości poznać fragment życia jednego z ciekawszych prozaików polskich, szybko dojdziesz do wniosku, że nie warto. Nie warto grzebać się w życiu drugiego człowieka. A jakie to życie było? Takie, jakie mogło być życie pisarza, który porzuca swoją ojczyznę, gubi swój artystyczny cel, tęskni, pielęgnuje swoją tęsknotę, topi ją w alkoholu. Więc nie będę o tym pisał.

Być może pisarz jest typem człowieka, który często się określa mianem „puer aeternus" — „boski chłopiec". Jest to określenie, jakim posłużył się Owidiusz (w „Metamorfozach") opisując boskie dziecko, czyli boga — syna Jakchosa z misteriów eleuzyńskich. A więc „boski chłopiec", a właściwie lepiej będzie „wieczny chłopiec" — termin ten opisuje pewną formę nerwicy u młodych mężczyzn, schorzenie psychiczne wywołane, jak się zdaje, zbyt silnym przywiązaniem do matki. Typ taki jest w stanie dorosnąć. To, co w młodości było zjawiskiem normalnym, teraz staje się symptomem nerwicowym — w skrajnych przypadkach jest to homoseksualizm albo donjuanizm... albo — zimny, czysto seksualny związek z kobietą.

„W postawie tej znajdujemy jeszcze inne cechy typowe dla okresu dojrzewania — stwierdza Marie-Luise von Franz, *np. przesadny pseudoindywidualizm, poszukiwania religijne i filozoficzne i wiecznie prowizoryczne życie. Postawie tej towarzyszy mania zbawiania świata i ucieczka do rzeczywistości. Ta skłonność prowadzi go wyboru zawodu lotnika (sic!) czy alpinisty... Niemal wszyscy, „puer aeterni" unikają trudnej, odpowiedzialnej pracy (poza krótkimi zrywami, których motorem jest entuzjazm) i potępiają wszelki mieszczański konformizm... W połowie życia, tj. w okresie między trzydziestką a czterdziestką, ten zahamowany, neurotyczny typ przechodzi ciężki kryzys psychiczny i osiąga późną dojrzałość, albo też — ginie przedwcześnie w wypadku samolotowym.. lub jakąś inną przypadkową śmiercią, będącą nieświadomym samobójstwem... Jeśli obdarzeni są zdolnościami artystycznymi, stoją przed nimi wielkie możliwości rozwoju..."*

I to chyba wystarczy

Marek Hłasko umarł na emigracji, w RFN. Emigracja, obczyzna — to najlepsza rzecz dla dezintegracji, szybkiej i całkowitej. No tak, powie ktoś, ale znamy przypadki, że artysta (pisarz, poeta) porzuca swój kraj i funkcjonuje poza jego granicami, robiąc nawet karierę światową, jak choćby Czesław Miłosz czy Witold Gombrowicz.

Jeśli jakiś sławny artysta umiera na emigracji, podnosi się rwetes w kraju, chyba że przedtem otrzymał Nobla. Ale czy znamy tragiczne losy tych bezimiennych emigrantów, co to może też pisali kiedyś wiersze? Czy wierny, co się dzieje z tymi Józkami, Heniami i Ryśkami, gdzie się podział Michał i Baśka? Często ich rodzice nie wiedzą. Co się dzieje z nimi — z tymi, co porzucili nasz kraj, bo nie odpowiadał im system, czy forma demokracji, z tymi, którzy wyjechali z myślą o szybkim dorobieniu się i słuch o nich zaginął? Nie trzeba być jasnowidzem, żeby zdać sobie sprawę, że wielu z tych młodych ludzi wykoleja się, że wielu przenosząc pewne nawyki z kraju zostaje alkoholikami, że wielu z ciekawości sięga po narkotyki. Z ciekawości, ale tak naprawdę, żeby zabić lęk, tęsknotę, poczuć się choć przez chwilę lepiej. I wielu wreszcie wchodzi w konflikt z ichnim prawem. W takim razie należałoby ustrzec młodzież przed śmiercią i zamknąć granice. Nie, każdy powinien choć raz w życiu wyjechać, wszyscy powinni chcieć i móc wrócić.

GWÓŹDŹ PROGRAMU — PROSIAK Z NAZARETU

Zamykam oczy i słyszę Morze Śródziemne. Jestem na plaży w Tel Awiwie. Nad głową przelatują helikoptery patrolujące brzeg morski. Z dwóch stron plaży zbliżają się sprzedawcy lodów i zawsze w jednym miejscu ich drogi się przecinają. I zaczynają się kłócić o swoje wpływy, kłócą się po hebrajsku, ale mogę domyślić się, jaką profesją trudniły się ich matki, a w białych lodówkach lody się rozpuszczają.

Górą Aszkenazi — to oni chyba wprowadzili do produkcji „Wódkę Luksusową" — Produce of Israel, którą tu można pić i czuć się jak Europejczyk. I koniak „84", który co raz trafia do Hłaskowych opowiadań i piwo Gold Star. To oni tu przywieźli Europę w gospodarce i kulturze. Albo tak się przynajmniej wydaje.

To prawda: Żydzi pochodzący z Europy rządzą w tym kraju. Sefardyjscy Żydzi (ci z państw afrykańskich) nie odgrywają większej roli. Znany jest tutaj przypadek Żydów etiopskich, którzy nie mogli przystosować się do nowych (nowoczesnych) warunków. I ci Jemeńczycy, którzy nie mogą oduczyć się palić w autobusach. Sefardyjscy Żydzi i Aszkenazi — niby jeden naród, a jednak jak różny.

I problem chyba jest (dość wstydliwy), skoro nawet prasa namawia do małżeństw mieszanych. Trochę Europy i trochę Afryki w tej — kontynentalnie azjatyckiej części świata.

Śnieg tutaj padał tylko na Hermonie. Mikołaj z prezentami nie chodził.. Ale mieli Żydzi swoje święta. A wszystkie święta obłożone jakimś rytuałem zakazów, przeciwko którym buntował się młody Portnoy. A więc były — Jom Kippur, Kuczki i Hannuka. W Kuczki się nie jadło jak każe obyczaj. Jeden postny dzień, a właściwie dobę. W hotelu, w którym wtedy stałem, zamknięto oficjalnie Dancing Room, ale biznes jest biznes i można było zjeść konspiracyjną kolację, piętro wyżej. I przy szczelnie zasłoniętych oknach w milczeniu konsumowaliśmy. I czułem się jak Fernando Ray w filmie „Dyskretny urok burżuazji".

Ale był normalny Sylwester. W małym pubie przy HaYarkon, gdzie kilkadziesiąt lat temu często gościł Marek Hłasko, ja kończyłem 1986 rok, życząc sobie...

Gdzieś tak pół godziny przed północą albo po północy zgasło światło i w błysku sztucznych ogni zjawił się na naszym stole upieczony prosiak. Gwóźdź programu W otwartej paszczy trzymał zielone jabłko Prosiak prosto z największej tuczarni w Izraelu (prowadzonej ponoć przez Żyda z Polski) Prosiak wprost z Nazaretu. To była wielka, ale barbarzyńska uczta, bo prosiak, jak państwo zapewne wiedzą, jest zwierzęciem wyjątkowo niekoszernym.

Jeżeli jest na liczniku 95 mil na godzinę, trudno zasnąć. A jednak mi się to udawało. Gdyby nie pasy, którymi byłem przypięty do fotela, co chwilę uderzałbym w szybę. Tak wyglądała moja podróż do Ejlatu, a właściwie ostatnie 100 km. Najpierw stałem w tłumie młodych ludzi w zielonych strojach, chcąc wyjechać z Tel Awiwu. Istnieje tu zwyczaj, że młodzież odbywająca służbę wojskową jest chętnie zabierana autostopem. Samochody same podjeżdżają, kierowcy proponują swoje usługi. Deszcz padał, a ja w starym prochowcu marki Próchnik. Na szczęście był zielony i to tak wojskowo zielony. Więc pojechałem. Na wszystkie pytania odpowiadałem: ken (tak) lub lo (nie), żeby nie zostać zdemaskowany. A potem z Ber Szewy przez pustynię Negew, gdzie jeszcze można spotkać tygrysy, jakąś wielką ciężarówką firmy Mach, mknęliśmy tymi serpentynami 80 km na godzinę, a w dole przepaść. Ale ostatnie kilometry były już dobre. Pochwaliłem szybki i wygodny samochód. Młody Amerykanin, który prowadził to cudo, powiedział, że po przekroczeniu 100 mil na godzinę samochód zamienia się w samolot. Uwierzyłem. Pochwaliłem jeszcze raz samochód. Kołysało jak na statku.

Człowiek szuka mocnych wrażeń. Może zostać lotnikiem, alpinistą. Można też w wieku 14 lat wyruszyć w wielką podróż. Niespokojny duch „wiecznego chłopca" nie może siedzieć w miejscu.

Bruno Milczewski (tak, to chyba on) miał tal do świata, że nawet nie mógł wyjechać do NRD. I dlatego może ze swojego prowincjonalizmu stworzył religię i poezję perfekcyjnie oddającą nastrój zaściankowej Polski. Stąd był obieżyświatem, nie tylko „obieżykrajem". Bursa powiadał — ucz się języków obcych. Kiedy gdzieś na obczyźnie spytają cię: czy twój ojciec pali fajkę, żebyś potrafił odpowiedzieć. Urodzić się jak Sted we Francji, umrzeć np. w Casablance, w międzyczasie wypić morze wódki w peregrynacjach po ojczyźnie — oto marzenia każdego młodego poety. Liczy się bowiem biografia, a biografię (czytaj legendę) trzeba tworzyć nie czekając na biografów. A można się jeszcze powołać na Geneta, który powiedział:

— *Żegnam was. Przenoszę się do krainy słomkowych kapeluszy i palm.*

Ejlat jest szczytem egzotyki. Położony w przecięciu się granic Izraela, Egiptu i Jordanu oddziela kontynent azjatycki od afrykańskiego. Morze Czerwone, koralowy świat.

Leżę na plaży. Co chwila z morza wychodzi grupa nurków. 20 metrów dalej swinguje jazzowy zespół rozstawiony wprost na plaży. Wszyscy w topless. Tylko Murzyni ubrani, jakby chcieli zaprotestować przeciw tej modzie. W spodniach i w koszulach, w liczbie trzech. I ptaki tu zimują ze wszystkich stron, bo panuje tu specyficzny mikroklimat.

DLACZEGO NIE DAŁEM SIĘ ZJEŚĆ REKINOWI?

I gdy tak sobie pływam w morzu zawsze ciepłym, daleko od brzegu (oj, za daleko) nagle widzę jakiś cień pod sobą. Wpadam w małą panikę, ale to nic. Cień się konkretyzuje, jest już białym rekinem z rodziny... Wiem, że nie mam szans. Nie jestem Hemingwayem, żeby rozciąć brzuch tej bestii, a potem napisać jakąś książkę, nie jestem też Royem Schneiderem, przystojnym bohaterem „Szczęk". Myślę tylko o tym, jak umrzeć godnie, bo śmierć oryginalną mam zapewnioną.

Więc kiedy poczuję pierwsze cięcia, gdzieś w okolicach pasa — uśmiechnę się. Pomyślę, jakie to wrażenie zrobi na kolegach w pracy. Gdy będą pić kawę w poniedziałek rano, wpadnie do biura pani Zosia.

— *Czy wiecie, że Jacek został zjedzony przez rekina?!*

— *Przez rekina? — to niemożliwe. To taki spokojny człowiek. Kto by się spodziewał.*

Będą o tym mówić przez cały rok.

— *Ten Jacek, taki sumienny pracownik* — podkreśli kierownik w czasie pogrzebowej mowy...

I to wszystko?

A więc, czy warto pisać brzuch żarłocznej ryby, być pokarmem dla robaków? Nie, lepiej żyć. Więc żyję!

Rekiny można obejrzeć w Coral World niedaleko Ejlatu. Idzie się tam (oczywiście można wynająć jeepa, konia lub wielbłąda) 2 godziny. Lecz warto. W tym podwodnym obserwatorium można obejrzeć cały koralowy, kolorowy świat. I były tam nawet niebieskie żółwie, o których śnił Sting i ryby podobne do świń i jamochłony jakieś. Stałem tak i patrzyłem i nie wiedziałem, po której jestem stronie szyby: po tej, czy po tamtej?

Powiedzieć o Ejlacie, że jest piękny, to tak, jakby powiedzieć o słoniu, że jest wielki... Ale słoń posiada jeszcze trąbę i wielkie uszy i to jest jego wyróżnikiem. Jakimś tam gatunkowym wyróżnikiem. Położony więc jest (Ejlat, nie słoń) w malowniczej dolinie, wokół pasma niebieskawych gór, w dole zatoka Morza Czerwonego. W środku miasta lądują samoloty. Ludzie z całego świata przyjeżdżają tu, kierując się jak ptaki instynktem, że tu jest ciepło. I rozbrzmiewa angielsko-niemiecko-francuska mowa wszędzie, ale polskich nosówek w tym zgiełku nie słychać. A we wszystkich hotelach uczą po hebrajsku. Papierowe serwety przy śniadaniu uczą kilku zwrotów: *Boker Tov* — dzień dobry, *Shalom* — serwus (cześć) — *Ken* — tak, *Lo* — nie, *Malon* — hotel, *Ma shlom Cha* — jak się masz?

■

W wyprawie na szczyt piątej góry świata — Makalu 8 481 m uczestniczyli Krzysztof Pankiewicz — „dyrektor", Zdzisław Jakubowski, Włodzimierz Korpecki, Krzysztof Liszewski, Ewa Pankiewicz, Wanda Rutkiewicz, Jan Serafin, Ewa Szcześniak, Krzysztof Wielicki oraz grupa wspinaczy ze Szwajcarii i Austrii. Oto pierwsza część relacji z tej wyprawy.

Karawana przez Nepal

WŁODZIMIERZ KORPECKI

26 września 1986 r. Radio Nepalskie nadało informację, że „24 września na szczyt Makalu wszedł Polak Krzysztof Wielicki oraz Szwajcar Marcel Rüedi, który w drodze powrotnej zmarł z wyczerpania".

Międzynarodową Wyprawę w Himalaje zorganizował Łódzki Klub Wysokogórski. 13 sierpnia 1986 r. wsiedliśmy do Il-a 62. Po 8 godzinach lotu wylądowaliśmy w Delhi.

CENTRUM DELHI

stanowi Connaught Place, z koncentryczną zabudową XIX-wieczną, powstałą w ciągu pół roku, dla uświetnienia przyjazdu królowej Anglii — Wiktorii. Stąd promieniście rozchodzą się ulice, które są szczególnie ulubionym miejscem turystów. Tu znajdują się renomowane restauracje, magazyny handlowe oraz kramy i kramiki, przeładowane wyrobami rękodzieła artystycznego. Tu po hinduskie sukienki i bluzki przyjeżdżają polscy turyści. Można tu podziwiać urodę hinduskich dziewcząt i kobiet. Okryte tradycyjnym sari, które jakby od niechcenia przerzucone przez biodro i ramiona, nieuchronnie przyciągają pożądliwy wzrok Europejczyka.

Wielu tu bezdomnych i bezrobotnych, dla których jedyną filozofią jest filozofia przetrwania, a Budda z całą swą estetyką i metafizyką jest gdzieś poza zasięgiem ich myślenia i zrozumienia. Zresztą Gautama Budda pochodził z rodu książęcego i aczkolwiek zszedł do ludu, głosząc tam swą wielce moralizatorską filozofię, to zaledwie drobne echa zdają się docierać do umysłów tej społeczności. Widząc półnagiego Hindusa, zastygłego w bezruchu, brodatego czy bezwłosego, w tradycyjnym przysiadzie, nie łudźmy się, że jego „niewidzące oczy" penetrują horyzonty życia. To głód odbiera witalność tym ludziom. Być może tylko ta dogmatyczna wiara w przechodzenie w inne życie podtrzymuje ich w tej stagnacji życia obecnego. Szybko skończył się krótki pobyt w Delhi, wypełniony załatwianiem spraw formalnych oraz przygotowaniem wielotonowego bagażu do dalszego transportu samochodowego. Rozpoczęła się trzydniowa

PODRÓŻ DO KATHMANDU

— stolicy Królestwa Nepalu. Ten egzotyczny i uroczy kraj, przez całe stulecia izolowany od reszty świata, stał się obecnie Mekką turystyki. Z całego świata zjeżdżają się tu wszyscy łądni poznania i doznania zbawczego wpływu filozofii buddyjskiej na psychikę oraz podziwiania przedziwnej a zarazem przeuroczej architektury sakralnej, jakby wtopionej w mieszkalną zabudowę Kathmandu, Bhaktapur czy Patan.

Gdy opuszczaliśmy stolicę Nepalu strugi deszczu zalewały drogocenny bagaż, wieziony samochodem do podhimalajskiej wioski Hille, gdzie rozpoczęła się nasza górska przygoda.

Wczesnym rankiem 29 sierpnia 1986 r. rozpoczęliśmy wydawanie tragarzom stu 30-kilogramowych bębnów z ładunkiem sprzętu i żywności. Jedyna, krótka i kamienista uliczka wioski stała się nagle bajecznie kolorowa. Sprawiły to nasze bębny przy których tragarze pracowicie motali powrozy, po czym ponaglani przez sirdara, uginając się pod ciężarem ładunków, leniwie ruszyli krętą ścieżką opadającą, to wznoszącą się na wzgórza pokryte bujną podzwrotnikową roślinnością. Mijaliśmy po drodze wieśniacze zagrody skąd wesoła, brzuchata dzieciarnia słała nam radosne pozdrowienia: „namaste".

Noc spędziliśmy w namiotach, rozstawionych na dziedzińcu szkoły, w maleńkiej wiosce Dikeri. Budynek szkoły był mizerną szopą o kamiennych ścianach zaprawionych gliną, z czarnymi oczodołami otworów wejściowych i okiennych. Kilka maleńkich salek, w których podłogę stanowiła udeptana glina, wyposażonych było w ławy ustawione pod ścianą. Dzieci muszą pokonać wiele kilometrów górskiej drogi, aby dotrzeć do szkoły. Uczniowie piszą węglem na drewnianych deszczułkach. Korzystają z ofiarowanych szkole przez rząd Nepalu, raz na kilka lat, skromnych podręczników. Jest to efekt ogólnonarodowej akcji upowszechniania szkolnictwa w tym górzystym kraju.

Ranek w Dikeri powitał nas gęstą mgłą, która spowiła góry i doliny. Poranne prace zajęły nam niewiele czasu. Zaledwie zdążyliśmy się spakować i zwinąć namioty, a już kucharz zaprosił nas na śniadanie. Mgły nieco opadły, a ponad chmurami, kłębiącymi się nad dolinami i górami, nieprawdopodobnie daleko,

NICZYM ZJAWA ZAMAJACZYŁO MAKALU.

Gdzieś od wschodu, przebijając się poprzez kotłujące się chmury, słońce „zapaliło" lodową grań góry Stałem oniemiały z zachwytu.

Wśród kotłujących się chmur szliśmy do niżej ledącej doliny rzeki: Arun River Mijaliśmy przysiółki, gdzie można było zobaczyć jak pracują wieśniacy na trudnych do upraw terenach górskich. Niesłychanie zmyślnie i pracowicie zrobione są tarasowe poletka ryżowe, które ze względu na specyficzną kulturę uprawy, wymagają idealnego wypoziomowania i rozprowadzenia, systemem kanałów i kanalików, wody.

Spadł deszcz Schroniliśmy się pod parasolami. Poniżej ścieżki toczy wody Arun River, biorąca początek pod Makalu. Szybki nurt wyżłobił w skalnym, stromym brzegu wielkie zatoki. Wysoko ponad powierzchnią, pracowicie wykute ścieżkę, którą kroczą codziennie setki ludzi niosących różne ładunki w plecionych koszach.

Nie zachwyca ich piękne przełomów rzeki, wodospady czy skaliste jary — oni walczą o byt, o przetrwanie. Żyjąc w niedostatku nie wyrobili w sobie poczucia własności i faktycznie nie mają nic. Chata wieśniaka to 4 pale z zawieszonym na nich dachem krytym słomą ryżową. Na klepisku z gliny stoi piec gliniany. Sypialnia znajduje się pod dachem, gdzie wchodzi się po stopniach wyciętych w pniu drzewa. Ściany uplecione z listewek bambusowych, bywają czasami oblepione gliną. Przed chatą obsmarkana dzieciarnia jedząca swymi brudnymi rączkami ryż z miski. Dzieci cierpią na różne przewlekłe choroby. Nasz doktor jest bezradny, gdyż nie może pomóc tym dzieciom. Potrzebne im jest długie leczenie i różne lekarstwa, których tu nie ma.

Weszliśmy w strefę monsunu. Z małymi przerwami siąpi lub leje deszcz, czyniąc z górskich ścieżek błotnistą ślizgawkę. Posuwamy się po takiej ścieżce tylko dzięki kijkom narciarskim. Tragarze są bosi i mają ogromną wprawę. Śliskie błoto nie robi na nich wrażenia.

Wchodzimy w dżunglę. Monsum nie ustępuje.

CIESZĄ SIĘ Z TEGO PIJAWKI

zwane przez nas długami, które w takie pogody masowo rozmnażają się i wychodzą z ukryć. Wychudzone, całymi stadami rzucają się na nas, opijając się naszą krwią. Jest to istny koszmar, przed którym nie można się uchronić.

Przechodziliśmy przez potoki, grzęzawiska, progi skalne, obgnite pnie drzew, a wszystko to obrosło jest mchem i bujną roślinnością. Nie sposób przejść bez ocierania się o krzaki, na których czyhają ukryte te małe bestie. Zresztą pełzają po ścieżce całymi stadami, a gdy dopadną „delikwenta" — biada mu. Potrafią przecisnąć się przez grubą skarpetkę i przyssać się do miękkiej skóry w okolicy kostki, bądź między palcami. Gdy walczymy z tymi na dole, inne tymczasem precyzyjnie podpełzają na gałąź, by spaść z góry na odkryty kark bądź głowę. Trzeba mieć silną psychikę, aby to przetrzymać.

Wreszcie chwila wytchnienia. Na małej polance rozbiliśmy namioty. Teraz każdą rzecz starannie sprawdziliśmy i po obraniu z pijawek włożyliśmy do wnętrza. Następnie dookoła namiotu usypaliśmy solną ścieżkę, przez którą długi nie przejdą. Sól je paraliżuje.

Za wzorem japońskich przyrodników stosowaliśmy jeszcze jeden patent. Sypaliśmy między dwie założone na stopę skarpety tytoń. Ale na pijawki nie było sposobu. Znajdowaliśmy je w pachwinach, we włosach na głowie, na plecach, między palcami.

Dżungla zdaje się nie ma końca. Ruszyliśmy dalej. Szliśmy rozmiękłą ścieżką, z trudem przeciskającą się przez gęstą roślinność. Drzewa łączą się w górze konarami obrosłymi mchem, zapełniają wolną przestrzeń. Niewiele światła pada na ścieżkę. Jedynie w miejscach, gdzie płynie potok, w głębokich jarach, przebija się trochę dziennego światła. Są tu kolorowe motyle, rajskie ptaki i cykady, które tak ożywiają dżunglę nadając jej charakterystyczny dźwięk.

Nagle nastąpił kolejny atak, dziesiątki pijawek przyssały się do nóg, rąk, karku. Nerwowe szamotanie przerywa miarowy rytm wchodzenia stromą ścieżką pod górę. Nie ma czasu na solenie, zrywamy je z ciała i wrzucamy w busz.

Dżungla nagle rozwidniła się, a ponad nami wyrosła monstrualna skała, z krawędzi której zwisały brodate liany i korzenie drzew ociekające wodą. Pod podciętą częścią skały, w wielkiej nyży, zastaliśmy 20 tragarzy, którym nie udało się wytłumaczyć, że za wcześnie na bi-

wak, że zakończenie etapu nastąpi we wsi w Kama, gdzie poszła już część karawany. Nepalczycy zlekceważyli prośby i groźby.

Po dłuższej dyskusji ustaliliśmy, że zostanie wyniesiony jeden, bardzo ważny ładunek z żywnością. Ale tragarz nie miał najmniejszej ochoty ruszyć się z miejsca. Został więc zwolniony, a zawartość jego bębna przepakowaliśmy do plecaków. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu siedmiu tragarzy wstało i solidaryzując się z wyrzuconym ruszyło w dół do wioski, pozostawiając ponad 200 kg bagażu.

Nasza konsternacja była ogromna. Wreszcie rozdzieliliśmy zadania. Część wróciła do wsi po nowych tragarzy. Inni ruszyli za główną grupą karawany. I z Krzysztofem Wielickim

POZOSTALIŚMY NA NOC W SERCU DŻUNGLI

aby pilnować pozostawionych bębnów z bagażem. Dżungla robiła się coraz ciekawsza. Szykowała się do snu.

Pod powałą pieczary leniwie pełzał biały dym, unoszący się nad ogniskiem, wokół którego w ciasnym kręgu zasiedli tragarze przygotowując sobie posiłki. Przyglądałem się im uważnie, podziwiając umiejętność rozpalania ogniska, mając do dyspozycji jedynie przemoczone gałęzie, trawę oraz krzesiwo. Z jeszcze większym zainteresowaniem patrzyłem na ich gotowanie. W rozgrzany nad ogniskiem garnek wrzucali łyżkę tłuszczu oraz rozgnieciony czosnek i chilli, jakieś tylko sobie znane gatunki ubieranego po drodze zielska, wrzucając do tego kilka pokrojonych w plasterki ziemniaków, wielkości orzecha. Wszystko to razem usmażyli, a następnie wymieszali z wcześniej przygotowanym ryżem, po czym zwinnie ugniatając kuleczki karmili się nimi niczym indyki. Po jedzeniu ułożyli się do snu. Przytuleni jeden do drugiego, przykryli się wspólnie płedem, chroniąc się przed wilgotnym chłodem przenikającym z głębi dżungli. Od czasu do czasu najbliżej leżący ogniska podnosił się, by kilkoma dmuchnięciami wznieść życiodajny ogień.

Nastał świt. Chłód mocno widać dał się im we znaki. Wstali szybko, rozdmuchali z tlących się żagwi duży płomień, nad którym przygotowali strawę. I nie wiadomo kiedy, niczym zjawy, wymknęli się ciężkie ładunki w nieprzyjazną ostrń dżungli.

Zostaliśmy we dwóch z Krzysztofem Wielickim. Po jakimś czasie nadeszli nowo zatrudnieni tragarze i zabrali porzucone ładunki. I my zarzuciliśmy bardzo ciężkie plecaki i ruszyliśmy w ślad dżungli.

Przed nami było przejście przez Przełęcz Shipton na wysokości ponad 4 tys. metrów. Deszcz rozpadał się na całego. Trzymając kijki w jednej dłoni, a w drugiej ponad głową i plecakiem parasolkę, usiłowałem zmienić kierunek lejących się strug wody. I tak mijała godzina za godziną.

Droga prowadziła wzdłuż brzegu rzeki Barun Khola i doprowadziła nas do czoła lodowca: Lower Barun.

Namioty rozstawiliśmy na piaszczystej morenie. Z lewej strony, za spienionym potokiem, osłonięty kamienistą moreną, toczył swe ciało Lower Barun. Wraz ze świtem z odległych skalnych jaskiń wyszli bosonodzy tragarze. Skuleni z zimna zeszli do obozu po swe ładunki. W dżdżysty i zimny poranek ochoczo wyruszyli do przedostatniego etapu naszej dwutygodniowej karawany, do Bazy Hillarego leżącej na morenie lodowca opływającego południową ścianę Makalu. Mgły otaczały nas coraz rzadziej. Spoza mokrej mgły dochodziły nas echa lawin, wielkich mas lodu walących się ścianą Makalu.

Spadł śnieg i

POBYT W BAZIE HILLAREGO

przedłużył się. Śnieg zacinał o płótno namiotu i tworzył się nastrój senności. Z kuchni dochodził drażniący nozdrza zapach jedzenia.

Tragarze, którzy tu dotarli z nami, bosonodzy, okryci derkami, siedzieli skuleni pod dużym dachem namiotu kuchennego. Nadwerężamy swych zapasów żywności, robiąc im strawę.

Pogoda poprawiła się, ale zaraz pogorszyła się. Jednak podjęliśmy próbę przerzucenia części ładunków przez lodowiec, do właściwej bazy na wysokość 5.400 m. Zebraliśmy między sobą buty i skarpety, aby odziać nimi bose stopy tragarzy. Pierwsza grupa wyszła z Krzysztofem Wielickim. Tragarze wrócili w opłakanym stanie. Większość z nich nie założyła lodowcowych okularów, nabawili się zapalenia oczu i zostali na dwa dni wyłączeni z działalności.

Na dodatek „dyrektor" — Krzysztof Pankiewicz rozchorował się i stał, poprzez ścianki namiotu, dyktatorskie polecenia.

Wreszcie kolej na mnie. Obciążony sprzętem wyszedłem, razem z dziewczętami, w kierunku bazy. Z początku wyraźna ścieżka prowadziła przez mniejsze i większe wantowiska i rumosze skalne, na bocznej morenie. Po wejściu na lodowiec, gdzie wszystko podlega ciągłemu przemieszczaniu się, coraz częściej tracimy z oczu ślady stóp, pozostawione przez poprzedzających nas tragarzy. Zaczęliśmy się kierować na widoczne kopczyki. W tym marszu towarzyszyły nam głuche pomruki pękającego lodu oraz huk spadających lawin kamiennych po wypiętrzonych ścianach lodowych.

Po sześciu godzinach kluczenia w bezkresie lodowym, wyszliśmy na przeciwległą morenę, gdzie już w zapadającym zmroku, z trudem wypatrzyliśmy anteny Bazy Messnera.

Na ulicach Algieru

WŁODZIMIERZ KAŁCZAK

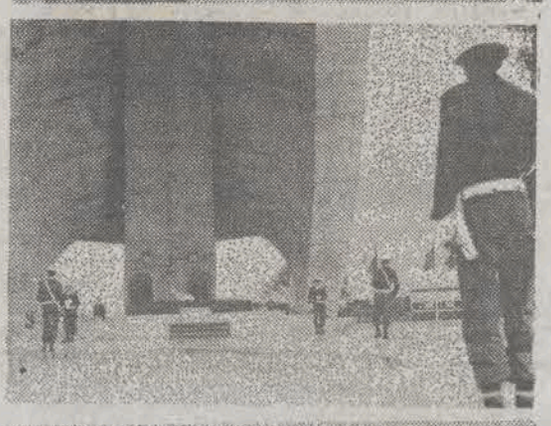

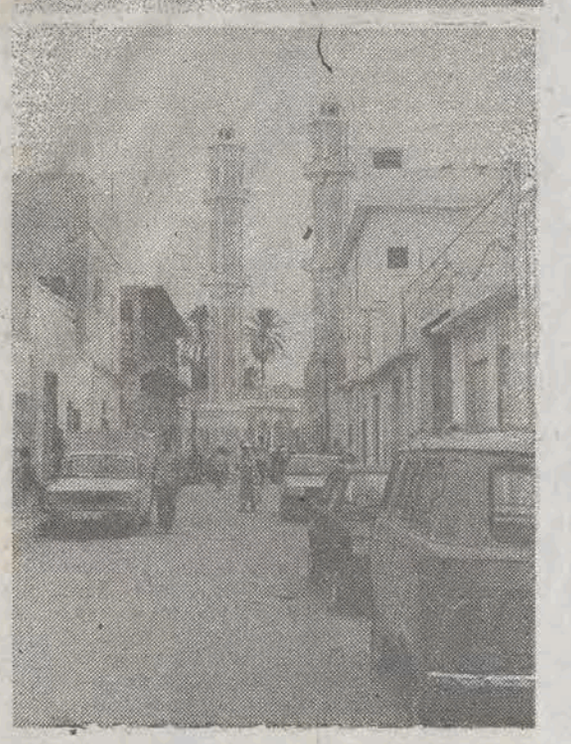

Kto lubi święta?

Artyści sceny i estrady świętują jak inni. Ale czy to lubią?

Iga Cembrzyńska

Foto: Renata Pajchel

Maria Fołtyn

Foto: Janusz Kubik

Krystyna Janda

Foto: Renata Pajchel

Irena Jarocka

Foto: Renata Pajchel

KRYSTYNA JANDA: — WSZYSTKO PRZYGOTUJE MAMA...

— Czy lubi pani święta?

— Lubię, mogę być z rodziną.

— Z czym kojarzy się pani Wielkanoc?

— Zawsze z odpoczynkiem i czymś bardzo przyjemnym, niekoniecznie określonym i konkretnym.

— Jak obchodzone święta w pani rodzinnym domu?

— Szalenie tradycyjnie, z poszanowaniem kultu tych świąt. Na Wielkanoc malowaliśmy jajka, a czynnościom tym towarzyszyła radość.

— A jak obchodzi pani święta teraz?

— Przede wszystkim dbam o zachowanie tradycji wyniesionych z domu rodziców i przekazanie mojej 12-letniej córce Marii. Podczas Świąt Wielkanocnych staramy się być wszyscy razem: ja, mąż (Edward Kłosiński, operator filmowy — przyp. B.G.), córka (Marysia z małżeństwa z Andrzejem Sewerynem — przyp. B.G.), rodzice, siostra i... wszystkie zwierzęta (trzy psy i kot).

— Kto przygotowuje święta?

— Najczęściej moja matka, bo święta spędzamy razem z rodzicami, ona wszystko umie zrobić i jest to pyszne.

— Jakie świąteczne życzenie miałaby pani dla siebie?

— Chciałabym się już nigdy więcej nie zakochać, bo to tak bardzo niszczy wszystko.

KRZYSZTOF KRAWCZYK: — LUBIĘ SOBIE POFOLGOWAĆ...

— Lubi pan święta?

— Tak, bo jest to okres refleksji, spotkania z najbliższymi, czas nawrócenia, nadziei na lepsze życie duchowe.

— Z czym kojarzy się panu Wielkanoc?

— Z nadzieją na miłość, której tak bardzo brakuje w stosunkach między ludźmi, z radością zmartwychwstania Chrystusa, twórcy etyki katolickiej, tak ściśle związanej z historią naszego narodu. No i naturalnie ze świątecznym, wspaniale zastawionym stołem. Z natury jestem łakomczuchem, więc w tym dniu lubię sobie pofolgować. Aby później pościć i odchudzać się. Walczę ciągle z 5 kg nadwagi.

— Gdzie będzie pan spędzał tegoroczne święta?

— W Warszawie, na Ursynowie, z najbliższą rodziną, która liczy 12 osób. Święta w Ameryce były straszliwie smutne. W 1986 roku spędzałem je w sanatorium w Cieplicach, w tym czasie w Szklarskiej Porębie odbył się mój ślub z Ewą.

— Kto przygotowuje potrawy na świąteczny stół?

— Co roku, osobiście, przygotowuję pyzy śląskie z gotowanymi i tartymi ziemniakami, z czerwoną kapustą z rodzynkami, z winem, z wołowiną w brązowym sosie. Pozostałe potrawy przygotowuje żona, która przydziela zadania poszczególnym członkom rodziny. W tym roku jej siostra będzie piekła ciasto „karpatkę", jej mama będzie robiła rybę po grecku, teściowa z teściem — śledzie i chrzan. Pozostałe potrawy zrobi sama.

— Jakich życzeń oczekuje pan w tym dniu?

— Abym, mimo problemów ze zdrowiem, wytrzymał w swoim zawodzie. Od żony oczekuję życzeń miłości, od syna — zrozumienia mojej nieobecności w domu, od matki, że jest zdrowa i zadowolona ze mnie. Od pozostałych osób — życzeń na lepsze jutro.

BOGNA SOKORSKA: — WYPIEKAM MAZURKI...

— Czy lubi pani święta?

— Uwielbiam. Święta Wielkiej Nocy wydają mi się jakimś odrodzeniem, nie tylko natury, ale i ludzi, oczyszczeniem do pewnego stopnia, radością, witalnością.

— Z czym przede wszystkim kojarzy się pani Wielkanoc?

— Z rodzinnym zgromadzeniem przy stole. Z przygotowaniami wielu dobrych rzeczy do jedzenia. Sama w bardzo tradycyjny sposób przygotowuję mazurki.

— Jak przebiegały święta w rodzinnym domu?

— Zapamiętałam wizytę księdza, który święcił stół z jedzeniem. Były emocje, dużo radości, przyjemności, wizyty kuzynek i kuzynów, szaleńcze zabawy i moje pierwsze występy przed rodzinnym audytorium.

— A jak jest teraz?

— Ubyło najbliższych, ale staramy się kultywować tradycje. Obecnie wszystkie wielkanocne atrakcje przeżywa mój wnuczek. Oczekujemy wizyty mojej córki z mężem (śpiewają na kontraktach w RFN). Spodziewamy się również rodziny męża i przyjaciół domu.

— Wszystkie potrawy świąteczne przygotowuje pani sama?

— Oczywiście. Zapekowałam szynkę, a mąż ją uwędził. Moją specjalnością są pieczone ziemniaki w folii, posypane kminkiem, jabłka w cebuli ze śmietaną.

— I jeszcze życzenia, jakich oczekuje pani dla siebie?

— Pragnęłabym być zdrowa, zadowolona z tego, co robię w zawodzie, z tego co tworzy mój mąż kompozytor (ostatnio bardzo dużo pisze). Przygotowujemy nowy recital. I chociaż nie mam wrogów, to gdyby jednak takowi byli — życzę im wszystkiego dobrego.

JERZY POŁOMSKI: — NIE LUBIĘ JAJEK...

— Czy lubi pan święta?

— Wielkanoc jest nierozłącznie związana z wiosną, niesie ze sobą elementy odrodzenia, życia, radości. Wielkanoc to święto pogodne, odbywa się w najpiękniejszej porze roku, która mobilizuje do życia.

— Z czym przede wszystkim kojarzy się panu Wielkanoc?

— Ze zmartwychwstaniem, jeśli rzecz dotyczy osób wierzących.

— Jak to bywało w pana rodzinnym domu?

— W moim domu przywiązywano dużą wagę do utrzymania wielkanocnych tradycji, zgodnie z tym, co dyktuje kościół katolicki.

— Jak jest teraz?

— Będzie pora, aby się spotkać w rodzinnym gronie, może pojadę do Radomia, gdzie mieszka mój 90-letni ojciec. Będzie co wspominać, choć osobiście nie lubię wspomnień. Staram się wyrobić w sobie umiejętność nie pamiętania tego, co niedobre i przykre. Myślę o dniu jutrzejszym, o tym, co smaka mnie dobrego i ciekawego.

— Lubi pan gotować?

— Moje umiejętności kulinarne są bliskie zeru, wszystko robi siostra.

— Ulubiona potrawa?

— Nie mam takiej, ale mogę powiedzieć, czego nie lubię. Otóż nie lubię jajek pod każdą postacią. Myślę, że przez stosowanie przypraw zagubiliśmy naturalny smak pewnych potraw.

— Czego życzyłby pan sobie?

— Nowego zastrzyku sił witalnych i żeby odzwierciedlało się to w zawodzie. Tego samego życzę moim bliskim, czytelnikom „Odgłosów" i panu. Nie jesteśmy dla siebie zbyt uprzejmi, za duża jest między nami rezerwa. Może święta będą okazją, aby to zmienić?

IRENA JAROCKA: — WYSTARCZY CHLEB I WODA...

— Z czym kojarzą się pani święta?

— Nie z jedzeniem. Mogę mieć tylko chleb i wodę, a przeżyję święta tak jak powinnam to zrobić. Dla mnie święta są bardzo osobistą, natury religijnej, z refleksjami na temat życia i świata. Święta są okazją do zatrzymania się choćby na chwilę, na te dwa dni w codziennym pośpiechu i zastanowienia się — czego oczekujemy od życia. Moje święta co roku wyglądają inaczej, tak jak i my się zmieniamy.

— Jak świętowano w pani domu?

— Były to spotkania rodzinne, przygotowanie potraw. Było nas w gdańskim domu sporo: rodzice, ja i trzej bracia.

— Jak będzie w tym roku?

— W tym roku spędzam Wielkanoc za granicą, w ZSRR, w Moskwie, bowiem w tym czasie będę jeszcze na trasie koncertowej po Kraju Rad. Ale nie będę sama, odwiedzą mnie tam córka i mąż.

— Czy świąteczne potrawy przygotowuje pani sama?

— Sama, ale pomagają mi mąż Michał i 4,5-letnia córka Monika. Korzystam z licznych książek kucharskich, nie lubię monotonii w jedzeniu, więc zaglądam do tych książek i w oparciu o różne przepisy robię coś zupełnie własnego. Książki kucharskie są dla mnie bazą przy wymyślaniu nowości.

— Jakich życzeń oczekuje pani dla siebie?

— Abym mogła być więcej z rodziną. Ostatnio mąż był w Szwajcarii, gdy wrócił, ja wyjechałam na 1,5 miesiąca do ZSRR, przedtem koncertowałam w Czechosłowacji, nagrywałam tam płytę, miałam też trasy po kraju.

MARIA FOŁTYN: — JA SIĘ TYLKO PRZYGLĄDAM...

— Czym dla pani jest Wielkanoc?

— To dla mnie wiosna, słońce, to coś, co wynosi się z ziemi, pierwsze pierwiosnki, bazie. To coś, co można nazwać miłością do życia, chce się śpiewać, oczyścić siebie z wielkiego brudu, tego co wewnątrz nas i tego, który jest wokół.

— Jak świętowane w rodzinnym domu?

— Klimat wszelkich świąt tworzy moja mama, wielka w tym względzie tradycjonalistka. Stół jest pełen mazurków, jaj malowanych przez mamę.

— Jak obchodzi pani święta?

— Tak samo jak przed laty. Panią domu jest moja mama. Wszystko będzie u nas takie samo jak 50 lat temu u mojej mamy, która obecnie liczy sobie 90 lat. Dla niej robię wszystko, aby święta nie zmieniły swojego charakteru.

— Kto przygotowuje smakołyki?

— Niewiele potrafię zrobić, choć prawie wszystkiego próbowałam. Nie mam zdolności kulinarnych. Mamie pomaga gospoda Helenka, która zresztą nauczyła się wszystkiego od niej. Ja się tylko przyglądam. Specjalnością mamy są mazurki.

— Jakich życzeń chciałaby pani dla siebie?

— Chciałabym mieć wokół siebie ludzi, którzy są lojalni i dobrzy oraz żebym mogła kontynuować moją pasję dla Moniuszki we względnym spokoju.

BEATA TYSZKIEWICZ: — NIE TRZYMAM SIĘ TAK BARDZO TRADYCJI...

— Lubi pani Wielkanoc?

— Bardzo, bo wtedy jest zielono i mogę pojechać do swego dworku na wsi i tam cieszyć się wiosną i myśleć, że jest już coraz bliżej lata. Same radości.

— Z czym kojarzą się pani Święta Wielkanocne?

— Z faktem, że cała nasza rodzina może być razem, że wspólnie malujemy pisanki, pieczemy mazurki. Już od wielkiego czwartku są czynione przygotowania, którym towarzyszy specyficzna atmosfera, którą bardzo lubię.

— Jak przebiegały święta w rodzinnym domu?

— Różnie, np. w okresie, gdy mieszkaliśmy na Dolnym Śląsku, robiliśmy bukiet z bazi, na którym wieszało się na wstążkach kolorowe wydmuszki, każdą w innym kolorze, to wprowadzało mnie, rodziców i brata w świąteczny nastrój.

— A jak jest teraz?

— Zapraszam do domu całą rodzinę i samotnego profesora, przyjaciela domu. W tym roku przyjedzie do Warszawy mój mąż stale pracujący w Paryżu.

— Kto wszystko przygotowuje?

— Nie trzymam się aż tak bardzo tradycji i schematów w tym zakresie, bo niewiele jemy. Każda z nas (w domu są cztery kobiety) bardzo lubi słodką babkę z makiem. Moją specjalnością jest mazurek czekoladowy na kruchym cieście posypany migdałami.

— Jakich życzeń pragnęłaby pani dla siebie?

— Chciałabym być trochę dłużej w domu, bo w tym roku i w ubiegłym wyjątkowo dużo podróżowałam. Byłam we Francji, Niemczech, Egipcie. W maju wyjeżdżam do Australii. Mama mówi, że jestem latającym Holendrem.

IGA CEMBRZYŃSKA: — TAK, LUBIĘ TO...

— Lubi pani święta?

— Tak, lubię świąteczny nastrój.

— Z czym kojarzą się pani święta?

— Zawsze z tym samym. Z Radomiem, z domem rodzinnym, z barankiem, pisankami, z mazurkami, z poranną kanonadą i dyngusem.

— Jak było w rodzinnym domu?

— Nie lubię wspominać, bo się wzruszam i po co to panu.

— Jak obchodzi pani święta obecnie?

— Nie wiem..., zależy to trochę od pogody i planów mojego męża.

— Kto przygotowuje dania na świąteczny stół?

— Sama, ale nie mam z tym wiele kłopotów, bo święta nie są dla mnie okazją do obżarstwa.

— Jakich życzeń oczekuje pani dla siebie?

— Tego sobie życzę, czego życzę innym — WESOŁYCH ŚWIĄT!

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

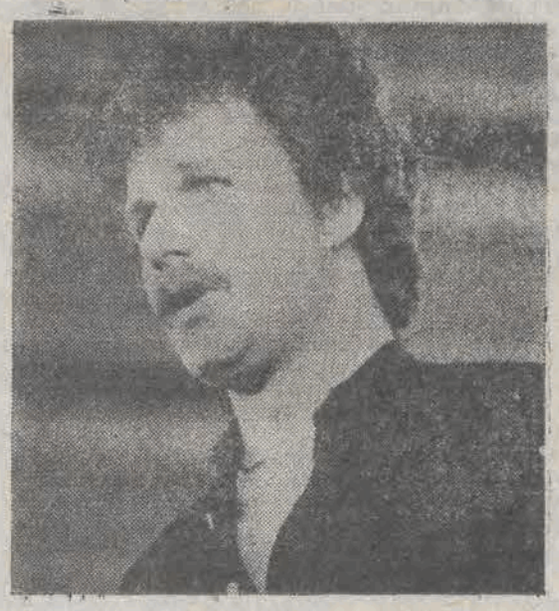

Krzysztof Krawczyk Foto: Ryszard Radowiecki

Jerzy Połomski Foto: P. Krassowski

Bogna Sokorska Foto: Archiwum

Beata Tyszkiewicz Foto: Renata Pajchel

Co zmienia się w radzieckim kinie? Nowe kryteria oceny. Twórca ma pokazać, co umie. Jest opozycja przeciw demokratyzacji.

Po naszej stronie jest prawda

Rozmowa z przewodniczącym Związku Filmowców ZSRR — ELEMEM KLIMOWEM.

Panie Klimow, jest pan człowiekiem Gorbaczowa...

— ...niektórzy mówią nawet, że jesteśmy gorbaczowskimi rewolucjonistami kina.

— Czy dyskutował już pan kiedyś z sekretarzem generalnym na temat radzieckiego filmu?

— Tak, a cały sekretariat naszego Związku popiera liberalizację Gorbaczowa. Jesteśmy jednomyślni co do tego, że uczyni to nas realnie silnymi. To, co obecnie podejmujemy, w pełni zgadza się z tym, czego chce Gorbaczow — a on zauważa to także. Mógł. i się o tym przekonać, gdy niedawno rozmawiałem z nim o tym przez telefon. Powiedział m.in., że obejrzał mój film „Pożegnanie"...

— „Według powieści Walentina Rasputina „Pożegnanie z Matiorą", który przedstawia zagładę syberyjskiej wioski wskutek zaprojektowania zapory.

— Gorbaczow przeanalizował treść filmu we wszystkich szczegółach: problemy ochrony środowiska, znikanie starych rosyjskich wsi, ucieczkę ze wsi. Mówił, że trzeba tych ludzi sprowadzić do tych wiosek z powrotem. Proces ten obecnie się zaczyna. W trakcie rozmowy okazało się, że Gorbaczow dużo czyta. Zna np. wszystkie dzieła Walentina Rasputina. To, jak jest to w stanie zrobić, jest dla mnie zagadką. Była to dla mnie bardzo przyjemna rozmowa z wszechstronnie wykształconym człowiekiem, który promieniuje energią i optymizmem. Chodzi on przecież także często do teatru i kocha kino.

— Jakiego rodzaju filmy ogląda?

— O ile mi wiadomo, ogląda wszystkie ważne filmy.

— Objął pan swoje stanowisko po to, by zdemokratyzować radziecką kinematografię. Co pan pod tym rozumie?

— Istnieje u nas wszechwładna biurokracja, „Goskino". Chcieliśmy już ją dawno złamać i co nieco już osiągnęliśmy. Artyści decydują obecnie sami o swoich filmach, jak również oczywiście także o swym własnym losie. Nie jakiś tam wujaszek, ale my sami! Chodzi o to, by wzmocnić rolę artystów, którzy są reprezentowani przez nasz Związek.

— Dawniej „Goskino", państwowy komitet do spraw kinematografii określał wszystko?

— Tak, praktycznie wszystko. To, czy scenariusz był coś wart, jakie zmiany trzeba było zrobić. Każdy scenariusz był opracowany przez 5, 6, 7 instancji. Każdy redaktor wtrącał się na własnym etapie, by dowieść swej ważności. Wiele dobrych scenariuszy nie zostało w ten sposób zakończonych, zniknęło w szufladach. Ja sam miałem wiele takich scenariuszy, które nie uzyskały zezwolenia.

— Jak wygląda to teraz?

— Nowa struktura radzieckiego przemysłu filmowego, którą opracowaliśmy i jednomyślnie przyjęliśmy na ostatnim zjeździe naszego związku w styczniu, różni się zasadniczo od starych stosunków, które oczywiście wciąż jeszcze istnieją. Tym niemniej czuje się już wiele ułatwień. Ale między starym a nowym trwa walka, a walka ta jest twarda.

— Co to oznacza?

— W kinematografii pracują ludzie, z których wielu trwa przy starych przyzwyczajeniach. Jest to korzystne i wygodne, gdyż nie są to ludzie najbardziej utalentowani. Pouwijali sobie oni gniazdka i żyli spokojnie, gdyż robili rzeczy akceptowane przez „Goskino" bez dyskusji, których jednak prawdopodobnie nikt nie chciał oglądać...

— „...które jednak wychwalane były jako dojrzałe, wytyczające ogólny kierunek, mistrzowskie dzieła.

— Tak, prasa pisała wówczas, że jest to bardzo dobry i ważny film. Kryteria oceny były fałszywe. Artyści, którzy z tego korzystali, nie potrzebują żadnej zmiany, ponieważ zaszkodziłaby ona im. Ze zmiany odnoszą korzyści ludzie utalentowani i uczciwi. Teraz popierać należy tych, którzy kręcą odważne i zaskakujące filmy — młodych ludzi, którym przedtem trudno było dostać się do studiów, gdyż tamci przez lata odgradzali je jak twierdzę.

— Jak to funkcjonowało?

— W „Mosfilmie", największym radzieckim studio, tu, w Moskwie, pracuje np. wielu kamerzystów, którzy są kiepscy w swoim zawodzie, ale muszą być zatrudnieni. Byli także inni, o wiele lepsi, którzy jednak stali na zewnątrz w kolejce i nie byli przez studia zatrudniani. To samo zdarzało się reżyserom. W nowym modelu chcemy użyć tę artystyczną rezerwę. Studia powinny w przyszłości być prowadzone wyłącznie w oparciu o zasadę gospodarności. Otrzymują prawo zatrudnienia samemu swoich zespołów, a wybór prowadzony będzie w oparciu o osiągnięcia. W ten sposób wszyscy otrzymają równe szanse.

— Ten, kto nie da rady...

— ...ten będzie musiał pracować w telewizji albo w reklamie, bądź też w poszczególnych przypadkach pogodzić się z degradacją z reżysera na asystenta. Nikogo nie będziemy wyrzucali. Temu, kogo w przeszłości chroniła nieruchawość aparatu, mówimy obecnie: „Proszę, niech pan będzie tak miły i pokaże, co umie".

— Co zdarzy się, jeśli filmy produkowane przez studio nie będą odnosiły sukcesów?

— Spowoduje to bankructwo, cóż innego? Studio zostanie rozwiązane. Jeśli jednak grozić mu będzie plajta dlatego, że produkuje ono wartościowe pod względem artystycznym filmy, które oglądane są jedynie przez niewielką publiczność, to wówczas nasz związek będzie mógł wspomagać to studio z utworzonego właśnie funduszu. Najważniejszą sprawą jest jednak to, by odtąd studia same decydowały o scenariuszach. Kręcą one film, wypuszczają go i tylko informują „Goskino", które zachowuje funkcję koordynującą. „Goskino" może także nadal zamawiać filmy, jeśli uważa, że któryś gatunek jest zaniedbywany. W takim przypadku studio niczego nie ryzykuje, gdyż ma zabezpieczone honorarium.

— Ale dystrybucja nadal będzie należała do „Goskina"?

— Tak, do organizacji, która wchodzi w skład „Goskina". Nie będzie prywatnej dystrybucji.

— Załóżmy, że „Goskino" zabroni rozpowszechniania filmu, gdyż mógłby on wywołać gniew. Co wówczas nastąpi?

— Jeśli odmówi rozpowszechniania filmu dlatego, iż jego zdaniem jest on marny, to wówczas autorzy mają prawo do zwołania komisji konfliktowej Związku. Jeśli ustalimy że odmowa jest nieuzasadniona, to wówczas hukniemy — wszystko w atmosferze jawności i otwartości. (...)

— Czy dystrybutorzy i kina nie mogą pracować na własne ryzyko?

— Proponujemy, by dystrybucja pozostała scentralizowana. Jeśli wstrzyma ona film, gdyż — powiedzmy sobie — uważa go za kiczowaty, wówczas studio, które w przyszłości będzie się zajmować także reklamą, może zaproponować regionalne rozpowszechnianie filmu. Być może film ten spodoba się np. w Uzbekistanie. Albo spodoba się telewizji. Albo kupi go zagranica. Albo pójdzie na rynek wideo. (...)

— Jak zachowują się towarzysze z „Goskina", którzy przecież tracą wpływy?

— Rozmaicie, ale jest już tam nowy przewodniczący który w pełni popiera nasze żądania i propozycje, myśli i plany.

— Wszystko to brzmi tak, jak gdyby cenzura, biurokratyczne wtrącanie się i zobowiązanie do przedstawiania bohaterów pozytywnych należały w całości do przeszłości. Czy też określone tematy nadal pozostają tabu?

— Tabu już więcej nie będzie. Cenzura jako organ państwowy czuwa jedynie nad tym, by nie naruszać tajemnic wojskowych albo zakazu pornografii. Dzisiaj przeglądamy wypędzone do archiwów filmy i nie pojmujemy wcześniejszych zakazów: żaden z tych filmów nie jest antyradziecki czy też pornograficzny. Ale tak je zakwalifikowano. To, co nazywa-cie cenzurą odnosi się do biurokratów.

— Czy określone tematy, np. krytyka kierownictwa partyjnego, są nadal niepożądane?

— Przecież taka krytyka istnieje. Proszę poczytać nasze gazety!

— Jest różnica, czy widzi się coś takiego na trzeciej stronie w piątej szpalcie, czy też przez cały wieczór na ekranie.

— Chodzi o to, jak rozwija się nasze społeczeństwo. Filmowcy nie są izolowani, wszystko zależy od ogólnej atmosfery. Na nią możemy w każdym razie wpływać.

— W „Agonii" próbował pan pokazać uzdrawiacza Rasputina na dworze ostatniego cara Mikołaja II. Czy mógłby pan przedstawić udręki reżysera na przykładzie tego filmu?

— Pierwszy wariant scenariusza został napisany w roku 1967, ale praca musiała zaraz potem zostać przerwana. Drugie podejście miało miejsce na początku lat 70-tych. Któregoś pięknego dnia ponowne wstrzymanie, znów z „przyczyn" tematycznych. Film spadł z planu.

— Jakie „przyczyny tematyczne" wymieniono?

— Żadnych. Potem „Goskino" otrzymało nowego przewodniczącego. Filipa Jermasza i zaczęliśmy z powrotem od nowa. W 1975 r. zezwolono na przekazanie filmu do dystrybucji. Ale już wkrótce zażądano wszelkich możliwych zmian. Rasputin pojawiał się zbyt często. Car nie został pokazany jak karykatura, ale żądano go tylko jako karykatury. Byliśmy właśnie za mało dogmatyczni w podejściu do naszej historii w taki sposób, w jakim nie jest ona opisywana w podręcznikach szkolnych.

— Czy miał pan poparcie kolegów?

— Andriej Tarkowski, który niedawno zmarł w Paryżu, chciał wówczas obejrzeć ten film. Nie było jednak rzeczą łatwą zorganizowanie nawet zamkniętego pokazu. Pokaz miał miejsce o 8.00 rano. Gdy Tarkowski wyszedł z sali, powiedział do mnie: „Elemie, jesteś martwy". Dlaczego? — „Film narusza stereotyp radzieckiego filmu historycznego. Nie wybaczy ci się tego". Przez długi czas miał on rację.

— Ile filmów zostało okaleczonych albo nie ujrzało światła dziennego?

— O wiele za dużo. Dotąd jest ich 25, odkrywamy jeszcze nowe. 15 do 17 z nich zostało obecnie zwolnionych. Filmy dokumentalne, telewizyjne i popularno-naukowe były w każdym razie wstrzymywane tuzinami. Teraz przegląda je komisja.

— Jakie podawano przyczyny zakazu?

— Ach, trudno je w ogóle zrozumieć. Pierwszym filmem który obejrzeliśmy, był film dokumentalny o białoruskim pisarzu Wasiliju Bykowie. W filmie tym mówi on całkiem otwarcie o tym, co myśli. Człowiek ten jest w każdym razie laureatem Nagrody Leninowskiej i Bohaterem Pracy Socjalistycznej. Niemniej jednak film został zakazany. Mogliśmy tylko potrząsać głowami.

— Dlaczego pozwolił pan, by się to wszystko stało? Był pan przecież już wtedy znanym, lubianym, a. żywowym artystą.

— Czy mieliśmy się z tamtymi użerać? Walka trwała ciągle, tyle że była prowadzona za kulisami, dla opinii publicznej niemal niedostrzegalna. Gdyby walki tej nie było, poszczególni ludzie nie odważyliby się na kręcenie tego, co im proponowano. Nie doszlibyśmy do punktu, w którym jesteśmy obecnie.

— Pewni autorzy, pewni reżyserzy z powodu tej opieki zrezygnowali, bądź też udali się za granicę. Na jakie warunki pracy mogliby liczyć w razie powrotu?

— To wszystko zależy od nich. Mój przyjaciel Andriej Tarkowski z pewnością by powrócił. Kochał on swoją ojczyznę i wiedział, że swoje prawdziwe credo artystyczne mógłby wyrazić jedynie w ojczyźnie. Widziałem jego dwa ostatnie filmy „Nostalgia" i „Ofiara". Wydaje mi się, że mógłby je nakręcić także tutaj, choć nie przyszłoby mu to łatwo.

— Co ma wobec tego oglądać radziecki widz kinowy?

— Co ma oglądać? Pyta pan w taki sposób, jak gdyby reprezentował dawną pozycję w tym kraju. Muszę wszystko zacząć znów od początku. Musimy w końcu zbadać potrzeby i zainteresowania widzów. Będziemy produkowali nie tylko filmy wysokiej klasy w rodzaju filmów Tarkowskiego. Widzowie chcą także lżejszych gatunków, komedii, musicali. Ale ogólna jakość musi rosnąć.

— Co chce wobec tego oglądać radziecki widz?

— Musimy to właśnie ustalić. Potrzebujemy odzewu ze strony widzów, potrzebujemy najpierw badań socjologicznych na temat upodobań publiczności.

— Upodobania te możecie przecież określić w oparciu o sprzedaż biletów.

— Moglibyśmy. Ale dotąd nie wiedzieliśmy nawet, ilu widzów obejrzało dany film.

— Jakie filmy zagraniczne powinny zostać pokazane?

— Nasza polityka w tym względzie znacznie się zmieni. Dawniej kupowaliśmy często wyłącznie makulaturę. Chodziło jedynie o wykonanie planu, o pieniądze. W ten sposób dotarły do kraju „Angelika!" i amerykański film „Konwój". Teraz chcemy lepiej wybierać. Kupiliśmy np. wszystkie filmy Felliniego, także „Amadeusza" i „Lot nad kukułczym gniazdem". Niestety, dobre filmy kosztują często dużo, tak że nie mamy możliwości ich kupić.

— Dobry, zły — brzmi to jak nowy dyktat w sprawie upodobań. W ten sposób mówili także pańscy poprzednicy.

— No, ktoś musi w końcu ustalić kryteria. Indie produkują 900 filmów rocznie. Czy mamy je wszystkie kupować?

— Na ostatnim zjeździe Związku Filmowców doszło do gwałtownych scen. Przewodniczącego „Goskina", Filipa Jermasza nie dopuszczono do głosu, dwie trzecie składu kierownictwa nie zostało ponownie wybrane. Czy rewoltę tę uzgodniono z kierownictwem partyjnym?

— Nie, była ona całkowicie spontaniczna. Wszystko zaczęło się już przed kongresem, gdy wybierano delegatów. Już wówczas nie wystawiono czołowych dotąd ludzi, takich jak Bondarczuk i Kostoszyn.

— A towarzysze z wierchuszki spokojnie temu przytaknęli?

— Rozmawiali oni z ludźmi, zamiast grozić im palcem. Obecni wyjaśnili im spokojnie, że to teraz wystarczy i że nie może tak iść dalej. Nawet my nie wyobrażaliśmy sobie, że kongres może się stać tak burzliwy.

— Co osobiście dla pana oznacza polityka otwarcia, prowadzona przez Gorbaczowa?

— Jest ona marzeniem, w którego spełnienie prawie już nie wierzyłem.

— Jak zachowują się obecnie konserwatyści?

— No, jakżeby? Trudno jest zrealizować nasz model. Opór istnieje, choć rzekomo wszyscy są za. Ale wielu wkrada się jedynie w łaski. Niektórzy nawet otwarcie o tym mówią. Inni mówią: „Teraz jest już przecież wszystko w porządku, czegóż jeszcze chcecie? Filmy łatwo przecież teraz przechodzą. Nie ma prawie żadnych zarzutów, to wystarczy. A resztę zostawcie, proszę, tak jak było".

— A więc istnieje silna opozycja przeciwko demokratyzacji?

— Dlaczego miałoby jej nie być?

— Kto weźmie ostatecznie górę?

— My. Po naszej stronie stoją prawda i sprawiedliwość, a wiary w nie nie wolno nam stracić.

(„DER SPIEGEL" 02.03.1987)

Wybrano rozwiązanie bardziej opłacalne, ale wbrew woli mieszkańców Leningradu. Komu zabrakło odwagi? Młodzież zrozumiała, że nie chodziło tylko o zabytkowy gmach hotelu „Angleterre".

Pikiety na Placu Isaakijewskim

RYSZARD OSTROWSKI (PAP)

„Izwiestia" z 26 marca 1987 r. opisały niepokojące wydarzenia, do jakich doszło niedawno w Leningradzie, na historycznym Placu Isaakijewskim. Zorganizowano tam masową akcję protestacyjną. Mieszkańcy Leningradu, głównie młodzież, wystąpili czynnie przeciwko rozbiórce gmachu mieszczącego niegdyś słynny hotel „Angleterre", dokonywanej w ramach rekonstrukcji kompleksu hotelowego mieszczącego się przy tym placu. Incydent zwrócił uwagę na bardzo poważny problem społeczny: mieszkańcy Leningradu od dawna zaniepokojeni są trwającym procesem niszczenia, bezkarnym burzeniem obiektów starej petersburskiej architektury. Wiele domów zburzono bez uzasadnionej potrzeby. Wiele „przebudowano", pozbywając się przy tym cennych wnętrz, rzadkich już dziś elementów dekoracyjnych. Sprawa „Angleterre" to nie tylko walka o ratowanie bezmyślnie niszczonych zabytków, to również walka o sukces przebudowy, o pomyślny przebieg procesu demokratyzacji życia społecznego i politycznego.

Oczywiście — piszą „Izwiestia" — za wiele starych domów należy przebudować czy rozebrać, nie wszystkie można i trzeba odnawiać i zachowywać. Nie w tym jednak rzecz. Każdy pamiątkowy gmach w mieście Lenina, to własność każdego mieszkańca Leningradu, całego narodu. Stosunek, jaki ludzie mają do tego miasta wymaga szczególnego postępowania, jeśli chodzi o decyzje w sprawie dalszych losów historycznych budowli, wymaga konsultacji ze społeczeństwem, maksymalnej jawności działania. A tymczasem o losach niektórych obiektów, drogich tym wszystkim ludziom, którym nie są obojętne historia własnego narodu, pomniki kultury narodowej, decyduje się nadal potajemnie, za szczelnie zamkniętymi drzwiami gabinetów. Takie postępowanie niewiele ma wspólnego z atmosferą jawności, która zaczyna umacniać się w życiu kraju.

Wiadomość o burzeniu „Angleterre" wywołała w mieście nad Newą zdziwienie i oburzenie: dlaczego znowu ktoś w tajemnicy, bez zasięgnięcia rady u mieszkańców, podejmuje decyzję, która dotyczy oblicza jednego z głównych placów Leningradu? W poniedziałek, 16 marca 1987 r. przed „Angleterre" zebrała się młodzież: uczniowie, licealiści, studenci, młodzież pracująca. Ludzie pozostali na placu przez całą noc. Wziąwszy się za ręce, młodzież nie wpuszczała maszyn budowlanych na teren robót.

Do Moskwy, w tym również i do ministerstwa kultury ZSRR, wystosowano depesze apelujące o zaniechanie rozbiórki budynku. Podpisy pod tymi petycjami złożyły setki mieszkańców — jednak żadnej odpowiedzi nie otrzymano. Na drugi dzień w prasie leningradzkiej ukazały się jedynie dwie publikacje na ten temat. Nie mogły one już niczego zmienić. W środę mury „Angleterre" zostały zburzone. Na oczach licznie zgromadzonych mieszkańców.

W następnych dniach w gazetach, radiu i telewizji pojawiły się głosy, zdaniem „Izwiestii", wielce niesprawiedliwe i krzywdzące młodzież leningradzką. Nie brak było w tych opiniach aluzji zapożyczonych z przeszłości: że młodzież z Placu Isaakijewskiego działa rzekomo według napisanego przez „kogoś" scenariusza, że przyszła, aby „mącić wodę". Do tego jeszcze autorzy owych wypowiedzi doszukiwali się w tłumie młodych ludzi osób nie znających poezji Jesienina *(który popełnił samobójstwo właśnie w „Angleterre")* — i wniosek gotowy: zgromadzonych na placu osobników interesują nie tyle duchowe wartości, *co możliwość porozrabiania*...

„Izwiestia" odparła tego rodzaju zarzuty: przecież oczywiste jest, że w obronie rozwalanych murów nie mógł stanąć obywatel, któremu wszystko jedno, pijanica czy tchórzliwy karierowicz, słowem człowiek ubogi duchem. Nie mogli przyjść na plac ludzie pozbawieni pamięci historycznej, albowiem bez niej nie ma prawdziwego obywatela, bez niej nie ma i nie może być prawdziwej miłości do ojczyzny. Nikt nie przeczy, że wśród czuwających przed „Angleterre" nie było osób przypadkowych, nawet wątpliwych jednostek, zwabionych głośnym wydarzeniem. Nie oni byli jednak tu gospodarzami, o czym świadczy jeszcze jedno: nie zanotowano żadnych ekscesów.

Oskarżenia w prasie pod adresem obrońców „Angleterre" grzmiały donośnie. Bojaźliwie, jakby półszeptem wysuwano natomiast zarzuty wobec tych, którzy wcześniej winni byli poinformować społeczeństwo o planach rekonstrukcji zespołu hotelowego przy Placu Isaakijewskim, zapoznać się ze stanowiskiem mieszkańców, wysłuchać ich opinii. Zresztą zarzuty te, oprócz autorów projektu przebudowy, bezpośrednio nikogo nie dotyczyły.

W Leningradzie zadźwięczał być może pierwszy ostry sygnał: że o przebudowie naszego życia, o przechodzeniu na demokratyczne zasady nie wystarczy tylko mówić — pora już przestawiać się na praktyczne działanie. Że nie wystarczy wzywać ludzi do aktywności społecznej — najwyższy już czas wziąć się za likwidowanie biurokratycznych zasieków, które przeszkadzają przejawianiu się owej aktywności. Wielce wymowne w całej sprawie jest, że do protestów doszło tuż przed gmachem Komitetu Wykonawczego Leningradzkiej Rady Deputowanych Ludowych, stojącym przy tym samym placu. Z nadzieją spoglądano w tę stronę, niestety, żadnej reakcji nie było. Na drugi dzień protestów, 17 marca 1987 r., 5-osobowa delegacja udała się do Komitetu Wykonawczego, z prośbą, aby powstrzymać się ze zburzeniem „Angleterre" do chwili wyjaśnienia, czy rozbiórka jest dopuszczalna bez porozumienia się z Ministerstwem Kultury ZSRR. Przez godzinę bezskutecznie pukano do różnych drzwi, nikt nie przyjmował. Członkom delegacji zaproponowano wrzucenie petycji do skrzynki wniosków, w ciągu miesiąca, zgodnie z przepisami, zostanie ona rozpatrzona.

W środę, 18 marca 1987 r. rano przedstawiciele młodzieży spotkali się ostatecznie w Komitecie Wykonawczym z zastępcą przewodniczącego Komitetu, naczelnym architektem miasta, kierownikiem Urzędu do Spraw Kontroli Ochrony Zabytków, głównym projektantem rekonstrukcji zespołu hotelowego. W trakcie rozmowy wyjaśniło się, że opracowano również wariant przewidujący zachowanie starego budynku „Angleterre", jednak kierując się względami ekonomicznymi zdecydowano o jego rozbiórce. Spotkanie zakończyło się bez rezultatu. Na odchodne młodzież poprosiła raz jeszcze o wstrzymanie prac w celu wyjaśnienia legalności decyzji: przecież budynek stał pusty dwa lata, można więc poczekać kilka dni. Ojcowie miasta obiecali rozpatrzyć prośbę i udzielić nań odpowiedzi jeszcze tego samego dnia, wieczorem. W połowie dnia „Angleterre" przestał istnieć.

Po cóż więc składano nieprawdziwe obietnice? — pyta dziennikarz „Izwiestii". — Przecież przedstawiciele władz miejskich wiedzieli doskonale, że „Angleterre" zostanie za kilka godzin zburzony.

Rozmówcy dziennikarza „Izwiestii" w Komitecie Wykonawczym nieustannie wskazywali na zmurszałe mury hotelu. Niczego nie pojęli: nie problem techniczny stał się tu przyczyną sporów i podziałów. Istotę sprawy doskonale zrozumieli natomiast młodzi ludzie występujący w obronie zabytku. Jeden z nich powiedział:

— Wszystko to, co dzieje się na Placu Isaakijewskim, związane jest nie tylko z przebudową hotelu, lecz również z przebudową kraju, z przebudową zasad naszego życia. Wezwano nas do udziału w niej i chcemy wierzyć, że słowa wreszcie zamienią się w czyny.

Nie byłby naczelny naczelnym, gdyby nie miał wymagań. Otóż przy oddawaniu ostatniego felietonu powiedział do mnie, że na święta ma być coś wesołego. Próbowałem tłumaczyć, że pisać z humorem wcale nie jest tak prosto, ale moje wyjaśnienia nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. A przecież humor to rzecz względna. Najczęściej zdarza się, że to co dla jednych jest śmieszne, innym wydaje się smutne i odwrotnie.

Ja, na przykład, lubię humor, jaki występuje na kartach „Szwejka", nie widzę nic śmiesznego w opowiadaniach Zoszczenki; bawię się do łez pisaniem Czechowa, natomiast nie bardzo mi odpowiadają satyry Majakowskiego; śmieję się, gdy czytam Henryka Rzewuskiego, nie robię tego przy lekturze Fredry; lubię stare komedie z Chaplinem, nie jestem w stanie obejrzeć do końca filmów z de Funes I tak dalej i tak dalej, każdy właściwie mógłby ułożyć swoją własną listę książek, czy filmów, przy których najlepiej się bawi. Na pewno co człowiek — to inni faworyci.

Względność poczucia humoru jest ogromna. Przed paru laty mój znajomy podczas lektury „Makbeta" doskonale się bawił. Do dziś czasami zastanawiam się, skąd brała się ta wesołość przy szekspirowskim dramacie, tym bardziej, że on sam nie potrafił tego wyjaśnić. Czytanie czytaniem, dobrze jest jednak gdy ci, którzy zasiadają do pisania czegoś humorystycznego, posiadają świadomość trudności jaką przed sobą postawili, wiedzą jak łatwo w takich razach stoczyć się w banał i stworzyć coś nijakiego, trudnego do określenia.

Biorę do ręki 4-tomową „Encyklopedię humoru i satyry polskiej". *(Ten znowu o encyklopediach jakich starych będzie nudził.)* Zgadza się, encyklopedia jest rzeczywiście dość stara, bo wydana w 1914 roku, ale proszę nie przerywać czytania, wszak już sam tytuł mówi, że można się wiele po niej spodziewać. Zresztą nie tylko o niej mowa będzie. Dzieło owo wydane zostało pod redakcją Antoniego Orłowskiego, humorysty i satyryka znanego także pod pseudonimem „Krogulec". Nie jedyny to zresztą z jego licznych pseudonimów, ale trzeba powiedzieć, że wyjątkowo urokliwy. Twórczość Orłowskiego jest dziś już trochę mniej znana, choć czyta się na pewno mocno erotyczne dziełko, długo przypisywane Aleksandrowi Fredrze pt. *„Spotkanie się Pana Tadeusza z Telimeną w Świątyni Dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrówek":*

Przeglądam poszczególne tomy i wiele dobrego humoru znajduję, ale niemałą też liczbę dowcipów już nieaktualnych, bo przecież każdy czas tworzy swój własny, specyficzny humor. Nikt dziś nie śmieje się z politycznych dowcipów z początku wieku.

Śmiać się można z wszystkiego...

Bal piszę o początku wieku, a kogo bawią dowcipy z lat pięćdziesiątych, którym wyrosła już solidna broda? Ale są oczywiście wyjątki, jeśli bowiem opisywana sytuacja jest charakterystyczna dla danego czasu, to perspektywa z jakiej patrzymy, inaczej mówiąc porównanie tego, co było z tym co jest, wzbudza nasz uśmiech.

W „Cmentarzach" Marka Hłaski na początku są sceny, które dzieją się w areszcie komisariatu, gdzie starzy bywalcy wtajemniczają nowicjusza, za co ile lat można siedzieć. Za śpiewanie „Legionów", na przykład, niewiele, gdzieś półtora roku, gorzej jeśli coś o władzy. Podobnie z dowcipami, źle jeżeli ktoś powiedział dowcip na temat tego: *„no, wie pan kogo, „Ziutek-Słoneczko".*

Humor i satyra bywa ostrym orężem walki, a często jeśli nie może być orężem, to przynajmniej jest elementem samoobrony. Jest taka angdotka o Napoleonie; podwyższał podatki w jakichś prowincjach, dopóki urzędnicy mówili, że ludność płacze, przestał gdy się dowiedział, że zaczęli się śmiać.

A oto z czego śmiali się nasi przodkowie przed ponad siedemdziesięciu laty, kiedy ukazała się „Encyklopedia humoru i satyry". Rzecz dzieje się w aptece:

— Co słychać u kochanego magistra?

— Psi czas, żeby nie poczciwy tyfusik, to byśmy nie mieli co w gębę włożyć.

Inny fragmencik pt. „Myśli o dziennikarzu", który nie ukrywam, bardzo mi się spodobał: *„Jest — to takie stworzenie, które kłamie dla tego żeby żyć, a żyje dla tego żeby kłamać".*

By pozostać przy tym temacie, tak wyglądał poradnik dla dziennikarza galicyjskiego:

„Pytanie: — Jaka jest sytuacja polityczna?
Odpowiedź: — Niepewna.
P. — W przededniu czego stoimy?
O. — W przededniu wielkich wypadków.
P. — Czem się kończą oficjalne toasty?
O. — Trzykrotnym pełnym zapału okrzykiem: niech żyje!
P. — Co się dzieje po śmierci dygnitarza od ósmej rangi w górę?
O. — Niezliczona ilość pism i telegramów kondolencyjnych świadczy o niezwykłej popularności zmarłego".

Tutaj skracam nieco dalsze pytania i odpowiedzi, a zacytuję tylko końcówkę:

„P. — Do czego powrócimy jeszcze?
O. — Do tej sprawy".

Ale ponieważ dziennikarze są bohaterami wielu haseł w encyklopedii, więc jeszcze jeden cytat.

„Redaktor — *Cóż tam mówią na mieście o wczorajszym moim artykule, w którym nauczam zasad moralności?*

Współpracownik — *Ha! mówią, że bardzo pięknie piszesz, lecz twojem postępowaniem tych zasad nie akceptujesz.*

R. — Cóż oni poszaleli! Wymagać od pisarza, żeby żył podług swoich zasad, jest to samo co wymagać od szewca aby zdzierał zrobione przez niego na sprzedaż obuwie".

O humorze poważnie napisał Jan St. Bystroń w wydanej w roku 1939 pracy pt.: „Komizm".. Można się z tej książki dowiedzieć, jak bardzo różnorodny jest humor i od ilu czynników zależy, by był dobry. Bystroń nadał książce, jak sam pisze we wstępie, ton popularnego wykładu, zawarł w niej wiele śmiesznych cytatów z polskiej literatury, niemniej jednak dzieło w całości (liczy sobie ponad 500 stron) może być nużące. Warte jest jednak, jeśli nie przeczytania, to przynajmniej przejrzenia.

I na koniec. Za szczyt humoru uważam śmianie się z samego siebie, oczywiście zamierzone i konsekwentne. Natomiast najbardziej lubię humor sytuacyjny i te śmieszne wypadki, które wydarzyły się naprawdę. Na przykład, mój znajomy przytoczył mi ciekawą zapowiedź, jaką usłyszał z dworcowego głośnika. Była ona następująca: *„Pociąg do Garbatki odjedzie z drugiej strony siatki".*

A tak naprawdę, śmiać można się z wszystkiego, zależy to tylko od nas samych i okoliczności w jakich się znaleźliśmy.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1

Pod prąd

Gdzie się obejrzeć - rzecznik

Namnożyło się nam tych rzeczników prasowych ostatnimi czasy jak, nie przymierzając, doniesień o zielonych ludzikach.

Kiedyś rzecznik prasowy w fabryce czy niejednym urzędzie był większą rzadkością niż dzisiaj w sklepach papier toaletowy. Teraz gdzie się człowiek nie ruszy — rzecznik. Od samej góry do samego dołu, jak Polska długa i szeroka. Zupełnie, jakby sam fakt posiadania rzecznika wpływał na podniesienie produkcji, poprawienie jakości, lepszą organizację pracy. No, ale skoro mamy niezłomną wolę, mimo trudności, iść z duchem czasu...

Dawniej „duch czasu" nazywał się coca-cola i wszystkim się zdawało, że wystarczy ją pić, by się dobrze w Polsce działo. Dziś już nie coca, nie pepsi, ale informacja TO JEST TO. A czym zajmuje się rzecznik prasowy? Ano, informacją — przynajmniej w założeniu. Można więc rzec, że jesteśmy nowocześni i postępowi i nie musimy mieć kompleksów. Co prawda, przyszło nam opuścić dziesiątkę najbardziej uprzemysłowionych krajów świata (nie pomnę tylko którego) ale w ilości rzeczników prasowych na głowę jednego mieszkańca nadal zajmujemy czołową pozycję w świecie.

Znałem przed laty kilku rzeczników prasowych. Wspominam ich z pewnym sentymentem, gdyż zawsze grali ze mną fair, rozumiejąc mniej więcej, na czym polegać ma rola prasy. Zresztą dwóch z nich zostało później, niestety, dziennikarzami. Niestety, ponieważ rzecznikami byli moim zdaniem, dobrymi, natomiast jako dziennikarze... Dzisiejsi rzecznicy zgrzeszyłbym pisząc, że wszyscy, ale jednak — nie zapiszą się tak dobrze w mej pamięci, a to dlatego, że na ogół robią, co mogą, aby utrudnić mi dostęp do informacji lub też — wpuścić w maliny.

I tak jedni pozwalają mi kontaktować się jedynie z osobami wytypowanymi przez siebie albo dyrektora, co na jedno wychodzi. Drudzy uzależniają udzielenie informacji od przedłożenia im... podania z autografem redaktora naczelnego i dwudziestoma pieczęciami. Inni roszczą sobie prawo do cenzurowania artykułów, a zdarzyło mi się raz, że i notatek. Jeszcze inni mają ten oryginalny sposób pracy, iż o tym, co dzieje się w zatrudniającej ich instytucji dowiadują się z... prasy. A pewien rzecznik z Bydgoszczy poinformował, iż będzie laskawie przyjmował dziennikarzy tylko w czwartki od 13 do 15.

Zauważyłem też, że dzisiejsi rzecznicy prasowi najbardziej wyspecjalizowali się w pisaniu zaziemcowych sprostowań, odwołań, protestów i polemik — najlepiej w imieniu całej załogi, która, rzecz jasna, jak jeden mąż ma identyczne poglądy z panem rzecznikiem, zaś z panem redaktorem — wprost przeciwnie. Sprostowania te mają się zazwyczaj do odnośnych publikacji jak pięść do nosa i polegają głównie na wykazywaniu, że wcale nie jest tak źle, jak twierdzi prasa — w myśl zasady: krytykować wolno wszystko i wszystkich, byle nie nas. Wyjaśnia się więc, że trudności obiektywne, że winni są kooperanci lub decydenci, że reporter nie rozmawiał z tym, kim trzeba, a jeśli nawet wszystkie podane przez niego fakty są prawdziwe, to przecież nie tylko o to chodzi, bo ton artykułu woła wprost o pomstę do instancji.

Niektórzy rzecznicy posuwają się tak daleko w ułatwianiu sobie pracy, że polemizują nie z wydrukowanym tekstem, a już z samym zamiarem jego napisania: „I czemu miałoby to służyć?", „My dobrze wiemy, kto was napuścił!", „Osobiście odradzałbym zajmowanie się tą sprawą, gdyż towarzysz X wyraźnie sobie tego nie życzy".

Ale kultywuje się także stare dobre tradycje, jak na przykład — zapraszanie przez rzecznika „zaprzyjaźnionych" dziennikarzy z „zaprzyjaźnionych" redakcji i wciskanie im przy kawie z suchym ciastkiem tak zwanego kitu — bywa, że wraz z „drobnym upominkiem dla miłego redaktora".

Jeśli rzecznik zaprasza do siebie jednocześnie kilku dziennikarzy, to mamy do czynienia już z konferencją prasową. W Polsce konferencje prasowe organizuje się wtedy, gdy można się czymś publicznie pochwalić — dajmy na to, że produkowane zapałki będą się wreszcie zapalać, a buty — nadawać do chodzenia.

O konferencjach ministra Jerzego Urbana wolę nie pisać, gdyż na nich nie bywam, a poza tym każdy może je oglądać w telewizorze. I bardzo dobrze, bo to przynajmniej do czegoś zobowiązuje.

Czy są jeszcze jakieś pytania? Jeśli nie, to chciałbym teraz złożyć oświadczenie, iż mimo wszystko, nie jestem generalnie przeciwko rzecznikom prasowym i aby nie być gołosłownym, dodać przy okazji, że i ja zamierzam już wkrótce powołać swojego. Jego zadaniem będzie zastępowanie mnie w rozmowach z natrętnymi czytelnikami przychodzącymi do redakcji, w czasie gdy ja przesiadywać będę u różnych rzeczników, zadając im bardzo kłopotliwe pytania w rodzaju: „ładną mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż?" Trudno, jeśli ja nie mogę, to niech przynajmniej oni będą ze mnie zadowoleni, a czytelnicy niech przekonają się na własnej skórze, czym może być spotkanie z rzecznikiem prasowym oko w oko.

JÓZEF RETMAN

2

Co się porobiło z telefonami?

Mam nadzieję, że Czytelnicy nasi kochani wiedzą już, iż redakcja „Odgłosów" mieści się w wieżowcu, który stoi przy zbiegu ulic Henryka Sienkiewicza i Gabriela Narutowicza, na dachu którego jest skomplikowana konstrukcja anten telewizyjnych. Przez te anteny nazywa się ten budynek telewizyjnym, a jest on w istocie prasowym, a telewizja mieści się obok od strony Narutowicza. Ale nie o tym chciałem pisać. Wspominam o tym tylko dlatego, że niektórzy z uporem adresują listy do nas na stary adres przy alei Adama Mickiewicza, a tam jest teraz prywatne mieszkanie. Poczta jednak nam te listy dostarcza i chwała jej za to, bo dalej będzie o niej krytycznie.

Redakcja „Odgłosów" zajmuje XIII i XII piętro. A na XII piętrze jest taras. Gdy wyjdę na ten taras, to dokładnie widzę budynek „Textilimpexu" i drugi „Miastoprojektu". W budynku „Miastoprojektu" mam przyjaciela, który jest stałym Czytelnikiem „Odgłosów". Ale jako człowiek bardzo zajęty nie kupuje ich w kiosku, tylko.. prenumeruje. Odległość z redakcji do budynku „Miastoprojektu" można pokonać w 4 minuty. Kolejny numer „Odgłosów" odległość tę pokonuje w 6 dni. Słownie: sześć dni. Numer „Odgłosów" ukazuje się w środę, a do prenumeratora dociera we wtorek. Mimo to namawiam do prenumeraty, gdyż jest to pewna forma otrzymywania czasopism. W myśl zasady: lepiej późno niż wcale!

Z łezką w oku czytam wspomnienia starych dziennikarzy, jak to różnymi sposobami walczyli o prenumeraturę. Fundowali prenumeratorom różne premie, nagrody, niespodzianki, aby tylko było ich jak najwięcej. Dziś Poczta skutecznie zwalcza prenumeratę. Jej się to nie opłaca.

Musiałem skorzystać z usług PKS. Jestem w tej dobrej sytuacji, że posiadam w domu telefon — jest to moje narzędzie pracy — postanowiłem więc zadzwonić do informacji PKS, aby dowiedzieć się, kiedy odchodzą autobusy w pożądanym przeze mnie kierunku? I co się okazało? Okazało się, że informacja PKS ma zmienione numery. Szybkość zmian numerów telefonicznych w Łodzi jest taka, że obowiązująca jeszcze książka telefoniczna jest już drukiem archiwalnym. Co do niej sięgnę i wykręcę figurujący tam numer, to słyszę miły głos nagrany na taśmie: „Numer został zmieniony", „Takiego numeru nie ma".

A poza tym gra w tych telefonach niczem choremu na gruźlicę w płucach. Zdarza się też, że gdy wykręcam numer istniejący, co wiem z całą pewnością, słyszę miły głos: „Numer czasowo wyłączony". Tego już nie pojmuję. Dlaczego? Może mi ktoś to wyjaśni!

Urząd telefoniczny zapewne może mnie zasypać danymi, ile to numerów podłączono, ile km kabla położono, ile aparatów telefonicznych przypada na jednego mieszkańca oraz jakie ma plany i trudności. Teraz zapewne dowiemy się, ile aparatów telefonicznych zabrano instytucjom a dano mieszkańcom. Ale o tym, jak te aparaty pracują, jak wypełniają swoją podstawową funkcję, panuje uparte milczenie. Zachwyca mnie ilość, ale chciałbym też, aby towarzyszyła jej jakość. A jakość usług poczty — szeroko rozumianej — jest podła.

Niezbędna jest już nowa książka telefoniczna, która byłaby aktualna nie tylko w chwili wydania, w co raczej wątpię, ale i przez dłuższy czas. Rozumiem, że w takim bałaganie, jaki u nas teraz panuje, nie jest rzeczą możliwą utrzymać stabilność w telefonicznych numerach. Ciągle coś się będzie zmieniało. Trudno. To niech przynajmniej Poczta uprzejmie dosyła abonentom suplementy do książki telefonicznej. Przecież to jej obowiązek. Ogłaszanie zmian numerów w gazetach jest tylko uspokojeniem sumienia różnych instytucji, którym numery — nie z ich winy — zmieniono, a oni chcą być w porządku wobec swoich klientów. Ale nie wszyscy są w stanie to zauważyć i odnotować. Zapewne to ich wina. Ale Poczty to nie może rozgrzeszać.

Istnieje także coś takiego jak informacja telefoniczna. Proszę się jednak do niej dodzwonić. Jest to już dziś mit. Poza tym stwierdzam, że jeśli nawet komuś uda się dodzwonić do informacji, to nie będzie to jeszcze znaczyło, że tę informację otrzyma. Panienki z informacji wobec niektórych prostych pytań są kompletnie bezradne i wykazują całkowity brak kompetencji. Coś z tym wreszcie trzeba zrobić! Informacja powinna być po to, aby można było dowiedzieć się tam tego, czego się chce dowiedzieć przynajmniej o numerach telefonów instytucji i mieszkańców Łodzi, którzy mają telefony, co jest faktem niewątpliwym.

To, co powyżej napisałem jest tylko częścią usług Poczty. Ale i to wystarczy, aby zawołać: — gdzież są te czasy, gdy była gwarancją niemal doskonałości?

ZENON POROWATY

3

Sport

Chciało mi się gwizdać

W niedzielne popołudnie, gdy oglądałam transmisję telewizyjną meczu między Polską a Cyprem ze stadionu gdańskiej Lechii, chciało mi się gwizdać. Zresztą gdańszczanie, których nieoceniony Kazimierz Górski skomplementował jako kulturalną publiczność, też nie wytrzymali i pod koniec meczu gwizdali. Mieli powody.

Nawet Dariusz Szpakowski wypadł z roli obiektywnego komentatora i po kolejnym nieudanym strzale zawołał zupełnie szczerze: — „Dartusz Dziekanowski partoli w sposób nieprawdopodobny!". Nie on jeden w tym meczu, dodałabym.

A co to miało nie być? Miał być festiwal goli, mieliśmy sobie podreperować konto bramek kosztem biednych Cypryjczyków. Ale nie wyszło. Okazało się, że Cypryjczycy zagrali zupełnie inaczej niż to sądzili najtężsi myśliciele naszej piłki nożnej. Nie zagrali roli biednego dostarczyciela punktów. Przeciwnie zebrali naszym punkt.

Przed meczem wszyscy byli najlepszej myśli. Włodzimierz Smolarek powiedział: — „Lekceważyć żadnego rywala nie wolno, ale nie przewiduję żadnych niespodzianek". I pomylił się. Sam zresztą sprawił wszystkim niespodziankę grając kiepsko. Mirosław Okoński — błyszczący w lidze RFN — na boisku w Gdańsku nie błyszczał. Trener Wojciech Łazarek grzecznie posłuchał okrzyku zdenerwowanego kibica: — „Dziekana z boiska!!!" i zastąpił go Leszkiem Iwanickim.

Nasza kadra, przed meczem z Cypryjczykami, rozegrała spotkanie z reprezentacją województwa słupskiego, które — jak powszechnie wiadomo — należy do potęg piłkarskich Polski. Po tym zadziwiającym meczu Wojciech Łazarek powiedział: — „Wprawdzie moim zawodnikom brakowało jeszcze szybkości i świeżości (dwa treningi wtorkowe), jednak przed niedzielnym spotkaniem jestem optymistą". Każdy — jak to było widać na ekranie — pozostał przy swoim: Wojciech Łazarek przy optymizmie, bo jeszcze w przerwie meczu powiedział, że „w drugiej połowie będzie lepiej", a zawodnicy przy swoim, czyli braku szybkości i świeżości.

Najciekawiej było w przerwie. Nie dlatego, że marynarska orkiestra pięknie grała i maszerowała, ale dlatego, że Ryszard Dyja pokazał „stały fragment gry", łapiąc Wojciecha Łazarka za guzik, żeby trener zechciał coś powiedzieć do mikrofonu. Wojciech Łazarek nie chciał i sfaulował Ryszarda Dyję, bijąc go po ręku. Na szczęście dla Ryszarda Dyi zechciał z nim rozmawiać nieoceniony Kazimierz Górski, który wygłosił kilka kwestii, jak choćby o tym, że Cypryjczycy grają ambitnie. A jak mieli grać, gdy Polacy nie grali ambitnie?

Kazimierz Górski, który jest znanym i uznanym dyplomatą, nie omieszkał powiedzieć kilku trafnych zdań, choć może nie do końca. Pozwolę zatem sobie na śmiałość i spróbuję je uzupełnić lub dopełnić, jak kto woli. Kazimierz Górski powiada: — „Błąd, bo cały czas grają środkiem". Zgoda, tylko że oni tak grają od lat i nie potrafią już inaczej. Kazimierz Górski powiada: — „Tak się gra, jak przeciwnik pozwala". Prawda, ale trzeba dodać — i jak się umie. Kazimierz Górski powiedział, że „dziwny to był mecz", a ja bym dodała, że brzydki i trzeba się go wstydzić. Nie tylko za nadzwyczajny pokaz nieudolności, ale i za brzydkie faule. Szczególnie na znakomicie grającym cypryjskim bramkarzu.

Wnioski z tego meczu wypływają dwa.

Pierwszy — że nie należy stawiać na dobrze grających naszych zawodowców, bo oni tam grają w innym składzie, są zgrani z partnerami, a tu robią co mogą i okazuje się, że nie nie mogą. Może więc lepiej stawiać na własnych zawodników, których można i trzeba zgrać z sobą, a nie stale poszukiwać i próbować.

Drugi — w Gdańsku wygrali lepsi. Lepszymi byli Cypryjczycy. Już wiele razy tak było, że „murowanie bramki", „obronę Częstochowy", czy jak tam nazywaliśmy niektóre remisy, uznawaliśmy za zwycięstwo. Bądźmy więc sprawiedliwi i uznajmy, że w Gdańsku wygrali Cypryjczycy. Bo remis dla nich był zwycięstwem! Przez długi czas patrzyłam przede wszystkim na to, jak się bronili Cypryjczycy. Robili to bardzo dobrze. Mecz się toczył na ich połowie, a oni nie pozwolili naszym strzelić gola. Należą im się gratulacje.

A nasi?

Niech trener Wojciech Łazarek pomyśli!

BOGDA MADEJ

Sodoma

„U Witkacego łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym".

JACEK KRAKOWSKI

(18)

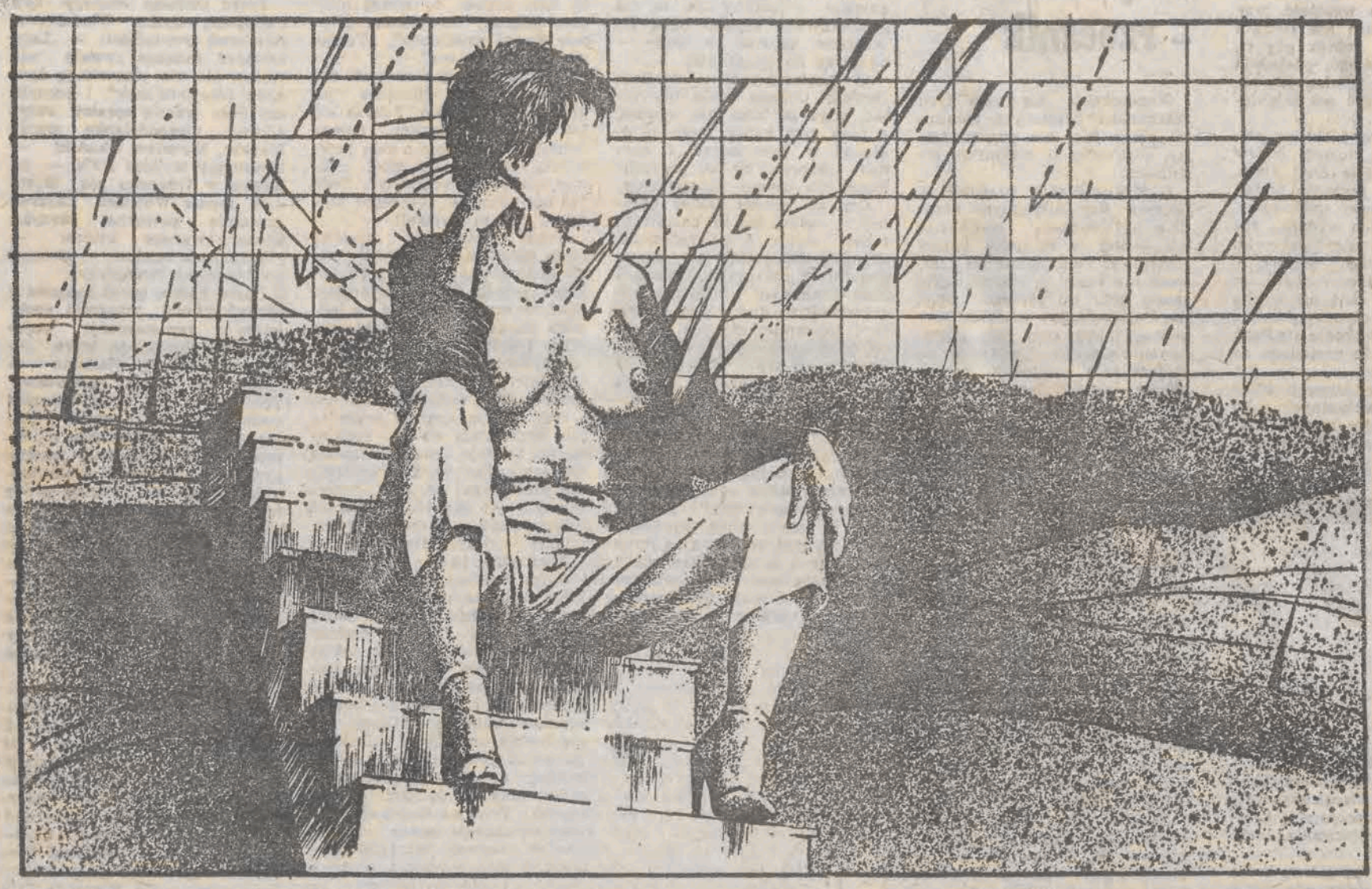

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Odwróciłem się. Za mną stała Atanazja, podtrzymując słaniającego się na nogach Sylwestra.

Świeże powietrze strasznie go osłabiło, powiedziała. Jeżeli chcecie, możecie się natychmiast stąd wyprowadzić, mówiła, prowadząc nas przez labirynt korytarzy.

Chcieliśmy zostać tylko do wieczora, rzekł znękanym głosem Sylwester, wspierając się o moje ramię i ledwo powłócząc nogami.

Jeszcze ci mało, zdenerwowała się Atanazja. Włóczyłeś się po całym domu, zaglądałeś do wszystkich pokoi, zgubiłeś ręcznik, a moje córki doniosły mi, że dobierałeś się do nich po ciemku. Tego już doprawdy za wiele. Całe szczęście, że obie miały dzisiaj nadzwyczaj intensywny okres. Zobacz, jak ty wyglądasz.

Trafiłem do jakiejś porodówki, jęknął Sylwester. Kazano mi potrzymać dziecko.

Kłamiesz jak zwykle, rzekła Atanazja. Nie ma tu niczego takiego. Zresztą napatrzyliście się już dosyć i nie ma sensu, żebyście dłużej przebywali w tym domu.

Kopnięciem otworzyła drzwi do wielkiej sali, w której na walizkach i tobołkach leżeli ludzie, jakby na coś czekając. Kobiety tuliły do piersi maleńkie dzieci, mężczyźni grali w karty, starcy leżeli na podłodze, ściskając między nogami przepełnione urynały. Dziewczyna siedząca w kucki przy drzwiach zerwała się z miejsca.

Czy to już, spytała, już można?

Jeszcze nie, moje dziecko, odparła Atanazja, głaszcząc ją po głowie. Wszyscy odejdą stąd we właściwym czasie.

Czekam już trzy lata, rzekła dziewczyna, okrywając głowę pocerowanym szalem, i jeszcze nawet nie mam biletu.

Spokojnie kochanie, spokojnie. Na pewno o tobie nie zapomnimy.

W zadymionym powietrzu unosił się ciężki fetor moczu i fekaliów.

To tylko poczekalnia, powiedziała Atanazja, prowadząc nas w kierunku oszklonych drzwi.

Ludzie zupełnie nie zwracali na nas uwagi. Gotowali coś na prymusach, czytali rozlatujące się książki, pochylali się nad trumnami ze zwłokami najbliższych, kobiety krzyczały, rodząc dzieci, lecz nikt nie śpieszył im z pomocą. Duszne, zaparowane powietrze chwytało za gardło, nie pozwalając nam iść dostatecznie szybko, mimo ponagleń Atanazji, która z łatwością przeskakiwała przez leżących, tłukąc przy tym nogami kubki i talerze.

Na co oni czekają, spytał Laurenty.

Na pociąg, odparła, stając jedną nogą w garnku pełnym zupy pomidorowej. Ale dla was przygotowaliśmy drezynę. Hieronimie — zapukała w szybę — panowie już wyjeżdżają.

Otworzyła kłódkę, zwisającą na łańcuchu, który obejmował poręcze obu skrzydeł drzwi, uchyliła jedno z nich i wypchnęła nas na zewnątrz, zamykając ponownie kłódkę na klucz.

Znaleźliśmy się na peronie, ocienionym dachem, wspartym na dwu rzeźbionych, metalowych kolumienkach. Drewniany pomost uginał się pod naszymi nogami, jakby za chwilę miał się zerwać. Wzdłuż zardzewiałego torowiska szedł Hieronim owinięty białym prześcieradłem kąpielowym i trzymając w ręku młotek na długim trzonku, pukał nim w śruby, przymocowujące szyny do spróchniałych podkładów.

Jaka szkoda, że już nas opuszczacie, rzekł, wstępując na peron. Ale trudno, czas to pieniądz. A propos — rachunek przyślę wam później, powiedział znikając za drzwiami z napisem „Dyżurny ruchu".

Jak nam się zdawało, znajdowaliśmy się z drugiej strony domu, lecz nigdzie nie było widać bujnie rozrośniętych ogrodów. Przed nami rozciągała się pustynia, gładko ciągnąca się aż po horyzont, urozmaicona zaledwie kilkoma gładkimi wzniesieniami. Lekki wiatr niósł w naszym kierunku obłoki płaszczystego pyłu, powlekającego białym nalotem peron, tory i nasze suknie.

Powinniśmy chyba wrócić do miasta, powiedział Laurenty.

Jesteśmy w mieście, odrzekł Sylwester. Na pewno nie oddaliliśmy się z Sodomy ani na krok.

Skrzypiąc i piszcząc metalowymi kołami wyjechała zza węgła budynku drezyna, w której siedziała Aurora, poruszając w tył i w przód drewnianą rękojeścią.

Nareszcie, rzekła wysiadając z pojazdu i ocierając pot z czoła. Myślałam, że już nie zdążę.

Jej otyłe ciało dyszało i dygotało, całe zmęczone wysiłkiem, a pod pachami sukni widniały duże ciemne plamy.

Nie wiem dlaczego tak się dla was poświęcam, ale polubiłam was. Chyba nie macie mi nic do zarzucenia, szepnęła, i gdyby co, nie zapomnijcie o Aurorze Borealis do domu Trismus.

Pocałowała nas w policzki ustami obwiedzionymi rozlaną plamą szminki, usiadła na ławce, wyciągnęła paczkę papierosów i zapałki zza dekoltu i zapaliła.

Za szklanymi drzwiami ukazały się Xenia i Felixa, gwałtownie przywołując nas do siebie. Pukały pięściami w szyby i przykładały do nich białe koperty.

Listy, listy do was, usłyszeliśmy ich głosy.

Kiedy zbliżyliśmy się, przesunęły koperty pod drzwiami i zaraz uciekły.

To już koniec, powiedziała Aurora, gasząc papierosa o brzeg ławki. Jedźcie już, bo nie mam czasu.

Koperty zawierały kartoniki, na których podobnymi złotymi literami wypisano teksty jakiegoś zaproszenia. Nie mogliśmy jednak doczytać się o co dokładnie chodzi, gdyż złota farba rozlała się na papierze i tylko niektóre wyrazy „mają zaszczyt", „oczekujemy", „odbędzie się" wskazywały na treść korespondencji.

Odjazd, usłyszeliśmy z megafonu głos Atanazji. Jedźcie już, bo Lancelot chce wam zęby powybijać. Trzymam go ostatkiem sił!

Wskoczyliśmy do drezyny i zgodnie poruszając dźwignią, wyjechaliśmy z cienia stacji, prowadzeni torami w głąb rozpalonej słońcem pustyni.

OPOWIEŚĆ O LOCIE

Ujechaliśmy zaledwie kilkaset metrów, gdy tory skończyły się i drezyna zaryła w piach, wyrzucając nas na wydmę. Willi „Speranza" już nie było widać, gdyż w kierunku naszej jazdy pustynia opadała łagodnymi kopcami, niewielkimi skalnymi wzniesieniami o gładkich, jakby wyszlifowanych krawędziach. Piasek parzył nas w stopy, gdy szliśmy pod rozżarzoną kopułą spalonego błękitu, wpatrując się w powietrze, dygoczące na horyzoncie falami wzmagającego się upału. Idąc, zrzuciliśmy z siebie suknie i bieliznę dziewczyn i teraz nadzy, z głowami owiniętymi jedwabnymi halkami, wlekliśmy się przez palący piach. Na szczęście wkrótce na horyzoncie ukazały się jakieś ruiny, które początkowo wzięliśmy za fatamorganę, jednak przybliżając się do nich, zorientowaliśmy się, że nie są przywidzeniem, co więcej, te wysokie domy otaczające półkoliście plac są już nam znane — przecież pośrodku powinien stać w zrujnowanym ogrodzie dom rodziny Questów. Jednak zamiast niego w centrum płaszczystej równiny, spod której gdzieniegdzie przezierała asfaltowa jezdnia wznosiło się wzgórze, którego osypujące się zbocza ukazywały zarysy zrujnowanego domostwa.

Podeszliśmy aż do wynurzającej się ściany domu wraz z na wpół zasypanym oknem i zajrzeliśmy do środka. Była to chyba kuchnia, bowiem w jej wnętrzu sobaczyliśmy długi stół, na którym kiedyś leżała umierająca Atanazja.

Laurenty wziął stojący pod ścianą trójząb, stwierdził, że przyda mu się on jako laska podczas dalszej wędrówki.

Natomiast Sylwester przerzucił przez ramię wagę o szalkach w kształcie misek, zauważając, że przydadzą się one nam do czerpania wody, gdy po drodze natrafimy na źródło.

Poszliśmy dalej wzdłuż ulicy, która po kilkunastu krokach skryła się w piachu. Jednak ostatni, częściowo zrujnowany dom wydał się nam zamieszkały. Wokół drzwi widać było wyraźnie ślady stóp, a z okna przesłoniętego płachtą dobiegały dźwięki muzyki. Zastanawialiśmy się właśnie, czy wejść, gdy kotara odsunęła się i ujrzeliśmy wysokiego mężczyznę owiniętego czerwonym płaszczem.

Wychodzicie stąd, powiedział. Jak to dobrze! Długo zastanawiałem się czy stąd odejść, ale jakoś nigdy nie mogłem się zdecydować na samotną wędrówkę. We trójkę będzie nam raźniej, prawda?

Oparł się ręką o parapet i wyskoczył przez okno, a za nim z ciemnego wnętrza wyleciał kruk, który od razu usiadł mu na ramieniu.

Zapomniał pan wyłączyć patefon, rzekł Laurenty.

Nie szkodzi, odparł nieznajomy, sam się natrzyma.

Płyta powtarzała w kółko chrapliwy kawałek frazy, gdy ponownie wchodziliśmy na rozpalony piasek pustyni.

Co za upał, powiedział Sylwester. Nie ma pan trochę wody?

Tutaj tak zawsze, rzekł nieznajomy. A woda zaraz się znajdzie. Pogrzebał w dużej kieszeni obszernego płaszcza i wydobył z niej małą, płaską butelkę. Pijcie do woli, powiedział, mam jeszcze kilka w zapasie.

Laurenty przytknął butelkę do ust i zmieruchomiał, ciężko łapiąc oddech, a oczy chciały mu wyskoczyć z orbit.

To wódka, wychrypiał.

A co pan myślał, że mleko, odrzekł nieznajomy. Prawdziwi mężczyźni piją wyłącznie alkohol. To wzmaga potencję. Od razu zauważyłem, że zwisają wam beznadziejnie, więc wziąłem spory zapas gorzałki. Spójrzcie na mojego, rzekł, rozchyliwszy płaszcz, sterczy jak drut, a wasze dyndają jak zdechłe węgorze. Pomalowałem go na złoto, żeby lepiej był widoczny z daleka. Myślę sprzed, że o członkach męskich porozmawiamy sobie jeszcze po drodze. To jedyny temat, który powinni poruszać w swoich męskich rozmowach prawdziwi mężczyźni. Pijcie, pijcie! Chyba nie jesteście babami. Wódka jest najlepsza na upały.

Wypiliśmy po kilka łyków piekącego płynu i poszliśmy dalej wraz z nieznajomym, który wcisnął się między nas. Kruk siedzący na jego ramieniu skubał dziobem brzeg czerwonego płaszcza, kracząc od czasu do czasu. Wtedy mężczyzna wsuwał jego dziób w butelkę. Kruk pił, przymykając oczy, mężczyzna chował flaszkę do kieszeni i znowu brnęliśmy przez pokarbowane wydmy, ciągnące się aż po rozpalony słońcem horyzont. Milczeliśmy, zmęczeni wędrówką, stropieni ponadto uwagą nieznajomego o przedmiocie naszej rozmowy, gdy on zagadnął nas pierwszy, solidnie przedtem pociągnąwszy z butelki.

I jak tam wasze maluchy, zatrwożeją?

Odburknęliśmy coś niewyraźnie, a on bezceremonialnie pomacał dłonią nasze członki i rzekł:

Słabe. Za mało jeszcze wypiliście, ale wódka wzmaga pragnienie i wkrótce znowu zechcecie się napić. A musicie wiedzieć, że solidnie wyprężony falus to najpiękniejsza rzecz na tym świecie. Mężczyzna ze sterczącym przyrodzeniem prezentuje się wprost wspaniale na tle kobiet, nie posiadających tej fascynującej ozdoby. To klejnot, ba, złota tyka niewyczerpanego bogactwa. Można wpychać ją gdzie popadnie, a niezawodnie przyniesie rozkosz jej posiadaczowi. A ta twardość, a ta jędrność, a ta siła połączona z delikatnością, a ów niedościgły w swej doskonałości kształt — palce lizać. Zjadłby go się chciało, gdy lekko drżący połyskuje karminowym pąkiem, a ciemnopurpurowy kołnierz wynurza się spod płaszczyka cieniutkiej skórki, opinającej nabrzmiałe węzły żył, przebijających sine spod pociemniałej kory tego pnia życia. Mocno skręcone loki włosów otaczają go łaskotliwą gęstwiną, w której czai się ów kurczliwy woreczek, zawierający dwa czystej wody brylanty, co ja mówię, zaklęte perły niezwykłej wielkości. Kto je posiada, ten nie zginie w życiu. Wystarczy ująć je w dłoń, poczuć ich oczyste ciepło, a bardziej intymny kontakt z nimi doprowadza do szału przełożone zakonów o najsurowszych regułach. Ale, przepraszam, mieliśmy rozprawiać o członku, tym ósmym cudzie świata, któremu ludzkość od zarania dziejów stawia kolumny, wieże i katedry, wyśpiewując peany na jego cześć. Napijecie się jeszcze?

Wyciągnął z kieszeni płaską flaszkę, a my czując rosnące pragnienie wypiliśmy po kilka łyków. Także kruk zanurzył dziób w szyjce butelki. Nieznajomy wysączył resztę wódki i rzucił piersiówkę w piach.

Czujecie zapewne to ożywcze ciepło, wirujące się w wasze żyły, mówił dalej nieznajomy. Mocna wódka jest najlepszą rzeczą zaraz po członku męskim. Szczególnie zaś nacieranie go trzy razy dziennie czystym *spirytusem* hartuje go, *wzmacnia* i powoduje jego niebywały rozrost, bowiem naczynia krwionośne rozszerzają się i krzepną. Także skóra staje się twarda jak na byku. Żołądź czerwienieje i dwukrotnie powiększa swoją objętość, stając się podobny do żelaznej pięści, zdolnej przebić wszystko, co napotka na swej drodze. O, powiedział, zaglądając w nasze krocza, widzę, że już podrygują. Bardzo dobrze. To najpiękniejsza chwila w życiu prawdziwego mężczyzny, gdy czuje, że jego męskość mężnieje, świadcząc wszem i wobec o sile dobywającej się z jego męskiego ciała. Nie zasłaniajcie się. Niech wasze prącia błyszczą w słońcu! Niech żyją!

Podał nam następną butelkę, a my opróżniliśmy ją łapczywie. Nieznajomy zdjął płaszcz i przerzucił go przez ramię, a kruk usiadł na jego złoto pomalowanym członku, który sterczał teraz poziomo, wskazując kierunek naszej dalszej wędrówki. Potykaliśmy się nieco i zataczaliśmy, a kiedy któremuś z nas trudno było utrzymać równowagę, nieznajomy chwytał prącie tracącego przytomność i ściskał tak mocno, ciągnąc jednocześnie, że zmuszeni byliśmy postępować za nim.

Słońce stało w zenicie prażąc niemiłosiernie nasze ciała. Laurenty zaproponował, żebyśmy usiedli i odpoczęli, nakrywając się czerwonym płaszczem, lecz mężczyzna oburzył się na jego propozycję.

Teraz, krzyknął, w takiej chwili, gdy wasze członki lada chwila osiągną pełnię, chcecie odpoczywać. To nietakt wobec nich, to zbrodnia! Sterczące penisy nie mogą sterczeć bezczynnie. Powinny zapładniać i użyźniać naszą glebę życia, nawadniać ją i rozpulchniać, przewracać jej skiby i wciskać w nią nasiona, z których wyrosną nowe zastępy członków zdolnych do walki o lepsze jutro! Dlatego proponuję wam kobietę, prawdziwą kobietę, która zdolna pomieścić będzie ogrom waszych korzeni i litry waszego nasienia, którym napełnicie jej ciało. Widzicie ten purpurowy namiot, wychylający się zza wzgórza? Tam właśnie czeka na was, dyszące rozmamiętnioną kobiecością. Już na sam wasz widok zazna co najmniej trzech orgazmów, nie mówiąc już o stosunkach, które doprowadzą ją do delirycznych dreszczy i ostatecznego upojenia. Nie będzie chciała jeść ni pić, tylko zażywać z wami tej niewypowiedzianej rozkoszy, której łaskawie zechcecie jej dostarczyć. To wszystko będzie jednak niczym w porównaniu z monstrualnymi spazmami najwyższego szczęścia, które ogarną wasze ciała. Będziecie śmiać się i płakać, nie wiedząc co się z wami dzieje, podczas gdy jej prawdziwa kobiecość będzie dostarczać wam wymyślnych podniet zabarwionych odcieniem perwersji, w której tak się lubujecie. Mylę, że zgadzacie się?

Zaprowadź nas do tego namiotu, jęknął Sylwester.

Nie mam już siły, mruknął Laurenty, słaniając się na nogach.

C.D.N.